













317989

# NAŁĘCZ

ROMANS Z DZIEJÓW POLSKICH.

PRZEZ

F. BERNATOWICZA.

Nikną wieki, męże sławne,  
Grób się po grobie otwiera,  
Nowe imię gasi dawne,  
I chwała chwałę zaciera!

F. Morawski, w poem. „Parchatka“

---

L W Ó W.

NAKŁADEM A. J. O. ROGOSZA I F. H. RICHTERA.

1877.



474799

ANULOWANO

23540

MANAGER A. J. BOGUSZAL I. H. RICHTERA

1877

## ROZDZIAŁ I.

---

Cóż to jest za młodzieniec powabnej urody,  
Któremu tęskność blade pokrywa jagody?

*F. Węzyk.*

Kiedy Polska, staraniem najlepszego z królów, Kazimierza Wielkiego, po długich wojnach, szczęśliwie używać zaczęła pokoju, średnie lata tego panowania oznaczone zostały zbiorem klęsk najsroższych, jakimi tylko zagniewane niebo karać może narody. Już niedopiero powietrzna zaraza zagubnie objawiając się na wschodzie, w ostatnich czasach trupem zasławszy Czechy i Morawy, z początkiem lata 1360, w całej swej mocy, przez Węgry wdarła się do Polski, i tak wielkie i nagle w niej spustoszenie zrzędziła, iż w samym Krakowie, stolicy królestwa, w przeciągu kilku miesięcy, do dwudziestu tysięcy zmarłych mieszkańców liczono. Niedostatek lekarzów, niewiadomość środków zaradczych, a mianowicie w wieku ciemnoty, za grzech i próżne usiłowanie uważany wszelki ludzki ratunek, były przyczyną, że klęska ta nierównie sroższe ciosy zadawała wiejskiemu ludowi. Król, strapiiony nieszczęściem narodu, wszystko co mógł czynił, ażeby wstrzymać pęd zarazy; lecz mało kto umiał z jego zabiegów korzystać. Byli jednak tacy, osobliwie w wyższym stanie szlachty, co poznawając że niemoc i śmierć za nią niechybna nie z innej pochodziła przyczyny, jak tylko z obcowania z zarażonymi, unikali starannie ich społeczności, i uchodząc w góry, lasy i miejsca niedostępne, ze zdrowiem, wyłączeni z najmilszych związków, pozbawieni najpierwszych życia po-



trzeb, pędzili dni pełne łez, trwogi i nędzy. Tymczasem nieszczęśni mieszkańcy wiosek i zagród, których odstąpić nie chcieli, schodząc ze świata bez trumny i grobu, śmiercią śmierci panowanie wzmagali. Nadeszłe dopiero zimna jesienne mor cokolwiek zmniejszyły; a tuż za niemi idące ostrej zimy mrozy, zamknawszy w głębi ziemi szkodliwe wyziewy, dozwalały oddychać coraz zdrowszem powietrzem.

Za tak pożądaną odmianą zaczęli ośmieleni wygnańcy wracać do swoich domów i siedzib, niosąc panu zastępów pokorne dzięki za odwrócenie plagi; lecz ileżto wiosek, nieujrzawszy więcej swych gospodarzy, pustkami zostało! ilu ziemian i panów, niedawno zamożnych, pustki znalazło w domach! Najbardziej zaś, po znikłych śniegach, przerażający był widok nagich pól rolnika, które mu najsmutniejszą przyszłością zdały się grozić! Postrzegając król baczną powszechnie w kraju zaniedbanie zasiewów, i stąd nowe wyniknąć mogące klęski; nie szczędząc zatem kosztownych swych obór i stajen, jak tylko zamroz ustąpił, kazał swym nakładem role włościan uprawiać, i ziarnem je skarbowem zasiewał. Użyty do tej pracy krajowy żołnierz wspierał dzielnie usiłowania rolnika; a chociaż za nadejściem cieplejszej pory, na nowo objawiająca się zaraza lud wiejski rozpraszała w lasy, nie przestawał król dobry starań koło zasiewów, a nieba pięknym zbóż wschodem pobłogosławiły jego ojcowskim zabiegom.

Trzeba też wyznać, że skutki moru w tym roku nie były tak srogie. Nie każdy zapowietrzony umierał, jesień zdrowsze sprowadziła chwile, i zdało się że wracają dawne czasy szczęścia i obfitości, gdy nagle z wiosny przy okwicie zboża, północne wiatry tak rześiste i ciągle przyniosły z sobą deszcze, że kłos, pozbawiony zawiązku ziarna w płoną tylko rósł słomę; lecz i tej korzyści nie dozwoliły rolnikowi zebrać zagniewane nieba! Wezbrane roztopem śniegów w górach karpackich wody, rozlawszy się po płaszczyznach Polski, zamieniły się nagle w okropną powódź, która niszcząc osady, zabierając dobytki i pustosząc wszystko, srogięgo głodu w całym kraju stała się przyczyną. Rok następny to nowe nie-

szcęście najbardziej dał uczuć; padał lud bezsilny pod ciężarem głodu, i mor powtórny wytępiłby naród do reszty, gdyby dobroczynna króla zabiegłość nie szła mu w pomoc. Otwarte, na rozkaz jego, szpichlerze skarbowe w Krakowie, Wiślicy, Poznaniu, Kazimierzu i innych miastach, dostarczały chleba zgłodniałym; a gdy się ich zapasy przebierać zaczęły, Czerwona Ruś, niedawno przyłączona do Polski, nowym ją na rozkaz pański darzyła zasiłkiem. Kto tedy miał pieniądze, za mierną cenę brał zboże; ubogi wypłacał się pracą koło budowy zamków, opasu grodów, trzebienie dróg przez lasy i innych krajowi pożytecznych robót; sama tylko wiekiem przyciśniona starość, lub niedołężne kalectwo, bezpłatne wyżywienie dostawały: tak rządna czujność pana, w samych nieszczęściach narodu, które słodzić umiała, znajdowała źródło przyszej jego pomyślności i chwały.

Lecz jak z gnilizny rodzi się owad szkodliwy, tak wśród tych klęsk srogich powstały nagle roje okrutnych sprawców własnych cierpień, którzy bądź z rozpacz, bądź w źle zrozumianej pobożności, gromadząc się pod wodzą obranego naczelnika, mężczyźni równie jak niewiasty, przebiegali pola i lasy, ćwicząc się rzemiennem biczowiem w obnażone biodra, i jęcząc z bólu i głodu, krwią zostawioną po sobie naznaczali drogę swej okrutnej pielgrzymki, jak gdyby boleścią ran potłumić chcieli daleko sroższe dręczenie łaknienia! Biada domowi w którym się jeszcze jaki zapas żywności znajdował! Napadnięty gospodarz od zgłodniałej rzeszy, pozbawiony ostatniej odrobiny chleba, nie miał zwykle innej dla siebie kolei, jak przyłączenie się do żarłocznej zgrai, żeby z nią inne domy nawiedzał. Ztąd powstały wzajemne napady, łupieże, rozboje i inne gorszące bezprawia, które zaledwo władza krajowa poskromić zdołała.

\* \* \*

Był to jeden z tych ciepłych dni wiosny, kiedy słońce dogrzewające ziemi dobywa z niej pierwsze trawki i darem swych pierwiastek droższą zwykle czyni tę porę nad obfite kwieciami czasy późniejsze. Drzewa się jeszcze w liść nie rozwijały, lecz wzgórza wystawione



na południe, i krzewy bliższe ziemi, żywą się już zielonością zdobiły. Ludzkość w tej porze pod ciężarem głodu najsrożej cierpiała; porządek świata szedł swoim trybem, a ptastwo, jak zwykle na wiosnę, wdzięcznym głosem napełniało powietrze. Pod tę smutną i razem miłą chwilę, w części Polski granic Szląska dotykającej, u podnóża rozwalin ogromnego zamczyska, którego baszty zniszczone bardziej ręką gwałtu jak działaniem czasu, bielily się u góry kośćmi wplecionych ciał w koła, a zarzucone gruzami otaczające go wodne kanały jeszcze bardziej dowodziły umyślnego zburzenia; — u tych ohydnych rozwalin, stojących na piaszczystej przestrzeni w zbiegu kilku gościńców z Polski do Wrocławia i Świdnicy wiodących, w bramie na szczątkach ganku siedziało dwóch wędrowców i posilało się śniadaniem. Jeden z nich, na kształt pielgrzyma, czarną długą szatą odziany, wysoki, bladej twarzy, szerokiego czoła a wielkich oczu błękitnych, tem był osobliwszy, że chociaż w kwiecie wieku, włosy i brodę tak miał jasne, iż z daleka bardziej był podobny do posiwiąłego starca niż do hożego młodzieńca. Drugi, podeszlejszy w latach, krępej postaci, z wydatnych na śniadej twarzy kości, z małych ponurych oczu a dużych ust i płaskiego nosa, zdał się być ukrytym pod polską suknią jednym z tych dzikich Jadzwingów, których ostatki na Podlasiu miecz polski wygładziwszy do szczytu, kraje ich przyłączone do korony, ludem swoim osadził. Odzież jego podróżna, krótki sierakowy kubrak z wiszącym z tyłu kapturem, nic o nim powiedzieć nie mogła: lecz pas srebrnymi guzami suto nabijany i piękna karabela przy boku, zdały się objawiać wyższego stanu człowieka: jednakże pewien rodzaj uszanowania dla pielgrzyma przeciwnego zdania dowodził. Chociaż oba kapustę z dziczyzną smaczno zajadali z swoich podróżnych jaszczyków, wzrok ich ciągle zwrócony na szląski gościniec dawał poznać, iż ztamtąd albo się strzegli niebezpieczeństwa jakiego, lub oczekiwali na czyjeś przybycie. Tem zaś najdziwniejsi byli, że w tej porze powszechnej nędzy, przy dobrem śniadaniu, wybornem z fasz srebrnych posilali się winem.



— Truksa, czy tam nic nie widzisz? — zapytał pielgrzym, zwracając duże swe oczy na szląski gościniec — ty masz wzrok lepszy, patrz tylko dobrze.

— Widzę tylko kłęby kurzu, które wiatr po polu z jednego miejsca na drugie przenosi.

— Czemuż zawsze wiatr? może one powstają pod kopytami naszych. Czy liczny ma z sobą orszak Ziemowit?

— Kazimierz nie pozwala nikomu zbrojno przez swe kraje przejeżdżać — odpowiedział Truksa. — Gdyby Ziemowit mógł być inaczej jak przez Wielkopolskę dostać się do Pragi, zapewniaby wziął godny siebie poczet rycerstwa; ale przebierając się skrycie, nie miał nad kilku Mazurów doświadczonej odwagi. Kiedy się sieć zapuszcza, nie trzeba czynić hałasu.

— Ale jesteście tylko pewnym, iż cesarz zechce go wspierać przeciw Kazimierzowi? oni sobie, zwyczajem rycerzów, na mieczu poprzysięgli braterstwo.

— Alboż nie wiesz, że Lachy niegdyś wezwawszy Wacława króla czeskiego na pana, następcem jego wieczny dały powód roszczenia prawa do polskiej korony; że na tej zasadzie niedawno jeszcze Jan król czeski przedawał lub rozdarowywał komu się podobało polskie krainy; Karol, syn jego, z margrabi Moraw wyniesiony na cesarza, jeszcze śmieiej rozrządzając Polską, pewnie nie odmówi wsparcia Ziemowitowi, żeby potem łatwiej od tego Mazura nabył praw ostatecznych.

— Zapewne, lepsza sprawa z brysiem niżli z kundyssem. Więc cesarz dobrze przyjął Ziemowita?

— Przyjął go z radością, nieskończenie będąc mu wdzięcznym za odmówiony hołd Kazimierzowi.

— Wasz Kazimierz chciałby, żeby mu cały świat czołem uderzał. A twemuż panu co cesarz powiedział, kiedy czynił zabiegi do odwrócenia tej burzy? — zapytał pielgrzym.

— Zwyczajnie powiedział co mówić należy, kiedy się chce kogo pozbyć bez urazy. A najprzód dał mu do zrozumienia, iż nie może być obojętnym na powiększenie Polski podbiciem Rusi Czerwonej; że jednak, jako brat oręza, starać się będzie, aby nieporozumienia o hołd

ułożyły się w sposób ile być może najdogodniejszy tak dla Ziemowita jakoteż dla króla polskiego, i że w tym celu natychmiast wysłała pełnomocnika swego do Krakowa.

— On się go lęka, to jawno. Pozostaje więc tylko starać się o to, żeby Ziemowit szczęśliwie przemknął się do Płocka.

— Dostanie się, dostanie, włosa niestraciwszy z głowy! Wie on już nie dopiero, że Wielkopolanie czatują u Kalisza na jego przyjazd, i dlatego tędy powrót obraca.

— Wyznać jednak trzeba — ponowił pielgrzym z dzikim uśmiechem — że Kazimierz przesłiczny w twym panu wybór uczynił na zapewnienie sobie cesarskiej przyjaźni.

— Władysławie — rzekł urażony Truksa — źle cię świat zowie Władysławem Białym, tyś się zwać powinien czarnym, bo wszystko u ciebie jest zdradą, podstępem i piekłem. Mnie nazywaj jak chcesz; wytępiony mój naród, wydarta ojczyzna, zgładzone imię, ja sam, z pana nikczemny słuźalec, cóż prócz zemsty czuć mogę; lecz wielkiemu marszałkowi daj pokój; on, choć Lach, ma cnoty.

— Słuchaj, gdyby los twój i twoje uczucia nie były zgodne z mojemi, jakkolwiek od dzielnych Jazygów ród wiedziesz, nie piłybys nigdy z jednej zemną czary. Dzięki ci, żeś zboczył w te gruzy; lecz pozwól powiedzieć sobie, nie dla mnieś jedynie tu przybył; istotnym celem twego tu znajdowania się jest posłanie na tamten świat młodego Polaka, nieprawdaż?

— Każdy Lach, stary czy młody, jest mi nienawistny, a ten najbardziej, którego przodkowie miecz na karkach naszych stąpili! O! miły głódzie, powietrze, wytępiajcie ten naród co nas wygładził! Mniej moja nieszczęsna ojczyzna na swych niwach liczy zimnych kamieni, niż w odwiecznej przeciw Lachom obronie głów tam naszych poległo! Zginęliśmy nakoniec! bramy Drohiczyzna, Brańska, Suraza polskimi świecą orłami, a ja, potomek uszyłch niewielu, muszę nosić oręż moich morderców!

— Ale go nosisz na ich zagładę lub postrach! Przynać też trzeba, żeście się piekielnie dali we znaki nie tylko Polakom, lecz i innym narodom.

— Zapewne; ale jestżeto winą wilka że nie może żyć trawą jak osieł?

— Nie przeczę; jednak ten młokos, na którego tu czekasz, jeszcze żadnego Jadzwinga nie zgładził, i jest już bez twego trudu dość nieszczęśliwym.

— On żyć nie powinien, on się nawet rodzić nie był powinien! — zawołał z oburzeniem Truksa — a jeżeli to mi masz za złe, zem korzystając z bytności mej w Pradze chciał mieczem powrót jego uprzędzić, wiedz, że w tem więcej zachodzi sprawa pana mego i ojczyzny, jak moja własna.

— Jużci wiem że mój marszałek nie ma wierniejszego sługi nad ciebie; lecz czyli, goniąc za niewinnym skowronkiem co z wiosną do nas przylata, nie opuszczasz czasem lepszej zwierzyny?

— Nie jestto ptaszek tak niewinny jak się wydaje, a łatwo zmienić się może w szkodliwego jastrzębia. Ramię jego ojców najwięcej krwi rodu mego przelało. Wszakże nic nad prawo nie czynię; ale ty, panie, gdybyś, zaniechawszy nierównej walki, choć teraz przynajmniej, nim się los przechyli, przed królem ukorzył...

— Co? ja miałbym przed tym Kujawczykiem czoło me schylać? — przerwał pielgrzym, uderzając w gniewie pięścią o kamień — gdyby mi przyszło chodzić o zebrany chleb od progów cesarzów do progów królów i książąt, pójdę wszędzie, i zgubę jego wyblagam. O, gdyby mi nie ta twarz i te włosy tak znane Krakowu, nie gnuśniałbym pewnie u tych nędznych rozwalin!

— Daj pokój, Władysławie; wiesz kto jestem, mnie takiej mowy słuchać nie wolno — rzekł Truksa, lękliwy wzrok wznosząc na zatknięte na basztach koła mordercze. — Do czego te pogróżki? wiatr szkodliwe słowa unosi i umarłym czasem otwiera usta.

— Zapewne: ty na twym urzędzie wiesz o tem najlepiej; ale nie lękaj się; ja twej drżącej nie użyję ręki na przywrócenie Polsce pokoju, choć śmierć jest



twojem rzemiosłem — mówił, marszcząc szerokie swe czoło. — Oto, powiedz mi lepiej coś postanowił uczynić, aby skarać tego biedaka za to, że się śmiał urodzić?

— Dotąd zapewne już się stało co się stać miało. Wszedł on był za staraniem przyjaciół ojca w służbę cesarską, i opuściwszy nagle chorągiew, głośno oświadczał chęć wrócenia do kraju; co większa, nie taił się nawet z swem imieniem. Ale ja mu inną drogę pokazałem! Mazur z orszaku Ziemowita, człek sprawny, ma mi głowę jego przywieść; wziął na nią z góry dziesięć praskich groszy. A ty, panie, kiedyż odbierzesz wiadomość od twoich?

— Zbierają się zawsze na nowiu księżycy koło tych murów, żeby kości swych towarzyszy pozdrowić. Dziś ostatnia kwadra, za kilka dni będę ich widział.

— Los ich podobny do moich niedobitych rodaków, jakże mię rozrzewnia! Ktożby się był spodziewał, aby szczątki władców tej warowni wystawiono kiedyś na jej rozwalinach!

— Godne Kazimierza dzieło! Jeszcze przed ośmiu laty potężny ten Bolesławiec z baszt swoich postrach rozsyłał do koła: dwory Szląska i Polski, zamożne folwarki duchownych, żydowskie dzierzawy, dostarczały mu plonu; wesołość i gościnność panowały tu ciągle, a ubogi wędrowiec zawsze znajdował łaskawe przyjęcie i opatrzenie na drogę.

— Prawdę powiedziawszy, sami sobie winni — rzekł Truksa — bo gdyby mniej śmiali wypadali tylko byli na rabunek jednego z krajów, drugi zapewne dawałby im ciągłą opiekę, a mury Bolesławca nienaruszone stałyby dotąd; lecz że nierozsądni, równie na Polskę jak na Śląsk nakładając haracz, często o mury Wrocławia i Kalisza zwyciężki oręż oparli, cesarz zniosłszy się z Kazimierzem zburzył zamek i wytepił osadę.

— Trudno jest czasem w zwyciężkim zawodzie naznaczyć kres powodzeniu! Jeszcze się garstka uszłych wzmódz może, niech nam tylko szczęśliwie Ziemowit przybędzie.

— Lecz czem ich przywiążesz do jego sprawy?

— Najprzód własną ich sprawą, a potem tym dźwiękiem — odpowiedział pielgrzym, uderzając w trzosa złota ukryty pod szatą.

— Dziś chleb nie złoto góruje!

— Mylisz się. Póki ludzie będą ludźmi, złoto u nich droższem będzie nad wszystko. Czy zawsze nic tam nie widzisz? — pytał wpatrując się wzdłuż gościńca.

— Nic, prócz orłów i sępów krążących w powietrzu.

— Ale patrz tylko dobrze między te sośniaki, tam się niedarmo kurz wznosi.

— Słońce émi widok. Prawda, teraz postrzegam. Ktoś jedzie konno i zbrojno, jeśli się nie mylę. Tak, zbrojny; hełm mu błyszczący na czole.

— Może to Mazur z głową tego nieboraka.

— Zapewne! Ale nie, to nie Mazur; owszem, ile się zdaje z barwy i szyszaka, Czech to być musi. Ja myślę, że to będzie przydany od cesarza przewodnik Ziemowitowi, który mu naprzód drogę ubezpiecza.

— Śmiałym się — odpowie pielgrzym — gdyby ta głowa, co za dziesięć praskich miała być w worku, znalazła się zdrową na tych udatnych barkach.

— I to być może, tembardziej, że go nie znam dobrze, bom go raz tylko widział z daleka — mówił Truksa, ciągle wpatrując się w jeźdźca.

— Ale to zuch jakiś; patrz jak śmiało ku nam się zbliża, a ja mój oręż zostawiłem w lochu.

— Teraz nie chciałbym pójść w zakład, że to nie mój ptaszek.

Kiedy tak Truksa rozmawiał z pielgrzymem, podróżny jeździec, ciągnąc z trudnością przez piasek, zbliżał się pomału do rozwalin, przykrym zajęty widokiem kół morderczych na basztach. Był to młodzian pięknej urody: ubior jego z kroju oznaczał wojskowego człowieka; nie miał jednak żadnych ozdób ni godła, któreby mówiło czyjej był chorągwi. Kubrak wytarty lecz chędogi, z koloru zdał się niegdyś do barwy szkarłatnej należeć; hełm żelazny, podniesiony, bez pierza, pałasz prosty przy boku i burka kosmata, którą zwieszoną trzymał przez ramię, całym jego były rynsztunkiem. Sama tylko

szlachetność postawy objawiała w nim coś więcej nad to skromne ubranie. Wiek jego nie przechodził spełnionych lat dwudziestu. Oczy czarne podłużne, pełne wyrazu, nos najpiękniejszego kształtu, twarz ściągła, wzrost dorodny, hoźego w nim przedstawiały rycerza; ale trudy przetrwane, a może nędza, której wśród kłęski powszechnej nie uszedł, ujmując mu cery kwitnącej, przydawała wiekowi lat kilka i rozlewała na bladym obliczu ten wyraz smutku i troski, który kryte cierpienia wydaje. Lecz jak tylko postrzegł stojących u bramy wędrowców, uradowany poskoczył ku nim, wołając:

— Witajcie bracia! jakże mię cieszy wasz widok! wy pierwsi jesteście, których na mej ziemi spotykam! Pokój wam i zdrowie!

— Stój! — zawołał pielgrzym zrywając się nagle — może z zapowietrzonej krainy przybywasz?

— Bóg z wami! jadę prosto z Pragi, lud tam zdrowem oddycha powietrzem.

— To on będzie. Ja go wnet odkryję — rzekł z cicha Truksa do pielgrzyma i zbliżywszy się do młodzieńca:

— Czy waszmość nie jesteś z orszaku księcia Ziemowita, który właśnie ma tędy przejeżdżać? — zapytał.

— Bynajmniej; jestem Polak, uwolniony z służby cesarskiej.

— Czy Ziemowit już z Pragi wyjechał? — dodał pielgrzym.

— Co dzień miał wyjeżdżać. Stacje po drodze wszędzie na niego czekały.

— A waszmości droga dokąd prowadzi? jeśli wolno wiedzieć — zapytał Truksa.

— Jadę w okolice Krakowa.

— Do pięknego kraju waszmość jedziesz; zapewne w zamiarze poświęcenia usług ojczyźnie.

— Być może — odpowiedział podróżny.

— Powabne to pole dla młodego człowieka służyć wojskowo — ponowił Truksa — są jednak wypadki, ile w dzisiejszych czasach, w których ten zawód nietylko jest niebezpiecznym, ale nawet występny.



— Nie rozumiem waszmości — odpowiedział podróżny.

— Abym mu jaśniej rzecz wytłumaczył, pozwolisz się zapytać, czy zawsze nosisz suknię czerwoną?

— Suknię czerwoną? — powoli młodzieniec, cofając w tył koniem. — A waszmość jaki masz powód tego pytania?

— Nic szczególnego — odpowiedział Truksa głosem oznaczającym dojsście czego szukał. — Widząc na nim barwę szkarłatną, jeśli się nie mylę, chciałem wiedzieć, czy i w krajach cesarskich jest szlachetności oznaką?

— Wszędzie, gdzie tylko jest powołaniem dzielnych krew za pana i ojczyznę przelewać, lub mścić się napaści! — odpowiedział podróżny, kładąc dłoń na oręż.

— To on — rzekł z cicha Truksa do towarzysza. — Dozwólmy mu w kraj wjechać.

— Młodzieńcze! — odezwał się pielgrzym — czy znasz Kazimierza?

— Znam go ze sławy, która imię jego wszędzie rozgłosiła.

— Jeśli więc wiesz, że Pomorze Krzyżakom dał sobie wydrzeć, że Szląsk zmarnował, że żonę więzi, a krewnych z życia i majątków wyzuwa, jak możesz pragnąć służyć takiemu królowi? — zapytał groźno.

— Boleśno mi — odpowiedział młodzieniec coraz bardziej zdziwiony — że za pierwszym mym krokiem na ziemię ojczystą słyszę tak przeciwne zdania powszechnemu głosowi. Pomorze musiał poświęcić, żeby dziedziczne Kujawy z przemocy Krzyżaków wydobył; ustąpił cesarzowi Szląsk, lecz za to Polskę od jarzma jego uwolnił; wreszcie czyż ten lud, który chlebem zasila i prawami wspiera, te miasta i zamki, które wznosi, ziemie które zdobywa, nie są dostateczne pokryć w nim ułomności ludziom właściwych, i czyż za nie w swej samotności nie jest dość nieszczęśliwym?

— A upośledzenie książąt krwi Piastów do tronu, i zapewnienie go jednemu Węgrowi, czemże usprawiedliwione być może?

— Że króla węgierskiego następcą po sobie mianował — odpowiedział podróżny — uczynił to przez wczesną o dobro kraju troskliwość, a uczynił za wolą narodu, tem słuszniej, że król Ludwik obowiązał się własnym kosztem Szląsk i Pomorze przywrócić. Nie jest Ludwik Piastem, zapewne, lecz jest siostrzanem Kazimierza, zawsze i szczerze Polsce przychylny; wybrał go zaś na ten tylko przypadek, gdyby po sobie nie zostawił syna.

— Nie zostawi go! przekleństwa ludów nie dopuszczają mu nigdy tego błogosławieństwa, jakiem się cieszą, szczęśliwi rodzice! — przerwał pielgrzym z zapałem. — Życie jego rozwiąże zniknie z jego imieniem, jak czczy dym znika w powietrzu; a wy Polacy potem go tylko pamiętać będziecie, że po jego śmierci zamienicie się w Węgrów!

— Dlaboga! upamiętaj się — powtarzał z cicha Truksa.

— Nie dopuszczaj tego Boże — odpowiedział młodzieniec, patrząc z zgorzzeniem na popędliwego pielgrzyma — aby słowa waszmości sprawdzić się miały; lecz któż jesteś co nas straszysz tak srogą przyszłością?

— Imię moje brzmi gniewem i gniew wiecznie mieszka w mem sercu! Jeżeli usłyszysz kiedy o nieszczęśliwym człowieku, który pozbawiony dóbr, sławy, majątku i co miał najdroższego żony ukochanej, zemstą tylko oddycha i dla niej wszystko poświęca, ja to nim będę!

— Niech cię Bóg pocieszy i godniejsze twej sukni ożywi w tobie uczucia! — zawołał młodzieniec i spojrzawszy na obu z politowaniem, zwrócił konia i w dalszą puścił się drogę.

## ROZDZIAŁ II.

---

O! jak szczęśliwy kto w tem ustroniu  
Dłuższe wieść będzie godziny!  
Lecz ja, niestety! dalej mój koniu!  
Bądź zdrowa nimfo doliny!

*Odyniec.*

Zrażony młodzieniec przymówką czerwonej swej sukni, a nadewszystko potwarzą króla, którego uwielbiał, opuściwszy rozwaliny, jechał, unikając odtąd zamków i dworów, gdzie prócz tego dla bojaźni powietrza niełatwy był przystęp. Opatrzony lekkim żywności zapasem, ciągnął pomału przez smutną krainę, której oprócz przelotnych dzikich gęsi w powietrzu lub spotkanego w lasach zwierzęcia, żadna ludzka nie ożywiała istota. Mógł on wprawdzie, przyspieszając kresu żywiej drogę posuwać; koń jego, acz okazujący na sobie ciężkość czasów, młody i zdrowy, nie przeciwiłby się pewnie pańskim życzeniom; lecz pomny, że krom lichej paszy na łące nie ma czem lepszem płacić jego usług, obrok bowiem szedł prawie na wagę ze złotem, wolał mu folgować, niż nagląc pochód, narażać się na stratę jego. Stawił się mu ciągle na myśli widok opustoszałego zamczyska, wprawiając go w nieskończone domysły, czemuby być mogli spotkani u rozwalin jego wędrowce; ale obcy krajowi, niewiadomy stosunków jego mieszkańców i ducha niechęci, jaki między niektórymi panował, nie mógł przeniknąć ich celów.

Tymczasem zapuściwszy się głębiej w polskie granice, cierpiał niewymownie w swej przewlekłej podróży;



wszystko bowiem na co spojrział nosiło piętno nędzy daleko sroźszej, niż w innych krajach, które przebywał. Jeżeli przez miasteczka przejeżdżał, puste ich ulice i rynki gdzieś tylko ukazały mu schorzałego mieszkańca; koło kościołów dzwony pogrzebne prawie zawsze jęczały; za miastem płaczliwe ludu wołania, idące procesje za kapłanem z monstrancją do krzyżów i miejsc poświęconych, ciąglym odzywały się głosem: Od powietrza, głodu, ognia i wojny, wybaw nas Panie! Jeżeli przebywał wioski lub osady, nic w nich nie widział prócz wznoszących się po stronach dymów od ogni wznieconych na przeczyszczenie powietrza, lub ciągnących smutno biczowników szeregów. Nikt się w polu nie krzątał, ziemianie bowiem opuściwszy grunta, rozbiegli się do miast za zarobkiem chleba; trzody się nie pasły, bo je głód od dawna wytępił; wszędzie panowały nagość i milczenie; czasem tylko na szerokiej przestrzeni ujrzał schyłego starca, lub niedołężne pochołę szukających pilnie pierwszych listków szczawiu, chwastów mrozem przewarzonych, lub innego ziała, któremby mogli zgłodniały żołądek posilić.

Właśnie mijał skaliste okolice Olsztyna, słońce południowym dogrzewało promieniem, gdy upatrując dogodnej na popas łąki, wjeżdżał na obszerną dolinę, na której koło spustoszonej wioski lud się zewsząd gromadził i coraz większym tłumem w jedno skupiał się miejsce. Zdziwiony tak niespodzianem zdarzeniem, pospieszył w tę stronę; puścił konia na trawę u rzeczki, a zbliżywszy się do tłumu, znalazł tam widok najmiłszy, jakim tylko niebo w tych czasach ucisku prawe serce mogło udarzyć. Młoda, jasnowłosa dziewczica, w śnieżnej szacie, niebieską przepasana wstęgą, świeża i luba jak wiosna, rozdawała gromadzącym się koło siebie wieśniakom chleb, ser, wędlinę i inne jadła, które dwaj służący w koszach za nią nieśli. Wdzięki jej anielskie, słodycz błękitnych oczu, włos w lekkich pokrętach na białą spadający szyć, kibić hoża, lekka, podobną ją czyniły do zesłańca niebios, który zstąpił na ziemię, żeby płacz w radość zamienić; i radość też ją otaczała do koła. Ile na wyniszczonych twarzach ludu nędza malowała się, tyle jej

śliczne oblicze za każdym datkiem szczęściem i rozkoszą jaśniało. Cisnęło się do niej ze wszech stron wieśniactwo, ofiarując jej w dowód wdzięczności garstki fijołków, przelaszczków i innych rannych kwieci, które ona przyjmując z czułością:

— Dzięki moje dziatki! tylko proszę was, nie tłóczcie się tak bardzo, nie jęczcie tak smutno; ja znajdę każdego, każdy z was dostanie! — powtarzała z dobrocią, gdy piękna jej ręka dziwnie zręcznie żywność dzieliła.

Obok tej młodej matki nieszczęśliwych, postępowała poważnie sędziwa niewiasta w przystojnem odzieniu, strzegąc pilnie, żeby ją tłok nie ścisnął. Przyjemność jej rysów i staranna bacność na kroki młodej osoby znać dawały, że ma powierzone jej wychowanie. Ona także doglądała, aby pod ręką żywicielki nie ubywało pokarmów, i często wysyłając służących do bryki po świeży zasilek, pilnowała pewnego w rozdawaniu porządku, żeby, gdy jeden z kilka razy potrafił dostać, drugi wcale nie był zapomniany. Tymczasem z jednej strony opatrzeni chlebem, pobożne wznosząc dłonie, na kolana przed bożym darem padali; z drugiej całując go z radości i przyciskając do serca jak rzecz najdroższą, pozerali go z zwierzęcą chciwością, inni naładowawszy torby i kobiałki, uchodzili w lasy z pożywnym zapasem, jakby lękając się, żeby go im silniejsza nie wydarła ręka. Długo z zachwyceniem patrzył młodzieniec na to dziwne opatrności dzieło; serce jego zmęczone ciągłym cierpienia widokiem, błogosławiąc dobroczynnej ręce, nie mogło się od niej oderwać; lecz gdy trzeba było myśleć o dalszej podróży, nie chciał oddalać się niedowiedziawszy się przynajmniej jak się nazywa ta opiekunka nieszczęśliwych, i która ją ziemia zrodziła. Zbliżył się zatem do siedzącej na uboczu młodej wieśniaczki, która ciemnego posilała starca, i pytał o nazwisko dziewczycy.

— Jestto anioł z nieba, piękny paniczu — odpowiedziała niewiasta — zaprawdę anioł w ludzkim ciele! Bóg go nam zesłał, żeby człowiek w swej nędzy poznał, jak wielkie jest święte jego miłosierdzie!

— Nic pewniejszego — ponowił młodzieniec — on nigdy nie opuszcza swego stworzenia, a jeżeli jednych zasmuca, w drugim wzbudza litość, żeby bliźni poznał bliźniego: lecz z którejże strony zsyła wam tę pocieszycielkę?

— Dziwne są sądy boskie — odpowiedziała niewiasta. — O mój śliczny paniczku, nigdy ten dzień święty nie wyjdzie z mojej pamięci! Dziś jeszcze rano, cóż to był za ucisk! Słabsi pomarli, silniejsi poszli za zarobkiem na miasta i zamki, zostały tylko matki z dziećmi i starce: już i korzonków zabrakło na grzędach, nie było czego za ząb głodny włożyć; każdy poleciwszy się Bogu, czekał rychło duch z niego wyjdzie, gdy ją nam niebo zesłało!

— Nie na tem koniec — odezwał się przytomny parobczak — kiedy jedną ręką głód uśmierza, drugą tam pola nasze zasiewa! O niech jej tyle szczęścia przybędzie, ile ta ziemia kłosów ma wydać!

— Do kogoż ta wioska należy? Czy to królewszczyzna?

— Gdzie tam królewszczyzna — przerwała niewiasta — gdybyśmy należeli do króla, nie marlibyśmy z głodu, król o swoich ludziach dobrze pamięta. A teraz na co się nam przyda wiedzieć imię pana naszego, kiedy on o nas nie dba.

— Nie pleć Doroto — odezwał się ciemny starzec — panowie mają co więcej do roboty, jak o nas pamiętać, a nam ich zawsze trzeba szanować. Włość ta cała, jak waszmość widzisz na mil kilkanaście do koła, nazywa się włość Lelowska, a należy do Jana z Lelowa herbu Grzymała.

— A on jest pierwszy po królu — dodała niewiasta — i na milę w około śmierć i życie każdego jest w jego ręku.

— Moja synowa chciała powiedzieć — przerwał starzec — że nasz pan jest wielkim marszałkiem, i na milę od stolicy porządek kraju do niego należy.

— A cóż nam z tego, kiedy w jego własnych imionach nie ma porządku i ani my jego, ani on nas nie zna jak żyje — odezwał się parobczak — puścił



nas żydom w arędę, którzy jeszcze przed powietrzem wszystko wycisnęli z człowieka; pola leżą odłogiem, chaty stoją pustkami, owo zgoła bieda, jakiej nigdy nie było.

— Może to jest córka waszego pana — ponowił młodzieniec — proście ją, ona wasz stan przełoży ojc.

— Gdzie tam córka — odezwał się starzec — nasz pan nigdy żony nie miał. O bodajby dzieci wielkich panów podobne jej były!

— Jednakże powiadają ludzie — rzekł parobczak — za dawnej, kiedyśmy do innego należeli pana, był tu i porządek i chleba dostatek.

— Któż dawniej waszym był panem?

— Ja nie wiem — odpowiedział starzec — ruszywszy ramionami.

— To bardzo niedobrze, że wiecie nazwisko pana, który nie dba o was, a nie znacie tego, który o was pamiętał.

— Juźciby się znalazł między nami niejeden może, coby go sobie przypomniał jeszcze, nie tak to dawne czasy — odpowiedział starzec — gdyby się tylko człowiek nie lękał dostać się za to do kłody. To darmo, kto dobrze czynił, trudno go z ludzkiej wymazać pamięci! Przebacz mi waszmość, ja ciemny człowiek nie wiem z kim mówię, ale to dobrze pamiętam, żeś kiedy raz młodszym będąc, wspominał imię tego pana, bo on był łaskaw na ludzi, Bóg świadkiem, żeś go nawet niebardzo chwalił, zaprowadzono mię do sołtysa, który mi dał tak ciężkie napomnienie, iż odtąd przysiągłem nigdy go nie wspominać, i wolę w cichości duszę jego Bogu polecić, jak go chwalić przed ludźmi.

— Nie pojmuję — rzekł młodzieniec ciągle patrząc na piękną żywicielkę — dlaczego cię mój ojciec skarano: wszakże to nie tak wielki grzech wspomnieć czyje imię, musiało tam być coś więcej.

— Ale bo trzeba żebyście wiedzieli — przerwała niecierpliwa wieśniaczka — że pan ten, jak był dobry dla ludu, tak miał tę wadę, że władzy nad sobą nie cierpiał. Nie takie też to bywały czasy! wojny, rabunki, pożogi, królowie jeden drugiemu odbierali stolice, panowie wy-

pędzali się z zamków i dworów; owoż i jemu zachciało się poszumieć; a że nieborak wdał się w złe sprawy z Niemcami, Boże odpuść grzechy! król Łokietek zabrał mu włości, wypędził z kraju, i kazał ogłosić, że kto wspomni jego imię, będzie surowo karany. I wielu ludzi z jego przyczyny, osobiwie tych co się za nim ujmowali, ciężko chłostano. Moja matka, Panie świeć jej duszy! dobrze jeszcze pamiętała jak się nazywał i w czym się mu powinęła noga, ale my mało o nim już wiemy; a tak potrochu wyjdzie z ludzkiej pamięci imię dobrego człowieka.

— Panowie wielcy, kiedy pobrzedzą — odezwał się parobczak — to nie tak jak my biedni ludzie; długo o czym jest gadać.

— A jeżeli umiecie czytać — ponowiła wieśniaczka — idźcie do księdza proboszcza i proście o księgi kościelne, w których to wszystko zapisane być musi, to się najlepiej o jego nazwisku i winie dowiecie.

— Dajcie pokój Doroto — odezwał się starzec — nie durzcie pana! na co biedy szukać, trafi ona sama do człeka.

Nie z wielką uwagą słuchał tej powieści młodzieniec. Oczy jego i myśli zwrócone były tam kędy piękna żywicielka lud opatrywała. Już posilona większa część mieszkańców obracała do chat, niosąc resztę pokarmu w zapas domowy, podróżny też, przypomniawszy sobie że ma konia na łące, pospieszył zobaczyć co się z nim dzieje. Serce jego nowa napelniła radość, gdy go zastał nad sporą miarą owsa i siana, któremi nieborak, dawno ich nie widząc, z najlepszym posiłkiem się smakiem. Wkrótce zbliżył się do młodzieńca jeden ze służących dziewczycy, i witając go z pozdrowieniem od niej, uwiadomił: iż pani go przysyła, przepraszając że mimo jego wiedzy pozwoliła sobie kazać zająć się koniem; a przytem radaby wiedziała, czyli nie każe sobie i pan jego służyć jakim posiłkiem, lub opatrzaniem na drogę.

— Błogosławiona jej pamięć i opatrzne oko! — zawołał z uczuciem podróżny — lecz ja nigdy nie pozwoliłbym sobie korzystać z darów przeznaczonych dla

cierpiącej ludzkości. Czy nie mógłbym mieć szczęścia złożyć jej moje uznanowanie?

— Wątpię — odpowiedział służący — nasza panna jest bardzo ludzka; ale ponieważ ślub uczyniła, z nikim się w tej drodze nie widzieć, trudno żądać aby chciała przyjąć waszmość, tem bardziej, że właśnie siada do pojazdu spiesząc w inne strony, gdzie jej obecność potrzebna.

— Szczęśliwa niech będzie jej droga i wszystkie chwile pięknego życia! Czy nie mógłbym wiedzieć jak się nazywa?

— Hanna z Podgórza — odpowiedział służący.

— Chciej więc przyjacielu zapewnić ją o mojej wdzięczności i czci najwyższej; powiedz jej że ten ranek i to miejsce nigdy nie wyjdą z mojej pamięci!

Właśnie po odejściu posłańca ruszał z miejsca lekki pojazd niosący piękną Podgórzanekę z jej sędziwą towarzyszką, a za nim postępowała ładowna żywnością bryka pod zasłoną kilku sług zbrojnych. Jeszcze wdzięczność pocieszonych wiodła za swą panią serca obowiązane; dzieci i niewiasty, biegnąc koło pojazdu, rzucały weń garstki kwiecia, gdy reszta wieśniactwa głośno błogosławiła jej drodze. Konie i zaprzęgi podróżnych okazywały jak najlepsze mienie. Z radością ujrzał młodzieniec że droga ich była ta sama, którą on miał przed sobą, to jest gościniec krakowski; zdało mu się nawet, że Hanna w przejeździe zwróciła na niego piękne swe oczy. Nie tracąc więc czasu, wziął lekki z tłómczka posiłek, i jak tylko koń popasu dokończył, ruszył z miejsca w miłej nadziei, że dogoni jeszcze cel swego zajęcia.

---



### ROZDZIAŁ III.

---

Przy karecie ci jadą, ci skaczą, ci idą,  
Kozak z spisą, z kołczanem Murzyn, Tatar z dzidą;  
Wozy zatem i wózki, bryki i kolaski,  
Tu kufry, tam tlómoki, i paki i faski;  
Na wozach, wózkach, konno, pieszo, pędzi zgraja.  
Ten już okradł, ten kradnie, tamten się przyczaja.

*Krasicki.*

Opuściwszy nasz młodzieniec dolinę lełowską, sporym jechał krokiem, usiłując zrównać swą drogę z podróżującymi paniami; koń jego, pokrzepiony ich łaską, jak gdyby się jej nowych spodziewał dowodów, dobrze odpowiedział pańskiemu życzeniu. Ale ledwo ujechał pół mili, trudzić mu drogę zaczął drobny z razu deszczek, który pomału zajmując cały widnokrąg, na długą słotę zdał się zanosić. Przykra jest wszędzie w deszcz podróż; lecz w kraju ogołoconym z mieszkańców, gdzie strzechy poszły na żywność dobytku, musi być nieznośną, osobliwie dla jadącego konno. Ciągnął jednak bez przerwy młodzieniec, szukając w burce zasłony; cieszyły go znaki pojazdu miłych osób, a choć ich samych nie widział, pewny że wkrótce, z powodu tej samej niepogody, złączy się z niemi, często dawał koniowi ostrogę; lecz jak na nieszczęście wjechał w niezmierne piaski, musiał krok zwolnić. Tymczasem deszcz ulewny przy spadającym mroku coraz przykrzejszą czynił mu podróż; nie tracił jednak nadziei, i ciągle trzymając się wielkiej drogi, postanowił jechać ile tylko siły konia dozwolą. Ujrzał się nakoniec w tej smutnej ostateczności, gdy podróżny

otoczony nocą, nic sobie radzić nie mogąc, przymuszony jest koniowi zostawić kierunek drogi.

Tak ciągnął przez ciężkie piaski, nie wiedząc gdzie go koń wiedzie i jaki gotuje mu nocleg; ale to zwierzę domyślne, nierażone cuglem, dobrze pełniło swoje powinność; i ile tylko razy podróżny rozpaczą, zdjęty już myślą, że błądzi wśród najgłębszej puszczy, po małym zastanowieniu zawsze się przekonał, że jest ciągle na drodze. Już noc bliską była połowy, gdy nagle postrzegł migający się w odległości ogień. Ożywiony tą miłą nadzieją, przyspieszył kroku i poznał z radością, że światło wychodziło z domu, którego wrota rozwarte znać dawały, że jest przeznaczony na usługę podróżnych. Wielki ogień rozłożony na kuchni pocieszał go, że nie tylko przejęty wilgocią ogrzanie, lecz i posiłek w nim znajdzie. Do tej słodkiej myśli przyłączyła się inna daleko pochlebniejsza, że może tu nocować Hanna z Podgórze. Im bardziej się do wrót zbliżał, tem mocniej się w swym wniosku utwierdzał; zgiełk bowiem służby dworskiej, pojazdy, bryki i krzątający się koło ognia kucharze, prawie niewątpliwem czyniły jego spodziewanie. Zsiadłszy więc z konia przed domem, wprowadził go z dobrą myślą do gospody; ale ledwo ukazał się we wrotach, nagły głos ludzi stajennych: „Precz! nazad z koniem! gospoda cała zajęta!“ zbił go zupełnie z otuchy. Napróżno przekładał niemożność podróży w tak przykryj dobie, napróżno zapewniał, że starać się będzie nie być w niczem przeszkodą, nie przyjęto prośb jego, nie dozwolono mu nawet zbliżyć się do żłobu. Tymczasem na hałas ludzi wyszedł z izby okazałej postaci człowiek, którego krótki ubiór i długie włosy po bokach głowy Węgra, a śmiałość pana lub koniuszego zdawała się oznaczać, i zgromiwszy czeladź za krzyki, spytał młodzieńca, czego od niej żąda?

— Jestem podróżny szukający noclegu; koń mój zmęczony, ja przejęty zimnem i wilgocią radbym w tym domu odpoczął.

— To być nie może — odpowiedział Węgier — dom cały zajęty.

— Widzę, ale ja potrzebuję tylko kącika.

— Ale to być nie może.

— Wszakże cała połowa tego żłobu wolna, mogłaby i dla kilku jeszcze dostarczyć miejsca. Proszę być wyrozumiałym.

— Waszmość tu nocować nie będziesz — odpowiedział głosem stanowczym Węgier — bo tam gdzie my nocujemy nikt, chociażby był najznakomitszą osobą, nocować nie może.

— Prawdziwie, trzeba być więcej niż nieuczynnym, żeby w publicznej gospodzie i pod taką słotą odmawiać noclegu podróżnemu, który nic nie uczynił takiego, czemby na nieufność zasłużył.

— Uchowaj Boże! żebym waszmość miał o co obwiniać — odpowiedział Węgier — owszem z' znaków jego trzymając o nim jak najlepiej, wszelką oddaję mu słusność; ale żaden jeszcze oręż nie przeszkodził przystępu zarazie. Gdyby, Boże niedopusć! hrabianka lub jej ojciec zasłabł; gdyby się w tym domu ukazała zaraza, do jakiejby ja za to nie był pociągniony odpowiedzialności? sam tylko zważ waszmość.

— Żeby mi tylko wolno było widzieć się z hrabianką, możebyś waszmość musiał być powolniejszym. Jeżeli się nie mylę, tu Hanna z Podgórze nocuje?

— Ja nie wiem jakiebyś waszmość znalazł u niej względy, lecz to wiem, że wiadomość kto tu nocuje nie przyczyni się bynajmniej do jego przyjęcia.

— Nie trzeba mię o tem zapewniać, ja się dłużej z nim spierać nie będę.

— Jakiż jesteś niewyrozumiały mój panie — ponowił zniecierpliwiony Węgier. — Czy chcesz żebym ci okazał instrukcję daną mi przez następcę tronu, jak się mam w tej drodze zachować?

— Obejdę się bez tych dowodów — odpowiedział młodzieniec, i zwróciwszy konia, wyprowadzał go z gospody, nie wiedząc gdzie się z nim obrócić, gdy w przedśieni spotkał podeszłego człowieka, który z latarnią w ręku pilnie zdał się gdzieś spieszyć.

— Miły bracie! — rzekł do niego uprzejmie — nie mógłbyś mnie uwiadomić, czy nie ma tu w pobliżu



jakiej chaty lub dachu, pod którymbym mógł tę noc z koniem przepędzić, ja sownie zapłacę za nocleg.

— Daruj, miłościwy panie, że go w izbie pomieścić nie mogę — odpowiedział zakłopotany człowiek. — Jestto pałac teraz nie karczma, a ja sam nie wiem jak noszę jeszcze głowę na karku, tak mię to wszystko odurza! Niech лихо weźmie zyski, kiedy się człowiek tak poniewierać musi! Dwadzieścia lat jestem na tej gospodzie, ale ani ja, ani ona podobno nigdyśmy jeszcze nie byli w takich obrotach. Patrz waszmość, oto mnie gospodarza z dziećmi, z chudobą, sprzętami z domu wygnano. Nie trzeba mówić jakto teraz czas ciężki; a moje kubły, skrzynie, garnki na deszczu walają się; moje kury, prosięta, którem od gęby ujmując, ledwo przezimował, porozganiane, sam nie wiem gdzie się obracają: i to wszystko dla jednego noclegu Bóg wie jakich tam gości!

— Więc i ja będę musiał na słocie nocować! — rzekł smutno młodzieniec.

— Jużci, jeśli waszmość niejesteś tak wymyślny jak ta czereda, tobym go jeszcze przed deszczem zasłonił.

— Ach! mój przyjacielu, byle strzecha jakakolwiek nademną i trochę siana dla konia, znalazłbyś we mnie gościa najwdzięczniejszego.

— Nietylko siano i owies, ale i więcej co znajdzie się na przyjęcie pańskie, bo tu wcześniej zwieziono dostatkim wszystkiego pod przejazd tych gości, lecz mieszkaniem innem służyć nie mogę nad to, w którym sam bieduję.

— Będzie dla mnie pałacem, mój przyjacielu! Ale powiedzże mi jakich to masz gości?

— Prawdziwie sam nie wiem czem mię Pan Bóg obdarzył! Już od miesiąca miałem zapowiedziany ich przejazd, i to tylko wiem, że od Szlązka ku Krakowu dążą, jadą zaś kosztem następcy tronu: dwory poblizsze dostarczają im z rozkazu starostów stacje, obroki i wiktuały, za które słyszę hojnie płaci przystawa. Muszą to być jakieś mandziary węgierskie, których następcą na kark wujaszкови do Krakowa posyła; albo może szląskie księżęta od cesarza przesładowane, jakich tam

teraz slysze niemało. Mój Boże! tyle wydatku na przejazd jednego cudzoziemca, a tam slysze w Wielkopolsce lud z głodu umiera!

— Ale ja slyszałem o jakiejś hrabiance?

— A cóż to byłoby dziwnego? — odpowiedział gospodarz — ich tu jest kilka takich, któreby każdą można nazwać hrabianką. Często w drodze podróźny jest hrabią, księciem, baronem, a w domu ledwo szlachcicem. Prawda że m się im dobrze nie przypatrzył, bo te przekłete hajduki, wypędziwszy mę wczaraj z izby, jak zaczęły ją kadzić, obijać, już m więcej i zajrzeć do niej nie pozwolono; przecież dziś nad wieczorem, gdy nadciągnęła ta napaść, przy wysiadaniu z pojazdów widziałem dobrze, że więcej tu niewiast jak mężczyzn, i że młoda jakaś i cudna pani rej wodzi.

— Białą szatą odziana? — przerwał młodzieniec.

— Tak, w białej sukni podobno; ale bo one wszystkie białe wyglądają.

— I ma przy sobie podeszłą niewiastę?

— I ojca, którego przystawa i ludzie bardzo szanują.

— Mój przyjacielu, to nie są cudzoziemcy; owszem to jest jakiś pan polski, którego podróż po kraju jest w bardzo użytecznym celu podjęta: i teraz się domyślam dlaczego tak starannie drogę ukrywa. Zostawmy go w pokoju i błogosławmy jego zabiegom!

— Nie wiem, za co waszmość, nie widziawszy go wcale, każesz błogosławić; lecz ja, com mu zajrzał w oczy, wiem dobrze, że go długo będę pamiętał. Mój Boże! kiedy król jeździ po kraju, nie wygania gospodarza z izby, owszem zostawiwszy go na miejscu, rad z nim rozmawia jak z równym, a tu ani się pokaż. Znam ja świat; prawdziwi panowie mają to sobie za uciechę, kiedy mogą przestać na małym i pobratać się z ludem: ale te niedopanki, to bieda z nimi: wszystko im w drodze niesmaczne, choć w domu gorzej. Ale ja darmo czas trawię, a waszmość potrzebujesz spoczynku; proszę więc z sobą.

Tak mówił zafrasowany gospodarz, prowadząc młodzieńca ku starej stodole o kilkaset kroków od domu

odległej. Dach jej w połowie zerwany, i jedna z ścian obalona, nienajlepszą obiecywały wygodę; jednakże wszedłszy wewnątrz, podróżny znalazł to, czego potrzebował najbardziej, to jest obroku dostatek i kawał strzechy nad sobą. Spał już tam zakopany w sianie syn gospodarza, którego ojciec zbudziwszy, kazał mu podać obroku dla konia, a dla pana przynieść garnek piwa ciepłego i zraz pieczeni. Było bankiet jakiego już dawno nie znał nasz podróżny. Wkrótce dom zajezdny został zamknięty, pogaszone światła, gospodarz z synem do snu się zabierał, i nasz młodzieniec, zmówiwszy pacierz, położył siodło pod głowę, i okryty swą burką starał się usnąć.

---

#### ROZDZIAŁ IV.

---

Wstępuje noc do świata, a smutek do duszy,  
Zaciera co jaśniało, co mówiło głośny;  
A wywodząc sen niemy z pod grobów ukrycia,  
Zatyka godło śmierci na dziedzinie życia.  
Wszystko gaśnie przed okiem, przed uchem się kryje,  
Wszystko spi, wszystko milczy. Samże tylko żyje?

*Sienkiewicz.*

Deszcz co od południa młodzieńcowi dokuczał, jakby poznając, że go już więcej dręczyć nie może, przestał padać koło północy, a wiatr słotne rozpędzając chmury, odkrywał czyste niebios sklepienia. Cichość wszędzie panowała głęboka; skrzek tylko żab na przyległym bagnie, i żucie spokojne konia, który się w kącie stodoły posilał, jedynym były odgłosem. Już kogut wygnany z gospody, obrawszy mieszkanie pod tą samą strzechą, potrójnem zapianiem ogłosił nowej doby zaczęcie; gospodarz z synem nakrzętawszy się nadzwyczaj, spał jak zabity: sam tylko podróżny młodzian, mimo miękkie posłanie i pokrzepione siły, nie mógł skleić powieki. Ciągłe mu się przedstawiał obraz pięknej Podgórzanki, miłą łudzac go nadzieją, że ją jutro ujrzy i znajdzie



sposobność oświadczenia dzięk czułych. Raz myślał, że jej ojciec, znakomity jaki Polak, jeździ po kraju, z polecenia króla, dla rozpoznania potrzeb różnych jego części; drugi raz przypuszczał, że jako dobry ojciec, towarzyszy może córce w jej pobożnej pielgrzymce do świętego miejsca; w każdym przypadku był przekonany, że hrabianka jest ową piękną żywicielką, którą widział wczoraj na lełowskiej dolinie. Żałował zatem, że mu nie zdarzyło się spotkać służącego, który przynosił mu od niej pozdrowienie; pochlebiał sobie, że za wdaniem się jego, on i koń lepszy mieliby nocleg.

Te i tym podobne myśli zajmowały młodzieńca; może też inne jakie dolegliwości nie dozwalały mu usnąć: cóżkolwiekbydz, drugi kur już zapiał, a on czuwał jeszcze, gdy nagle usłyszał szmer jakiś na dworze, jak gdyby się kilku razem ludzi goniło a po nim mocne świstnięcie, i na nie w odległości odpowiedź. Czujną jest zwykle baczność podróżnych, osobliwie w kraju, którego nędza zmieniała łatwo mieszkańców na łotrów i rozbójników. Wiedział o tem dobrze z wieści publicznych młodzieniec, przyszedł mu zaraz na myśl palający zemstą biały pielgrzym spotkany u murów zbójceckich i jego chytry towarzysz; porwał się więc nagle i wybiegłszy na dwór z orężem, starał się przyczynę gwizdania wybadać; ale chmury zebrane na nowo nie mu dojrzeć nie dozwoliły. Wrócił zatem na miejsce, przypuszczając, że to być mogło gwizdanie woźnic przybywających z końmi na stację; lecz gdy się już do spoczynku zabierał, usłyszał szczepek podobny do tego, jak gdyby kto ogień krzesał za ścianą. Wyjrzał zatem na nowo i spostrzegł o kilkanaście kroków stojących na polu dwóch ludzi, z których jeden w rzeczy samej ogień krzesał. Każde uderzenie żelaza o skałkę, wydając błysk jasny, dozwalało mu schwycić ich rysy. Były to potężne dwa chłopcy, w krótkich po pas katankach i spiczastych czapkach, na kształt Szlązaków odziani, postawa ich śmiała i pałki pod pachą łatwo dawały poznać, w jakim się zamiarze znajdowali w tem miejscu. Postąpił ku nim młodzieniec, ile być mogło najbliżej, i tę ich dziwną słyszał rozmowę:

— Rzuć tę hubkę do licha! — rzekł z nich jeden — ty będziesz krzesał do jutra, a tu już dzień za pasem. Czy chcesz żeby i ta noc na niczem nam zesłała? Rzuć mówię ci zaraz; jeszcze kto ogień z karczmy spostrzeże i narobi hałasu.

— Gadasz! Jesteście ty pewien, że oni tu nocują? trzydzieści mil drogi ciągle pędzim za nimi i zawsze jakaś przeszkoda!

— Oni tu nocują, powiadam ci; ale jeżeli będziesz krzesał, to ich więcej nie ujrzym.

— Daj pokój — odparł krzeszący ogień — jużem ci mówił, że najlepszy sposób tę stodołę podpalić. Na widok ognia zrobi się w karczmie rozruch, rozbiegną się ludzie i zostawią izbę otworem; wtenczas najłatwiej porwiem naszą zdobycz. Tylko że mi ten deszcz przekłety hubkę zamoczył.

— Bodajżeś przepadł z twojem krzesaniem! Czy nie wiesz, że pan Korbat zakazał szkodę czynić? Na co piec ludzi, kiedy i tak możemy ją dostać.

— Patrzcie, jaki mi z niego miłosierny człowiek! Głupis, kogo tu upieczesz w tej zawalonej stodole? chyba kura co tam piał niedawno, on i tak niedługo pójdzie na rożen. A kiedyś tak mądry, powiedz mi jak tę dobrodziejkę poznasz po nocy?

— Już się o to nie turbuj, pan Korbat zna ją dobrze i wie co czyni, a nam go słuchać kazano, rozumiesz; chodź zaraz do okien!

— Ba! ja wiem, ty chcesz sam ją unieść, żeby ci się przy niej co innego po omacku dostało; zjesz licha, nie pójdę; nam nic do okien, my ją z rąk pana Korbata mamy dostać, rozumiesz? A potem choćby się i udało wyłupanie okna, jeżeli djabła jakiego porwiem za tę piękność wysmukłą, czy myślisz że Korbat jak za dobry towar pieniądze wyliczy? Znam ja tych panów: jeżeli się uda, to dobrze, ale jeżeli nie, prędko oni ręce umywszy, tył podają, a człowiek potem za wszystkich odpowiadać musi. Czyś z nią gadał? czy wiesz jak wygląda? w nocy każdy kot szary, a tu przy niej niewiast bez liku! Ja mówię trzeba najprzód zaświecić.

— Słuchaj, jeżeli raz jeszcze zakrzeszesz, ja wracam do koni.

— Cyt! zdaje mi się ktoś się ruszył

— Zapewnie, jeżeli będziesz krzesał, prędko nam pola nie stanie.

— Tam ktoś stoi.

— Jakiego djabła! w wierzbach i pniach zgniłych zawsze widzisz ludzi? Szubienica mój kochany z lepszego drzewa się robi!

Wtem mocne gwizdnięcie dało się słyszeć u karczmy. Na to hasło, jak dwa wilki z przełaju rzucający się na jagnię, poskoczyli zbójcy ku karczynie. Pełen męznego zapału młodzieniec, niepomny na nierówność siły, i niebezpieczeństwem tylko Hanny zajęty, gdyż nie wątpił, że ona była ich zasadzek celem, piorunem puścił się za nimi, i właśnie wpadł na nich, gdy Korbat przez wydarł w alkierzu okno unosił swą zdobycz, omdlałą dziewicę. Wrzask przestraszonych w ciemności niewiast broniących swej pani, i niespodziany z tyłu na złoczyńców napad, mnożył zamieszanie. Młodzieniec żwawo rzucił się na Korbata, i chwyciwszy go za piersi, tak nim zatrzęsł potężnie, że przelękniony zbrodniarz musiał zdobycz opuścić; drugą zaś ręką, broniąc dwom innym przystępu, tak dzielnie robił orężem, że ci, nie mogąc się zbliżyć do dziewicy, którą prócz tego opanowały niewiasty, ani ją mogąc od nich rozróżnić, już nie o zdobycz, lecz o uwolnienie swego naczelnika starać się musieli. Ale zaciekły obrońca, jak jastrząb, co raz w swą pastwę zapuściwszy szpony, niełatwo ją roni, trzymał potężnie złamanego ku ziemi Korbata, kolano na pierś mu tłoczając; i gdyby zbrodniarz nie wymknął się, zostawiwszy w ręku zwycięzcy kawał kołnierza, byłby niechybnie zadławiony na miejscu. Tymczasem gospodarz z synem, spieszący na hałas, i nadbiegły niezwłocznie lud stajenny ze światłem, dokonali rozproszenia złoczyńców. Młodzieniec widząc już w bezpieczeństwie dziewicę, niedbały o jej dzięki, i tem tylko zajęty, żeby mógł zmusić zbrodniarzów do wyznania kto ich do napadu ośmielił, wpadł na koń i puścił się w ślad za uchodzącymi; ale pogoń jego niewielki



odniosła skutek. Spłoszeni bowiem tak niespodzianą odsieczą, zbójcy, jak tylko dostali się do koni, rozpierchnęli się w strony, i uchodząc w lasy, nie dozwolili dalszego ścigania.

Już dzień był zupełny; czeladź stajenna krzątała się koło zaprzęgów, i rozmawiając o nocnym wypadku, różne wnioski czyniła; bryki z żywnością najprzód ruszały, gdy nasz młodzieniec wracał z pogoni. Jak tylko go spostrzegł zsiadającego z konia rządcą podróży, ten sam co mu wczoraj bronił w gospodzie noclegu, przybrawszy pokorniejszą postać, zbliżył się do młodzieńca, i przeprasząc za wczorajszą nieużytość, oświadczył: iż pan podróżujący życzy sobie go poznać, zapewne aby mu podziękował za dany córce ratunek, i że go prosi do siebie.

— Owszem ja wdzięczność waszmości winienem — odpowiedział młodzieniec — że nie przyjmując mię do gospody, nastęczyłeś sposobność uczynienia tej małej przysługi; tego tylko żałuję, że nie mógł dosięść którego ze zbrodniarzów. A panna hrabianka jak się ma po tym wypadku?

— Bardzo dobrze; przestraszyła się cokolwiek, lecz dzięki Bogu, zdrową jest zupełnie.

— Jej podróż zapewne jest przedsięwzięta w celu wspomagania nieszczęśliwych.

— To też naszą drogę mitręży najbardziej, że hrabianka własną ręką chciałaby każdego opatrzyć żebraka; a pozostała od potrzeby żywność jest zawsze niemała; dałbym gardło, że to nocne hultajstwo jest sztuczką włóczęgów, których jej miłosierdzie wszędzie wiedzie za sobą.

— Ale chciejże mi powiedzieć jak się jej ojciec nazywa?

— Jestto pytanie, na które żaden z nas podobno co go otaczamy odpowiedzieć nie zdoła, bośmy mu wszyscy w drodze dopiero przydani zostali. Co do mnie, przeznaczony przez następcę tronu do służenia mu od granic szląskich do Krakowa, tyle tylko wiem: że go ochmistrzynia hrabią nazywa, że jedzie w największej

skrytości, a waszmość jesteś pierwszy w drodze co go będziesz miał szczęście oglądać.

Nie chciał na dłuższej rozmowie trawić czasu młodzieniec, ujrzenie Hanny drogim mu go czyniło; wszystko zaś co o jej ojcu słyszał, ccraz go większą przemawiało żądzą poznania jego osoby. Kilka zatem chwil poświęciwszy staranniejszemu ubraniu się, bo i w owym wieku, choć tak odległym, dbałość o zewnętrzne ozdoby nieodłączną była od waleczności, kazał powiedzieć rządcy podróży, iż gotów jest służyć jego panu.

---

## ROZDZIAŁ V.

---

Omyłko straszliwa,  
Okropny skutku ciemnoty!

*F. Morawski.*

Gdy wszedł nasz podróżny do izby, w której hrabia nań czekał, znalazł ją przystrojoną tak wspaniale, iż gdyby nie wiedział, że to dom zajezdny, myślałby był, że się dostał na pokoje książęce. Podłoga usłana dywanami, obite bławatem ściany, wytworne sofy i krzesła, srebrne naczynia i rozmaite sprzęty podróżne dawały poznać, jak znakomitą być musi osobą ten, dla którego staraniem następcy tronu tyle podejmowano zachodu. Jednakże wśród tych bogactw nie znajdował tego, co tak słodkim zostało celem jego upragnień: pięknej tam Hanny nie było! Za niewielkim stolikiem, nakrytym do śniadania kosztownem naczyniem, siedział poważny mąż, około lat sześćdziesiąt mający. Ubiór jego, chociaż podróżny, odznaczał się zbytkiem połączonym z wygodą, a twarz uderzająca ciężką żrenicą i gęste brwi nad wypukłemi oczyma, wyniosły w nim umysł objawiać zdawały się. Siedziała przy nim w pewnej odległości podeszła niewiasta w ciepłej żółtej kiece, z podwiązanym

czarnym czepcem pod brodę, i rozmawiając z nim zcicha, trudniła się przyprawą śniadania. Twarz jej zachmurzona znać dawała, jak mocne na niej uczynił wrażenie napad złoczyńców. Nikt się więcej nie znajdował w izbie, głos tylko kilku niewiast wychodzący z alkierza objawiał, że pomiędzy nimi jeszcze piękna ich pani zostaje. Jak tylko rządca podróży opowiedział przybycie młodziana, podniósł się hrabia poważnie, i uprzejmie go witając, wskazał koło siebie krzesło, prosząc żeby je zajął.

— Witaj nam, miły gościu — odezwał się do niego z czeska — kazałem was prosić nietylko żebym poznał tak chobrego młodzieńca, lecz abym na własne oczy przekonał się, żeście w użyczonej nam dziś pomocy nie odnieśli żadnego szwanku, boby to mię niezmiernie zmartwiło. Ale, jak widzę, dzięki Bogu, moja obawa była za wczesną. Chciejcież nam zrobić cześć, i użyjcie z nami podróznego śniadania, nim pozwolicie dowiedzieć się czemuśmy mogli dostateczniej wdzięczność naszą okazać.

— Prawdziwie nadto jestem wynagrodzony — odpowiedział młodzieniec, przyjmując z rąk podeszłej niewiasty kubek z kości słoniowej, misternej roboty, nalany winną polewką — kiedy, dopełniwszy obowiązku żołnierza, mam zaszczyt poznania waszmości.

— Ale dajże pokój tym pięknym słowom — przerwał hrabia rubasznie — gdyby cię był ranił który z tych łotrów, sama moja znajomość nie uleczyłaby cię pewnie. Wiem, że czyny ludzi rzemiosła waszmości nie są do kupienia; lecz powiedz mi szczerze, czylibym go nie obraził, prosząc, żebyś jako od przyjaciela chciał przyjąć mały upominek odemnie?

— Szczerze wyznaję, wdzięczna chęć waszmości jest dla mnie najmilszą nagrodą — odpowiedział zarumieniony młodzieniec — a nieskończenie byłbym zmartwiony, gdyby się znalazła inna, jakkolwiek droga, coby mogła opłacić szczęście oddania mu tej małej przysługi.

— Niedarmo młodzieńcze jesteś żołnierzem; ale wierz mi, skromność twoja niezmiernie nas smuci. Po-



wiedźże mi przynajmniej jak się nazywasz, żebym wiedział komu obowiązany zostanę.

— Bronisław z Żarnowca — odpowiedział młodzian.

— Z Żarnowca! — przerwał hrabia głosem zasmucenia. — Waszmość ród wiesz, niech to go nie obraża, z miejsca, któreby nazwać można raną Polski najboleśniejszą! Cóż czynić kiedy tak losy zrzędziły! Spodziewać się jednak trzeba, że wkrótce świętobliwość apostolska zleje na tę ranę balsam zgojenia. Powiedźże mi czy w murach Żarnowca nic dotąd nie zapowiada tej pożądanej odmiany?

— Ja wracam z służby zagranicznej, w której lat kilka spędziłem, i wcale nie wiem co się dzieje w Żarnowcu.

— Co się ma dzieć? — odezwała się z żywością milcząca dotąd niewiasta — łzy i narzekania, których żadna świętość inaczej ukoić nie zdoła, jak przez wrócenie do praw należytych niewinności nękaniej.

— Waćpani widzę nigdy mię nie zechcesz zrozumieć, i uprzedzona za płcią swoją obstajesz. Zostawmy królów na trudnej ich drodze rządzenia, a lepiej dopełnijmy własnej powinności — przerwał hrabia, kryjąc swą niechęć, i obracając mowę do Bronisława. — Waszmość tedy z obcej wracasz służby; cieszę się z tego, bo mi to może poda sposobność stania się mu użytecznym, jeślibyś, jak się spodziewam, życzył sobie własnemu służyć krajowi. Ja do Krakowa jadę, będę się widział z królem jegomością; może masz jakie życzenia, jakie łaski dla siebie lub dla przyjaciół do otrzymania; chciej być otwartym, i wierz, że dołożę wszelkiego starania, abym go przekonał ile mi drogą jest jego przysługa.

— Nic nie mam do żądania od króla — odpowiedział młodzieniec — chciałbym się wprzód mu zasłużyć, nimbym powziął jakie życzenia; prócz tego mądrość tego pana, jakem słyszał, sama umie wyśledzać potrzeby i sposoby uszczęśliwiania poddanych. Gdybym się jednak znajdował kiedy w przypadku szukania łask królewskich, proszę wierzyć, że nie zaniedbam korzystać z tak życzliwych oświadczeń.

— Kiedy więc jesteś nieublagany, dozwól przynajmniej niech ci podziękuje moja córka za swe zachowanie; spodziewam się że jej wdzięcznością nie wzgardzisz. Hanno — zawołał głośno — czemuż się tak długo ukrywasz? chodź do nas i daj się poznać twemu wybawcy!

— Zaraz, zaraz, drogi mój ojcie! — odezwał się głos najprzyjemniejszy w alkierzu.

— Biedna Hanna — rzekła niewiasta — jeszcze zapewne nie przyszła do siebie; ja się boję, żeby ten wypadek nie miał na jej zdrowie wpływu.

— To jej szkodzić nie może, że się da widzieć — odpowiedział hrabia — trzeba też aby przywykała być w każdym czasie gotową.

Nastąpiła chwila milczenia, w której Bronisław miłych i nieprzyjemnych kolejną doznawał uczuć. Wszystko w tym domu miało w jego oczach postać smutku i przymusu; a najprzód widok zasepionej wymówką hrabiego niewiasty, którą łatwo było poznać, że jest córki ochmistrzynią, a nie tą którą wczora obok niej widział. przykre mu sprawiał wrażenie. Miał on wkrótce ujrzeć Hannę, tę Hannę, która ukazawszy się mu tak miłą i dobroczynną, przez ostatni wypadek droższą mu jeszcze została; i lękał się ją widzieć — bo unywał jego szlachetny czuł się w kłopotcie na potrzebę odebrania głośnego hołdu wdzięczności, którąby jego skromność czulemu milczeniu zostawić chciała. Patrzył więc z niecierpliwością i trwogą na zasłonę wiszącą przed drzwiami alkierza; każda chwila spóźnienia powiększała jego niepokój; wtem uchylona firanka ukazała wchodzącą prześlicznej urody dziewczęcę, w ciemnej aksamitnej sukni — ale nie tę na którą serce jego czekało! Postać jej wysoka, wspaniała, twarz piękna, świeża, warkocz ciemny, krok poważny, podobną ją czyniły do jednej z bogiń starożytności — słowem byłato bardzo piękna osoba, lecz niczem nie przypominała wdzięcznej Podgórzanki; a oczy duże, czarne, na dół spuszczone, zarumienione lica mówić zdawały się, że ją niezmiernie to ukazanie się kosztuje. Bronisław, własnym niewierzący oczom, albo raczej przekonany, że to jest jedna z panien hra-

bianki, jeszcze się łudził nadzieją, i niepewny ukłon oddając, czekał na odezwanie się, gdy dziewica, zbliżywszy się do hrabiego:

— Jestem na twe ojcze rozkazy — rzekła całując jego rękę, i skromny ukłon młodzieńcowi oddała.

— Bądź córko wdzięczną twemu wybawcy, bądź mu wdzięczną całe życie! — odezwał się hrabia, ukazując młodzieńca — bez jego pomocy twój ojciec byłby dziś najnieszczęśliwszym.

— Będzie mi zawsze ta chwila przytomną — odpowiedziała nieśmiała dziewica, i siadłszy obok ochmistrzyni, zaczęła z nią zcicha rozmawiać.

Łatwo sobie wystawić, jak srodze ta przemiana udręczyła młodzieńca. Cała piękna jego marzeń budowa runąwszy razem, zdała się szydzić z jego łatwowierności. Nie żałował on wcale podjętego w obronie nieznanegoj osoby trudu; lecz gdy nią nie była ubóstwiana Hanna, wołałby był oddalić się z miłym omamieniem, niż być wezwanym do przyjęcia dzięk od tej, której poznanie tak mu okropnie błąd wyrzucało. Cóżkolwiek-bądź, kryjąc pomieszenie, starał się stosowną do okoliczności powierzchowność zachować, tem jedynie zajęty, aby się jak najprędzej z tych odwiedzin wyzwolił.

— Jednakże to jest rzecz dziwna — odezwał się hrabia przerywając milczenie — jaki mogli mieć zamiar ci hultaje rozłączając mię z córką, i dlaczego żaden z nich nie rzucił się raczej na sprzęty, które tak łatwo mógł zabrać.

— Rzecz jasna — odpowiedziała ochmistrzyni — gdyby mieli czas dobrać się do tej izby, wielebyśmy się podobno rzeczy nie dorachowali, w alkierzu nic nie znalazłszy, porwali tę która najpierwsza wołać zaczęła ratunku.

— A waćpani spałaś tymczasem wybornie, kiedy nawet mieli czas unieść jej wychowanicę za okno. Dałby Bóg żeby sama żądza łupieży była celem tego napadu! — mówił hrabia z wyrazem znaczenia.

— Okoliczność ta — odezwał się Bronisław — zasługuje na najściślejsze śledzenie, tem bardziej, żeś słyszał jak na uniesienie pani zrywali się.



— Czy to być może? — przerwał zdziwiony hrabia. — I waszmość słyzałeś imię mej córki?

— Nie słyzałem imienia, lecz słyzałem kilka słów o rzadkiej piękności osobie, którą unieść chcieli; i ztąd wnoszę, że nią być może córka waszmości.

— To jest jakaś omyłka — przerwała żywo ochmistrzyni — nasze słuźące są także gładkie.

— Nie przeczę — rzekł Bronisław — mozem źle słyzał; jednakże nie zawadziłoby wiedzieć o tych, którzy tej zbrodni byli sprawcami. Naczelnik ich, jeźli dobrze pamiętam, nazywał się Korbat.

— Korbat? — powtórzyła z zadziwieniem ochmistrzyni — to właśnie jest imię jednego z hersztów, o którym mi onegdaj na popasie mówiono, że w tych stronach plondruje. Alboż nas nie przestrzegano w Świdnicy, żebyśmy z jak największą ostrożnością przez ziemię kaliską jechali, i że jakiś pan wielkopolski, rozjątrzony na króla, że mu zabrał imiona, pod postacią pielgrzyma trwogą napełnia te okolice. Głód do wszystkiego ośmiela.

— Mojato wina — rzekł hrabia — zem ulegając Hanny życzeniom, zjechał z drogi dla odwiedzenia cudownego obrazu; gdybyśmy prosto Szląskiem jechali, jużbyśy dawno byli w Krakowie.

— Odtąd trzeba będzie lepiej opatrzone wybierać noclegi — rzekła ochmistrzyni.

— I lepiej dozorować mej córki — dołożył hrabia. — Ja w najpierwszym grodzie zażalenie zaniosę na tak źle ubezpieczone drogi, i wezwę starostę do przydania mi zbrojnej zaślony. Ale dosyć już o tej przygodzie, i niech mi nikt więcej o niej nie wspomina.

Przez cały czas Bronisław patrzył na Hannę, jak gdyby jeszcze sam sobie nie wierzył; lecz ona, ciągle smutna i milcząca, trzymając piękne swe oczy na ojca zwrócone, zdała się unikać spojrzeń młodzieńca. Dziwną on znajdował tę jej obojętność: i chociaż nie był wymagającym, nie umiał pojąć, jak osoba dobrze wychowana tak mało dbać mogła o powierzchowne przynajmniej oznaki grzeczności, do której tyle miał prawa; a co większa, że ochmistrzyni nienajlepszy jej przykład da-

wała. Pomnąc jednak, że może skromną dziewicę rumieni pamięć chwili, w której ją w nocnym nieładzie wydarł z rąk zbójców, i że jej dozorczyńni, czując się winną braku pilności, słusznie się utrapia, przestał porozumiewać je o złą chęć dla siebie, a unikając natręctwa, powstał z krzesła i zaczął żegnać przytomnych. Co tylko uprzejmość możnego pana zdoła mieć najpochlebniejszego w wyrazach, nie przestawał hrabia powtarzać, siebie i swą córkę do nieskończonych obowiązków wdzięczności; Hanna z ochmistrzynią skromny oddawała ukłon, gdy ojciec jej, odprowadzając gościa aż do drzwi, ciągle mu dzięki swoje oświadczał.

Rad nasz młodzieniec, że się wydobył z tak męczących zaprosin, gdy z nich tej nawet nie odniósł korzyści, żeby się dowiedział komu miał szczęście ocalić córkę, wyszedłszy z izby, chodził między ludem stajennym, spodziewając się, że może przypadkiem imię hrabiego usłyszy; lecz woźnice o piwie, miodzie i obrokach gadali, a znaki herbowe nie przeniosły się były jeszcze wtenczas z tarcz i chorągwi na pojazdy i guziki liberyi, żeby z nich można było sądzić o nazwisku i godności podróżujących osób. Straciwszy tedy nadzieję dogodzenia ciekawości, obrócił tam gdzie go wdzięczniejsze wzywały wspomnienia, to jest poszedł oglądać to miejsce, na którem przed kilku godzinami szczęście zdarzyło mu dać pomoc nieznanemu osobie. Jeszcze okienica wydarła i rozproszona na ziemi kawałki odzieży zuchwalca mile mu przypominały tę chwilę obłudną, w której mniemając, że trzyma w swym ręku skarb najdroższy, Hannę, nie oddałby jej był za najpiękniejszy dzień chwały! Patrzał z smutnem upodobaniem na zdeptaną ziemię, gdy postrzegł nadchodzącą ochmistrzynię, która zatrzymawszy się nagle:

— Waszmość, jak wierny rycerz płci naszej, jeszcze się poisz widokiem miejsca swej chwały — rzekła głosem łączącym w sobie gniew z szyderstwem — winszuję mu tego zwycięstwa!

— Nie szukam w niem chluby; idąc tylko do konia zatrzymałem się na chwilę — odpowiedział zmieszany młodzieniec.

— Kto cię prosił o ten ratunek? — zapytała z wzrokiem zaiskrzonym niewiasta — po co się było w cudze sprawy mieszać? Niebaczny! ratując ją, wydarłeś jej może ostatnią ratunku sposobność.

— Pani! mój zamiar był uczciwy — rzekł głosem pewności młodzieniec — lecz gdy się jej nie podoba, szczerze boleję nad niewczesną moją przysługą.

— Już to stracone! lecz zaklinam cię, szukaj daleko od nas pola twej waleczności; a jeżeli nie chcesz być najnieszczęśliwszym z ludzi, lękaj się nas więcej spotykać. — I znikła strzegąc się być widzianą.

Hanna tuż idąc za ochmistrzynią, rzuciła okiem na młodzieńca, a wzrok jej groźny nadto potwierdzał odebraną przestrogę, żeby mógł wątpić o swej srogiej pomyłce. Jak przykuty do ziemi, pozostał nieszczęsny na miejscu; już nie tego, że nie Hannie z Podgórze, lecz że niewdzięcznej jakiejś dał pomoc, żałował; gorzkie go myśli trapiły, poczem nagle zerwawszy się, poszedł gospodarzowi zapłacić należność, i siadając na koń: „Nieprędko mię złudzisz cnoto niewdzięczna!“ — rzekł głosem mocnego przekonania, i w swą drogę obrócił.

---

## ROZDZIAŁ VI.

---

Tych oto ludzi zabawa gromadzi,  
Błogo im widzę, wszyscy sobie radzi;  
Ja tylko od nich uciekam,  
Ja tylko jeden wyrzekam!

*Książnin.*

Jeżeli wolno piszącym zgadywać niekiedy myśli osób, które wprowadzają na widok, możemy zapewnić naszym czytelników, że umysł Bronisława, osobiwie w pierwszych chwilach po tej nieszczęsnej pomyłce, nie czem innem był zajęty, jak tylko głębokimi uwa-



gami nad nieroztropną porywcznością w oddawaniu przysług, i tem, jak często się zdarza, że one, połamawszy szyki osób, które zobowiązać chcieliśmy, zamiast wdzięczności, wieczną ich na nas ściągają niełaskę. Zajmowała go także pamięć pięknej Podgórzanki; a chociaż nierówność stanów, lecząca zwykle najsroźsze rany miłości mogła była uwolnić jego uczucia, i jak zwykle się zdarza, że z zniknięciem w drodze poznanej piękności, znika prędko i pamięć o niej — podróżny nasz jednak niełatwo zapominał drogą swojemu sercu wdziękami i dobroczynnością dziewicę. W takich myślach, straciwszy już nadzieję ujrzenia swojej piękności, bez przypadku kończył swą drogę, i dnia następnego koło wieczora do celu jej zbliżać się zaczął. Serce jego żywą pałało żądzą przybycia jak najprędzej do miejsc rodzinnych; nieśmiałość jednak jakaś, wstrzymując kroki, zdała się w nim zapowiadać, że nie jest jeszcze pewien jak miłym będzie tam gościem. Już słońce zachodnie ostatnim doświecało promieniem, gdy ujrzał wznoszące się nad las krągłe baszty Żarnowca. Widok ten obudził w nim gasnącą nadzieję; stanęły mu na myśli szczęśliwe w tem miejscu spędzone chwile dzieciństwa, równienników igraszki, łowieckie wyprawy, i te cieniste brzegi Pilicy, wzgórki i doliny, świadki uciech jego niewinnych, które jak gdyby umyślnie na jego przybycie, w świeżą wiosny szatę przybrane, zewsząd go witać zdawały się. Zaniechawszy zatem troskliwych myśli, przyspieszył kroku, i wkrótce wjechał na krzemienistą drogę wiodącą pod górę gdzie samotny stał zamek.

— Kto jedzie? Nie wolno! — zawołał sztyldwach u bramy, zastawiając włócznię przed koniem młodzieńca.

— Swój — odpowiedział Bronisław, i zwyczajem rycerzów, zsiadłszy z konia, zdjął hełm i zawiesił go na bramie zamkowej.

— Czy gościnności żądacie? — zapytał sztyldwach.

— Nie żądam gościnności, lecz stanąwszy na ziemi najjaśniejszej pani, składam hełm w jej progu, na dowód winnego uszanowania.

— Będzie opowiedzianie. A gdzież szukać jeźli ze-chce was widzieć?

— Powiedz mi najprzód mój przyjacielu, czy Kosidło jest w domu?

— Kto? ten stary dziwak co z nikim nie żyje? a gdzieżby miał być jeżeli nie w swej budzie. Czy do niego jedziecie?

— Tam będę — odpowiedział młodzieniec, poglądając smutno na okna zamkowe.

— Szczęśliwa wam droga! ale jeżeli się do Kosidły na nocleg zbieracie, bardzo was żałuję; pewnie głodni pójdziecie na spoczynek.

— Teraz o to nietrudno. Powiedźże mi jak się tam mają na górze?

— Bardzo dobrze — odpowiedział szyldwach — choć zawsze zimny wiatr wieje.

Ucieszyła ta odpowiedź młodzieńca; mieszkała tam bowiem nieszczęśliwa Adelaida, księżniczka heska, druga żona króla, którą znał Bronisław i łask jej doświadczył. Poślubiona Kazimierzowi staraniem króla czeskiego, dobra, pobożna, innej winy nie miała nad tę, że ją natura we wdziękach niezmiernie upośledziła. Lecz, jak to często bywa, że z nadobną twarzą łączy się umysł wesóły, zamożny w tysiączne podobania się sposoby — a maiej pięknej nieśmiałość i często cierpkość towarzysząc dobre przymioty potłumia i wady wydatniejszemi czyni — Adelaida prędko przestała być miłą królowi, tem bardziej, że się znaleźli ludzie nikczemni, co oskarżając ją o wzajemność na czule zabiegi jednego z pierwszych urzędników korony, zupełnie ją w umyśle męża zgubili. Gdy więc rzeczy przysły do tej ostateczności, że dalsze pożycie było niepodobnem, Kazimierz wyłączając żonę ze swego towarzystwa, przeznaczył jej na mieszkanie zamek żarnowiecki, i oddał go pod straż szczególną kasztelana Zbigniewa.

Gdyby Adelaida, ulegając losowi, pozwoliła była na rozwód, jak tego ciągle król życzył, wątpić nie można, że odesłana do ojca jeszczeby sobie była oszczędziła nudów długiej niewoli, a może i szczęśliwszem postanowieniem pocieszoną została; lecz czyli że nadto kochała męża, aby się z nim mogła rozstać na zawsze, czyli zazdroszcząc imienia królowy szczęśliwszej nie-

wieście, uporem go swoim karać postanowiła, żadne prośby, żadne przełożenia skłonić ją nie mogły do przyjęcia rozwodu. Osadzona tedy w samotnym zamku, czas swój gorzko, osobliwie w początkach niewoli spędzała. Książki, muzyka, rysunek i tyle innych przyjemnych dzisiaj zatrudnień, nieznane w owym wieku, nie zapełniały długich jej godzin; sama tylko pobożność, wrzeciono lub igła były jej samotności osłoda. Nie schodziło jej wprawdzie na wygodach godnych jej stanu: miała ogród za zamkiem i przyległą wioskę do jego uprawy; wolno jej było nawet zwiedzać okolice, z którego jednak pozwolenia nie korzystała, wiedząc dobrze, że w tym wieku przewagi płci męskiej nad żeńską, każda żona niemiła mężowi, jakkolwiek była niewinna, tem samem że nią mąż pogardzał, już się korzystnie na świat pokazać nie mogła.

Tymczasem Bronisław, zbliżając się do kresu podróży, wjeżdżał w wioskę leżącą o parę staj za zamkiem, i zatrzymawszy się przed domem, którego okazalsza powierzchność zdała się uwiadamiać, że jest mieszkaniem wójta lub sołtysa, uwiązał konia u płotu, wszedł do izby otwartej, i stając w progu, spoglądał z niewymownem zajęciem na przechadzającego się w niej człowieka z założonemi na krzyż rękami, który w tak głębokiem był pogrążony dumaniu, iż niewidziany młodzieniec miał czas dobrze mu się przypatrzeć. Był to miernego wzrostu wychudły starzec, w krótkiej domowej roboty katance, ściśniony w stanie pasem rzemiennym. Włos jego długi, wiekiem ubielony, twarz śniada, zawiedła, a rysy namiętnościami zużyte, wyłączając go z stanu, w jakim go uboga odzież jego mieściła, zdała się wystawiać w niu istotę, której życie niejedna smutna naznaczyła przygoda. Starzec szerokim krokiem izbę przemierzał, nie wiedząc co się koło niego dzieje, gdy przypadkiem spojrzawszy na Bronisława, stropił się jak gdyby był schwytyany na złym uczynku.

— Czego chcesz? — zapytał głosem nieufności, a wzrok jego objawiał mocne przerażenie.

— Mój ojczu! drogi mój ojczu! — zawołał młodzieniec rzucając się w ręce jego.



— Tyżeś to Bronisławie! — odezwał się starzec, podnosząc suche swe ręce na uściskanie syna. — O! ty moje szczęście najmilsze, jestże to prawdą żeś do mnie wrócił? — mówił głosem najwyższej radości i oddalając się nagle — Ach! synu, źleś zrobił żeś wrócił! — zawołał z boleścią.

— Mój ojczy! — przerwał głosem rozpaczony młodzieniec — kiedyż się skończą twoje strapienia? Widzieć cię, ucałować twoje drogie nogi, tak słodką było serca mego nadzieją; czuję że moje przybycie szczęśliwymi nas czyni; i za cóż z ust twoich słyszę tak gorzką wymówkę?

— Boże bądź pochwalony! za twój powrót szczęśliwy; skróciłeś moje nocy bezsenne; jednakże źleś zrobił synu żeś wrócił! Nie mówiłem ci, żebyś nie wracał aż dam ci wiedzieć! Ale się stało. Agato! Agato! — zawołał, wyjrzawszy do sieni — rozpal na kominie, weź konia do stajni, i zgotuj nam jak najlepszą wieczerzę.

Agata, rzeźwa staruszka, oświeciła izbę, i poznawszy pańskiego syna, przewitała go z całym wylewem swej szczerzej radości.

— Ale jakżeś ślicznie mi wyrosł! — mówił ucieszony starzec, wpatrując się z rozkoszą w syna — twarz twoja przypomina mi pięknej twej matki oblicze, a twoja dzielna postać przemawia żeś nieodrodny twych ojców potomek. Lecz co widzę! — zawołał nagle, przestraszony — ty w sukni czerwonej?

— Tak jest mój ojczy — odpowiedział młodzieniec na nowo zmieszany.

— Ach, to już nadto! nie mówiłem ci tysiąc razy, wyprawiając w świat: Bronisławie strzeż się sukni czerwonej! niech ona nigdy nie okrywa twych ramion, jeżeli chcesz żeby błogosławieństwo moje było nad tobą.

— Pamiętałem o tem, lecz wyszedłszy z wojska musiałem wysłużoną barwę zatrzymać nie mając innej.

— Co za nieroztropność! ja nie wiem jak ty żyjesz jeszcze przy tak złem chowaniu zaleceń ojcowskich. Czy nie wiesz, że nasi nieprzyjaciele znowu się obudzili? Nie, ja cię w tej szacie widzieć nie mogę, i jeżeli chcesz mi-

lym mi być gościem, rzuć ją natychmiast a wdziej moją odzież.

Musiał być posłusznym Bronisław, i przebrawszy się w komorze, jakkolwiek stracił na tej przemianie, był nierównie milej widziany.

— Siadajże więc — mówił starzec z większą poufalością — powiedz mi gdzieś bywał i jak ci się powodziło?

— Dosyć pomyślnie. Wszędzie mi mój ojciec przy twym błogosławieństwie służyło zdrowie i dobre imię.

— Zdrowie rozumiem, bo zdrowie lubi ze złą chodźć fortuną; lecz dobre imię, mówił trzęsąc głową, to nie wiem jakby być mogło. Czy myślisz że z nazwiskiem Kosidły dobre imię zgodzić się może?

— Mój ojciec, cnota tylko tworzy imiona.

— Słowo stare jak świat. Cnota, mój kochany, nie-rada się pod paklakiem objawia. Ale jeźliś umiał ją zmusić, żeby ci na obcej ziemi sprzyjała, po co było wracać na własną?

— I czegoż mogłem więcej pożądać? Opuściwszy dom twój przed ośmiu laty, różną szczęścia chodziłem koleją: dostałem się nakoniec w służbę cesarską. Zawsze w obozie lub w boju, nabyłem może praw jakich do szacunku towarzyszków broni; ciągle mię jakaś dobroczynna ręka wspierała — zapewne drogi ojciec twoichto starań był skutek; lecz cóż jest ta chwała i to powodzenie, gdy im nie odpowiada przekonanie wewnętrzne, że nasze dni schodzą dla kochanej ojczyzny! Tymczasem rozeszła się w Pradze cicha wieść gotującej się wy-prawy na Polskę; przybycie księcia mazowieckiego potwierdziło jej pewność; czyż mogłem jedną chwilę pozostać w obcych szeregach, gdy przez nie moja ojczyzna jest zagrożoną?

— Twoją ojczyzna? — powtórzył starzec z gorz-kim uśmiechem. — Są inni na jej obronę; tys raz obroną drogą iść był powinien.

— O! jakże przykrą byłaby ta droga! twoje i nieba błogosławieństwo czyż nie odstąpiłoby mię słusznie? Wreszcie ty ojciec, w twym wieku, bez przyjaciół, wsparcia, wśród głodu i powietrza! Na tę myśl opanowała

mię tak wielka tęsknota, że nie czekając twoich rozkazów, wziąłem uwolnienie i pospieszyłem do ciebie.

— Płochosć dziecinna! Chciałeś mię widzieć, więc widzisz zdrowym i niezniekanym, jakieś widział przed ośmiu laty. Czy włos mój odtąd bardziej pobielał? czy moje czoło ku ziemi schylone? Lecz jeźliś tak dobrą służbę opuścił, powiedz mi co myślisz przy mnie tu robić? Czy chcesz, wyręczając ojca, od rana do wieczora stać nad ludem pracującym w polu, słuchać jego złorzeczeń, lub znosić pańskie przygany? Może chciałbyś dworskiego chleba skosztować i w pstrej szacie pochlebnym językiem łask się pańskich dobijać? — mówił, szerokie czyniąc kroki po izbie. — Nie synu, póki ja żyję, nie dopuszczę ci tego spodlenia.

— Nigdy takie życzenie nie powstało w mojem sercu: lecz dozwól mi zaciągnąć się pod znaki ojczyste.

— Mów raczej pod znaki śmierci haniebnej! — przerwał oburzony starzec. — Pókiśmy siermięgą okryci, nędzni i nieużyteczni, póki nas deptać mogą nasi nieprzyjaciele, póty uspieni żyć nam dozwolą; czerwona barwa ich zbudzi, jak budzi zajadłość wilczą postrzeżona na podobnem stworzeniu świeża posoka. O! stokroć szczęśliwsi Zarębowie, spółnicy losu naszego, których już rodu i imienia nie stało na tej ziemi niewdzięcznej. Widziała niedawno Polska naród swój łączący się z panem na wybranie następcy tronu; przyjął Ludwik z radością ten zaszczyt, nie skąpił łask, każdy otrzymał co żądał — jam tylko został bez pocieszenia! Widziała niedawno Wiślica dzień wielki, króla dającego wolnemu ludowi praw księgę; biegł tam naród ze wszech stron Polski; każdy kmieć nawet mógł być uczestnikiem dobra co na wieki miało kraj uszczęśliwić; — mnie tylko odepchnięto ze wzgardą! Tam winy poddanych przeciw panującym, niezgody domów odwieczne, najazdy i rozboje w chętniej niepamięci grzebano, naród nowem życiem odetchnął, każdy ucieszony wracał do domu; — mnie tylko z niezatartą zostawiono plamą! I ty synu, ty chcesz dni twoje poświęcić tak dzikiej ojczyźnie? ty mógłbyś służyć tak okrutnemu królowi?



— Boleść twoja, mój ojczy, rozdziera mi serce! Miałem ja czas przekonać się jak wiele u panów zależy od przełożenia, od szczęśliwie uchwyconej zręczności. Zkądże ta pewność, że król jest na nas zawzięty? Jam tyle słyszał o jego wspaniałości, dobroci; chwila łaski może nie jest daleką. Może też ma nam za złe, że się trzymamy Żarnowca.

— On nie wie kto jest ekonomem w wiosce królowej. Albo myślisz, że gdybym był poznany jeszczebym żył dotąd?

— A królowa, mój ojczy, jestże na ciebie zawsze łaskawą?

— Nieszczęśliwa! nie ma nic prócz czczego tytułu królowej; lecz jej litość droższa mi jest nad wszystko czemby mię mógł obdarzyć ten świat niewdzięczny.

— Dobra pani! więc wie o naszej niedoli?

— Bóg nieszczęśliwych domyślnością łączy. Jam jej nigdy nie rzekł o sobie, lecz służąc lat kilkanaście, miałem sposobność przekonać się, że dobrze znany jej jestem.

— Więc czy nie możnaby za jej przyczyną wejść w służbę krajową?

— Ani myśl o tem! Nielubiona w kraju, niemila królowi, prędzej zaszkodzić jak pomódz jest w stanie. Wreszcie gdyby cię nawet mogła przy pomocy biskupa Bodzanty umieścić w jakiej odległej chorągwi, ja nigdy nie pozwolę abyś służył Polsce!

— Gdzież się więc nieszczęsny obróć! — zawołał przejęty smutkiem młodzieniec. — Ojczyzna mię odrzuca, panowie zagraniczni nieradzi w szeregach swych widzą cudzoziemców; cóż mi czynić zostaje!

— Cierpieć i ufać — odpowiedział starzec. — Jeszcześmy nie przyszli do ostatniego kresu niedoli; dochodziły mię kilkakrotnie pewne oświadczenia, pewne warunki możnego człowieka, który się chciał czynnie zająć mym losem, którego niewidzialna ręka w Pradze ciebie wspierała; mozem źle zrobił, zem pomoc jego odrzucił; ale ja nie chcę przyjaciela w dobroczyńcę zamieniać. Już ja jak nędzny niedoperz trzymać się będę tych murów, lecz twojej młodości muszę dopo-

móźdz. Dziś może jeszcze wypadnie mi widzieć się z królową; ona cię dobrze pamięta; będę ją prosił o list do jej ojca landgrafa heskiego, żeby cię w swej służbie umieścił, bo prócz tego długo u mnie zostawać nie możesz.

— Dobrze mój ojczu, lecz jeśli, jak się zdaje, landgraf zechce posiłkować cesarza przeciw Polakom, ja nigdy nie stanę w jego szeregach!

— Tembardziej — odpowiedział starzec — bo wtenczas mógłbyś na polu chwały sięgać orężem tych, którzy ci nie dopuścili użyć go w potrzebie własnej ojczyzny. Jeszcze też nie trąbią do boju. Tymczasem gdybyś spostrzegł co nadzwyczajnego w tym domu, ani się temu dziw, ani żądaj tłumaczeń; lecz przekonany że czynię co muszę, bądź tak, jak gdybyś i wszystko i nic nie wiedział, rozumiesz?

Bronisław przyrzekł posłuszeństwo. Dziwiło go objawienie tak osobliwsze; radby był obszerniejszą o tem powziąć wiadomość, lecz pełen uszanowania, pozostał w milczeniu. Właśnie w tej chwili nadbiegł z zamku pokojowiec odnoszący hełm młodzieńcowi z oświadczeniem: że królowa wdzięczna pamięci rycerza, dzięki mu za hołd złożony przesyła, i pragnąc go poznać, zaprasza jutro do siebie na zamek. Starzec odpowiedział, że nie zaniedba stawić syna. Tymczasem ukazała się Agata, dając znać do stołu. Poszedł za ojcem do komory Bronisław, gdzie czekała go skromna ale smaczna wieczerza, po której z długich niewczasów do pożądanego zabrał się spoczynku.

---

## ROZDZIAŁ VII.

---

Powiejcie wiatry od wschodu!  
Z wami do mojego rodu  
Poślę skargę obciążoną,  
Miłością moją skrzywdzoną!

*F. Karpiński.*

Zaledwie Bronisław układał się na łożu, które mu Agata w pierwszej sporządziła izbie, ukazał się w niej wchodzący ostrożnie pielgrzym widziany niedawno u rozwalin Bolesławca. Poznał go zaraz młodzieniec po białych włosach i dzikim wzroku; lecz pomny zaleceń ojca, pozostał w milczeniu, czekając co z tych odwiedzin wyniknie. Kosidło tymczasem, oddawszy mu ukłon głęboki, brał się do czapki i laski, dając poznać, że gotów był na jego rozkazy.

— Czy nie przychodzę za późno? — spytał pielgrzym surowo.

— Owszem w sam czas — odpowiedział starzec — jeszcze nie ma północy, i właśnie będzie gdy staniemy na miejscu.

— Uprzątnionoż zawady?

— Wszystko jest w porządku.

— Bacz dobrze! — rzekł pielgrzym, ukazując mu sztylet z zanadru — ty pierwszy padniesz na najmniejszy znak zdrady!

— Ja zdradzać nie umiem — groźnem groźne zbijając spojrzenie, odpowiedział starzec — kto mnie nie ufa, niech nie szuka mojej pomocy!



— Chodźmy więc — ponowił pielgrzym, ruszając sążnistym krokiem, i ciągnął z starcem uboczną ścieżką na zamek.

Chociaż w bramie jak zwykle w nocy most był zwiedziony, na dany znak przez starca otworzyła się ostrożnie furtka, a wysunięty z wewnątrz niewidzialną ręką dyl szeroki, służąc za kładkę, ułatwił przejście. Ciemność i milczenie panowały w gmachu. Wprowadzony pielgrzym na górę, przebywszy kilka sal próżnych, w ostatniej, oświetlonej ogniem z ogromnego komina, przyjęty został z uradowaniem przez wysokiego, chudej postaci starca, w błękitnym do kolan kaftanie, z pękiem kluczów u pasa, i w czarnej gładkiej czapeczce, którą zdjawszy z pospiechem, tysiączne pielgrzymowi oddawał ukłony, witając go ziemczą polszczyzną, i wybiegłszy do przyległej komnaty, wrócił niezwłocznie, dając znać, że wejść tam można.

Była to izba obszerna, obita ciemnem suknem, na którym wyszywane w kolory ręką nienajkunsztowniejszą wizerunki świętych męczenników olbrzymiej wielkości, oraz gockiem literami u góry różne pobożne godła i napisy, dawały jej postać smutnej powagi, którą jeszcze bardziej uroczystą czyniło słabe światło kilku lamp zawieszonych przed znakomitszymi świętymi. Siedziała tam przed długim dębowym stołem prostej roboty, mała, krępa, około czterdzieści lat mająca niewiasta, w czarnej obszernej szacie, zatrudniona dobywaniem z żelaznej szkatułki kosztownych ozdób niewieścich, pereł, djamentów, rubinów i innych w sprzęt oprawnych kamieni. Twarz jej duża, płaska i blada, oczy i nos małe, żałobne odzienie, przykro odbijały od tego zbioru bogactw, które wyschłą przekładając ręką, zdała się w smutnym umyśle wznawiać przywiązane do nich miłe wspomnienia przeszłości. Jak tylko stanął przed nią pielgrzym, padłszy na kolana:

— Cześć i chwała tobie najjaśniejsza pani! — zawołał z uczuciem.

— Czyż się godzi księżę do tego unizać się stopnia, żeby mnie, niewolnicy jednej, godny tylko Boga i jego

świętych oddawać pokłon! Wstań, proszę, i racz usiąść!  
— mówiła, podnosząc go łaskawie.

— Nie zwij mnie pani księciem — zawołał pielgrzym — byłem nim kiedyś, byłem więcej, bom był najszcześliwszym z ludzi! Teraz jestem żebrakiem! twój mąż okrutny a mój stryj nieludzki wszystko mi wydarł! Ale ty pani, może na mnie długo czekałaś? daruj, ostrożność potrzebna i późno zachodzący księżyc były tego przyczyną.

— Mój książe — odpowiedziała królowa z przymuszonym uśmiechem — mojem przeznaczeniem jest zawsze czekać. Ale jakież mi przynosisz nowiny?

— Najpożądane: zemsta się nad głową ciemiecy unosi; lecz trzeba pani, żebyś także działała.

— Ja mam działać? żartujesz książe; ale powiedz mi, widziałeś się z naszym przyjacielem Ziemowitem?

— Widziałem go przed dwoma dniami na szląskiej granicy gdy z Pragi wracał.

— Jakież są jego zamiary?

— Wzmocniony spadłością ziem obszernych po bracie, kochany od sąsiadów, miły poddanym, szlachetny, waleczny, jako Piast, postanowił zamiast oddania wymaganego przez Kazimierza hołdu, mieczem się dopomnieć upośledzenia swego do tronu, i na ten koniec zbrojnie mu zaprzeczyć prawa do ziem czerwonoruskich, jako niesprawiedliwie swym przodkom wydartych.

— Nic słusniejszego zapewne. Lecz co na moje przełożenia powiedział?

— Nigdy on większą życzliwością dla waszej królewskiej mości, nigdy większą nienawiścią nie oddychał dla jej okrutnego małżonka; i gdyby mu tylko czas pozwolił, samby się stawił u stóp twych, pani, dla zapewnienia cię o swych uczuciach.

— Ach! ja nie tego żądałam od księcia! — rzekła z zmartwieniem królowa. — Lecz czy wiadomo mu przynajmniej jaki duch panuje w ziemiach, od których chce zacząć upokorzenie mojego męża? Lud tam wiary niepewnej, łatwo się przechyla na stronę bogatszą, a Ziemowit nie ma czem brząknąć.

— Miłość wiary ojców jest potężniejszym bodźcem nad wszystko. Dzielny Daszko, starosta Ziemi Przemyskiej na Rusi Czerwonej, kochany od narodu, a zniechęcony surowością środków jakich duchowieństwo polskie używa w nawracaniu krajowców do katolickiego wyznania, gotów jest za najpierwszą zrzeczością wybić się z jarzma polskiego. Ma on po sobie księcia na Ostrogu, wielkorządcę Wołynia. Ziemowit już się z nimi porozumiał. A gdy Ludwik węgierski targuje się z wujem o posiadłości tych krain, Ziemowit uprzedzając skutki ich naradzeń, chce nagle przez Podlasie wpaść z wojskiem na Wołyń, i ztamtąd przy pomocy Tatarów kapczackich działać przeważnie. Lecz ponieważ dla zasłony jego krajów dziedzicznych potrzebna jest pomoc Krzyżaków, prosi cię pani o wstawienie się do cesarza, żeby, jakoswych sprzymierzeńców, skłonił do tej posługi.

— Czy cesarz życzy sobie wspomagać otwarcie księcia mazowieckiego przeciw memu mężowi?

— Czekaj tylko na twój głos, pani. Nie trzeba ci mówić, żeś z ręki ojca jego Jana poślubioną została Kazimierzowi, i że z dawną dom luksemburski technie uczuciami przyjaźni i życzliwości dla domu twojego. Nie uwierzysz pani, ile cesarz boleje nad twą niedolą! O gdybyś była, zamiast szukania papieskiej opieki, jego się powierzyła obronie, jużbyś może dawno do praw twych wróconą została!

— Ach! czyż się nie odzywałam, czy nie szukałam jego pomocy? lecz na wszystkie me skargi czezej tylko pociechy odbierałam odpowiedź. Już podobno nie ma mocy światowej, któraby mię wsparła!

— Przy zachodzących stosunkach między cesarzem a twoim małżonkiem, nie listy i pisma, lecz łzy, łzy twe, pani, mogły tylko działać skutecznie. Karol jest czuły, dobroczynny, wspaniały; lecz trzeba umieć go wzruszyć. Tak jest; stań przed nim w tem wdowiem odzieniu, błagaj i wyrzekaj, a pewnie otrzymasz potrzebną nam i tobie pomoc!

— Słuchaj książę gniewkowski — rzekła z zastanowieniem królowa — wszystkom gotowa uczynić na



przyspieszenie zguby Kazimierza; lecz póki jestem niewolnicą jego, opuścić tych murów nie mogę.

— I cóż cię pani do nich przywiązuje? — zapytał zdziwiony pielgrzym.

— Rozkosz trapienia Kazimierza moją pod jego bokiem obecnością. Nie ja jego, on moim jest więźniem.

— Jak to! — przerwał oburzony pielgrzym. — Dwanaście lat ciężkiej niewoli, dwanaście lat gorszącej niewierności małżonka, jego gwałty, zabory, ucisk duchowieństwa, ten nawet mor z głodem karzący naród za zbrodnie pana, nie są jeszcze dostateczne, aby twą nienawiść połączyły z świętym zapałem kilku książąt usiłujących uwolnić się od przemocy tyrana! On szydzi z twej zemsty, która ciebie tylko udręcza. Ach pani! jeżeli twej hańby nie czujesz, jeżeli cię nasze nie obchodzą krzywdy, zostań więziona, nam dozwól działać!

— Władysławie! — rzekła królowa, spokojniejszą przybierając postawę — ty we wszystkich twoich uczuciach zawsze byłeś niepomiarowany, i pozwól sobie powiedzieć, że ten zbytek namiętności zgubę twoją przyspieszył. Widzisz te skarby — mówiła, pokazując mu rozłożone na stole drogie swe sprzęty — weź je i mnoż niemi liczbę nieprzyjaciół mojego męża; lecz nie żądaj abym ustąpieniem z tych murów zostawiła mu pole zwycięstwa. Wreszcie taka jest wola papieża, taka rada biskupa Bodzanty, i takie moje niezmiennie życzenie!

Rzucił pielgrzym wzrok smutny na błyszczące kamienie, jak gdyby chciał mówić, że jakkolwiek drogie niczem są w porównaniu jej łez o które błaga; i przeszedłszy się kilka razy po izbie: — Pani — rzekł głosem spokojniejszym — czy wiadomo ci jest, że nienawiść Kazimierza ku tobie zwiększa się z jego coraz mocniejszą miłością dla Czeszki?

— Na co mi to mówić — przerwała urażona królowa — wiem ja bardzo dobrze, że Kazimierz jest zakochany, bo kiedyż nim nie był; lecz wiem oraz, że tą razą miłość jego nie jest podzielana.

— Powiedz raczej pani, nie jest wyznana przez skromną dziewicę — ponowił pielgrzym z złośliwym

uśmiechem — bo jeszcze oczekiwany z Awenionu go-  
niec nie nadbiegł z rozwodem.

— I nigdy nie przybędzie! Jak Bóg żywy, nigdy się  
go Kazimierz nie doczeka! — przerwała, powstając na-  
gle. — Niech się niewdzięczny wysila na moje udręczenia,  
niech te ręce więzami obciąży, nigdy moje usta nie wy-  
rzekną pozwalam.

— Ale na co się ma Kazimierz wysilać na twe pani  
męczarnie; alboż nie ma krótszej drogi do uwolnienia  
się od ciebie? Żeby się bardzo z czułości nowej ko-  
chance zalecił, gdyby chciał mnożyć twoje katusze. On  
nawet nie potrzebuje kłaniać się papieżowi; może po  
prostu kazać ogłosić, żeś z powietrza umarła.

— Nie ksiązę, to być nie może, to być nigdy nie  
może! Ja znam Kazimierza: potrafi on być płochym,  
niesprawiedliwym, okrutnym; ale nigdy nikiemnym.

— Nikezemnym! jak źle słowo użyte! Wszakże  
i Przemysław był dzielnym, wspaniałym, szlachetnym;  
a niemniej, gdy się nie mógł pozbyć żony inaczej, kazał  
już służebnicom udusić — i potem jej płakał!

— Nie mówmy więcej o tem — rzekła przejęta  
zgrozą królowa. — Oto powiedz mi lepiej, w cóż się obróca  
twoje ksiązę gniewkowski prawa do tronu, kiedy tak  
gorliwie wspierasz Ziemowita?

— Moje serce zemstą tylko oddycha! I cóż mi, że  
nie linia Piastów gniewkowska na tronie zasiędzie, byle  
nie ten Kujawczyk obmierzły. Póki miałem ziemię i wło-  
ści, które mi Kazimierz siłą lub podstępem odebrał;  
póki miałem żonę, wzór cnót i wdzięków, która nie zdo-  
łała przeżyć krzywd męża, mogłem pożądać korony,  
aby jej blask podzielić z tą, która życia mego była naj-  
piękniejszą ozdobą! Lecz kiedym ją stracił, kiedy jestem  
sam, jak uschły dąb bez odrostka, cóż mi zostaje jeżeli  
nie pomsta tej, która mnie miała odrodzić? Tak jest,  
pani! — zawołał, wyciągając z rękawa obnażoną rękę,  
na której nosił czarny warkocz niewieści, i grożąc wznie-  
sionym sztyletem — te mi tylko włosy, jedyny szczątek  
jej wdzięków, zostały; pod ich godłem ta ręka póty  
nie spocznie, aż to żelazo w zabójczem sercu utopi!

Odwróciła z wstrętem królowa oczy od narzędzia śmierci; a gdy wściekły pielgrzym miotał sztyletem u góry, wypadło mu z zanadru niewielkie, pod pieczęcią pismo, które podjąwszy skwapliwie — Daruj, miłościwa pani — zawołał — zapomniałem ci oddać list Batorego.

— Batorego? — przerwała zdziwiona Adelaida, odbierając pismo — gdzieżeś się z nim widział?

— U bram Olkusa; zdał się tam ukryty czatować na kogoś. A gdym mu powiedział, że nazajutrz będę miał szczęście widzieć się z waszą królewską mością, prosił mię, abym ci pani list oddał i uwiadomił go niezwłocznie, jak łaskawie będzie przyjęty.

Królowa zaczęła list czytać, i przebiegłszy go prędko: — Co za zbrodnia! — zawołała pełna zgrozy — jak czarny podstęp! Książę gdzie ztąd obracasz?

— Do Torunia dla widzenia się z mistrzem.

— Zaklinam cię, staraj się najpród widzieć z Batorym.

— Nic łatwiejszego. On na mnie czeka pod Olkuszem; jutro rano będę,

— Widź się z nim koniecznie! — mówiła, dziką ożywioną radością — ani opuszczaj tych krajów aż się z nim obaczysz! Powiedz mu, że ufność jego bardzo mi jest miłą; niech śmiało przyjeżdża, ja wszystko ułatwię.

Tak mówiąc z pospiechem składała do szkatułki sprzęt drogi, i oddając ją pielgrzymowi, jeszcze ponawiała prośby widzenia się jak najprędzej z Batorym. Pielgrzym przyjmując dar z wdzięcznością, zapewniał, iż natychmiast na Olkusz obraca, i pożegnawszy królowę, opuszczał zamek, jak wprzódy, przez Kosidłę wiedziony.

Adelaida tymczasem posłała po Dolfoka, starca w błękitnym kaftanie, co przed chwilą wprowadzał do jej komnaty pielgrzyma. Był to dawny jej sługa, Hes rodem, który nosząc tytuł murgrabiego zamku, był oraz sekretarzem, marszałkiem, lekarzem i wszystkim; a gdy ten przyszedł, pytała: czy pewien jest, że jutro jest dzień świętego Floryana? Na potwierdzającą odpowiedź kazała mu przygotować dwie oddzielne i najlepsze izby na



górze, opatrzyć w zapas kuchenny spiżarnię, wyporządzić kaplicę zamkową i mieć w niej wszystko gotowe do ślubnego obrzędu. Tak niespodziane zalecenia zupełnie starcowi zawróciły głowę. Już od lat kilku żywej on duszy nie widział na zamku, prócz przyjeżdżającego niekiedy w odwiedzin biskupa Bodzanty i kasztelana twierdzy, starego Zbigniewa, który codzień, na głos dzwonka z dołu przychodził na korytarz królowy, żeby mszy w kaplicy wysłuchał i zapewniwszy się o dobrem zdrowiu najjaśniejszej pani, wracał do swych mieszkań sklepionych. Tak więc dziwne rozkazy, osobiwie przygotowanie do ślubnego obrządku, przechodziło pojęcie Dolfoka; różnych on używał sposobów, aby mógł tę rzecz odkryć; badał królowę, pytał starego jej kapelana, radził się panny służącej — lecz gdy wszystko okazało się daremne, zabierając się do wypełnienia danych poleceń, postanowił uczynić, co zwykle w podobnym razie wielu czyni rozumnie, to jest postanowił czekać cierpliwie, aż się tajemnica sama z siebie wyjawi.

Nazajutrz rano Adelaida widząc się z Zbigniewem w kaplicy, prosiła aby był łaskaw nie trudnić jej przyjęcia na zamku krewnych, którzy ją z Hessyi przyjeżdżają odwiedzić, i których co chwila wygląda. Zbigniew człowiek ludzki i umiejący wchodzić w położenie nie-nieszczęśliwej królowej, a mianowicie pomny rozkazów Kazimierza, żeby nie bronił przystępu do niej pokrewnym, przyrzekł wszelką powolność, prosząc atoli, żeby wiadomość tych odwiedzin nazbyt głośną nie była.

---

## ROZDZIAŁ VIII.

---

Dzień ten niebezpieczeństwa będzie dniem radości,  
Tryumfem twojej cnoty, tryumfem miłości!

*Feliński.*

Gdzie tylko zachodzą bliższe stosunki pana z sługami, rządcy z podwładnymi, choćby ten był dobrym jak anioł, prędzej czy później zjawić się musi pewny rodzaj nieporozumienia, których tych ostatnich różni pomiędzy sobą. Przyczyną jego bywa zwyczajnie zawiść łask pańskich, lub jego ufności. Wcisną się ona w podwoje monarchów, na dwory panów, w zakonne nawet zacisza. I zamek Żarnowca, chociaż noszący smutne nazwisko więzienia, nie był wolny od tej zarazy. Dwie już w nim znaczniejsze osoby dworu królowy znane są czytelnikowi, to jest: Dolfok murgrabia, dawny jej sługa, i Kosidło ekonom, mający pod rządem kilkunastu włościan przeznaczonych do utrzymania kilkunastu włościan przeznaczonych do utrzymania zamkowego ogrodu. Zdawna już Dolfok nienawidził Kosidły, lecz jako biegły dworak, umiał pokrywać niechęć udaną obojętnością. Nie wzmiankują dzieje, z których niniejsza historia jest wziętą, czyli nienawiść ta pochodziła z różności ich charakterów — Hes bowiem był prędkim i gadatliwym, Polak poważnym i milczącym — czyli też z innej jakiej niewiadomej przyczyny; lecz to pewna, że Dolfok tem większą do Kosidły cierpiał nienawiść, im mniej ponury starzec zdał się na to uważać. Niemiłą wreszcie Hesowi być zaczęła łaskawość królowy dla jednego dozorczy kmieciów, posunią na niekiedy aż do poufałości, i ztąd

pewny rodzaj dumy jego i zarozumienia. Ziomek swej pani, stary sługa, dzielący od lat kilkunastu nudy jej więzienia, wierny, przywiązany, miał poniekąd Dolfok słuszne powody wymagania od niej w zaufaniu pierwszeństwa przed człowiekiem, który do narodu jej nieprzyjaciół należał; a niemogąc pojąć czem się potrafił zasłużyć, przypisywał te względy bajkom i nowinom, które staruszek zewnątrz zamku zebrawszy, z dokładem własnych zmyśleń codzien jej zapewnie przynosił. Ale gdy dostrzegł, że za pomocą jego królowa miewa zchadzki z swoimi stronnikami; że każdy, chcąc do niej mieć przystęp, najprzód się do Kosidły udaje; że on bywa świadkiem jej najtajniejszych powierzeń, i wie może dla jakich gości kazała czynić przygotowania; kiedy nakoniec widział jej uradowanie z doniesienia, że przybyły rycerz był synem Kosidły, gdy go nawet zaprosiła na zamek: nienawiść jego najwyższego osiągała stopnia, i odtąd o tem tylko przemyślał, jakby go mógł zgubić w umyśle pani.

Tymczasem podług odebranych rozkazów poczyniwszy w zamku rozporządzenia, wyglądał przybycia spodziewanych gości; dzień atoli zszedł na próżnem oczekiwaniu. Pora już była spóźniona, gdy około północy łoskot na bruku dał znać, że ktoś na dziedziniec wjechał. Wybiegł Dolfok z latarnią, spodziewając się, że najmniej dwa przybyły pojazdy, i ujrzał wlekącą się pomału prostą budkę żydowską o dwóch nędznych szkapiętach. Wskoczył z niej młody, rzeski podróżny, i zbliżywszy się do Dolfoka, pytał czy jeszcze nie spi królowa?

— Być może, że jeszcze nie spi, i być może, że już usnęła — odpowiedział mierząc okiem gościa, którego pospolita odzież nie zgadzała się wcale z śmiałością jego postawy. — Waszmość zapewne należysz do dworu spodziewanego tu państwa?

— Jeżeli spi królowa — przerwał młodzieniec — nie trzeba czynić hałasu; dość będzie jutro powiedzieć, zem przybył. Czy tu nikt przedemną nie stanął?

— Nikt zgoła. Któżto ma nadciągnąć?



— To już dziś i nie przyjedzie. Proszę mnie zaprowadzić do mego mieszkania.

— Bardzo dobrze; ale jakże będę mógł opowiedzieć najjaśniejszej pani przybycie waszmości, kiedy nie wiem jak się nazywasz.

— To mniejsza; będzie można powiedzieć, że przyjechał ten, co miał w dzień świętego Floriana przyjechać. Wszak dziś świętego Floriana, nieprawdaż?

— Tak jest, dziś świętego Floriana męczennika — rzekł rozstrojony murgrabia — jużem to kilka razy najjaśniejszej pani powiedział: ale ten święty patron dzisiejszy nie odpowie za mnie, kiedy się co niedorzeczy stanie w przyjęciu gości, bo ja nie umiem przez ducha świętego zgadywać kto jakiego godzien uszanowania. Proszę więc z sobą — mówił prowadząc nieznanego na górę do przygotowanych pokojów.

Nazajutrz rano, królowa uwiadomiona o przybyciu gościa, kazała mu powiedzieć, że go prosi na wały, gdzie zwykle w dni piękne, odmówiwszy ranne pacierze, brała posilek. Byłoto najulubieńsze jej miejsce, obrócone na wschód słońca, dawało z jednej strony postrzegać kręty bieg Pilicy, i za nią lasy — z drugiej idący przez błonia krakowski gościniec. Tam ona najczęściej rozerwania szukała; ztamtąd przypatrywała się, jak Kosidło jej dary, chleb i ziarno, między lud przed zamkiem podzielał, i tam niewidziana patrzyła bez trwogi na przejeżdżających dawnych przyjaciół, znajomych i tych wszystkich, którzy ją opuścili. Czekala już tam od godziny na gościa siedząc za stolikiem nakrytym do śniadania. Ubior jej świąteczny znać dawał znakomitość osoby, dla której uczczenia wziąć go raczyła; miała bowiem na sobie kaftan ciemno-popielaty, długi i obszerny, jak dziś jeszcze noszą coś podobnego żony mieszczan i rzemieślników; fartuch czarny, sukienny, opatrzone po bokach dwiema kieszeniami, i czepiec czarny na głowie, którego klin długi spadał na czoło, jak niedawno nosiły nasze wdowy w pierwszych dniach żałoby, na nim zaś podwijka, czyli białe płótno okrywające wierzch głowy, którego poły na ramiona spadając osłaniały oba policzki. Nikt się ze służących nie znajdował w tem

miejscu, bo królowa z gościem chciała bez świadków rozmawiać; czasem tylko błysnął zdaleka błękitnym kaftanem ciekawy Dolfok, lecz pomny zakazu pani, nie śmiał się zbliżyć. Ukazał się nakoniec spieszący ku niej młody podróżny. Ubiór jego choć niebogaty, odznaczał się wytwornością kroju; a postać wysoka, pełna szlachetnego ruszenia, i przyjemne rysy twarzy znać dawały, że jest niepospolitą osobą; atoli troska na czole wryta objawiała w nim dolegliwe cierpienia. Zbliżył się do królowy z uszanowaniem i oddając jej głęboki ukłon, czułą oświadczał wdzięczność za dane względem przyjęcia jego rozkazy.

— Siadajże księżę — rzekła królowa, ściskając go poufale za rękę. — Tyle mam ci pytań uczynić, tyle z mojej strony udzielić uwag, że prawdziwie sama nie wiem od czego zacząć. A najprzód mi powiedz, jak ci droga służyła, i jak się szczęśliwie na zamek dostałeś?

— Miłościwa pani! — odpowiedział młodzieniec — kiedy się w podobnem położeniu do twej ucieka opieki, mniej się czuć dają niewygody podróży. Co zaś do przebycia bramy zamkowej, straż mi czyniła niejake trudności, lecz i te jakim uważał, ustąpić musiały przed łaskawym wpływem waszej królewskiej mości.

— Ach! to jest rzecz najmniejsza, którą mogłam dla ciebie zrobić na zawdzięczenie położonej we mnie ufności. Nas, Batory, wspólnie łączą nieszczęścia! dla ciebie mogą się jeszcze zmienić w najwyższą pomyślność, dla mnie w tę przynajmniej pociechę, że wspierając dwa cnotliwe serca, jedną przynajmniej winę oszczędzę memu niewdzięcznemu mężowi! Ale powiedzże mi, czyś miał z drogi wiadomość od Hanny?

— Nie tylko z drogi, lecz już od miesiąca nic od niej nie miałem — odpowiedział zasmucony księżę. — Póki w Budzynie przy ciotce mieszkała, widywałem ją prawie codziennie; jak z ojcem do Czech wróciła, król Ludwik, wysławszy mnie przeciw Tatarom na siedmiogrodzką granicę, odjął zupełnie sposobność częstszego widywania się; dopiero po skończonej wojnie, wpadłszy do Pragi,

ujrzałem ją na chwilę, lecz to było właśnie, gdy już miała wyjeżdżać do tej nieszczęsnej Polski.

— Wyznaję — rzekła królowa — zem się nigdy nie spodziewała, aby ten dumny Czech tak się daleko zapomniał, by sam chciał zostać sprawcą własnej swej hańby! Cóż się to mu musi w głowie nie roić! Ale jesteście tylko pewnym, że córka jego nie dzieli uczuć rodzicielskich?

— Miłościwa pani! cóż mam waszej królewskiej mości na to powiedzieć! — rzekł boleścią przejęty młodzieniec. — Hanna jest posłuszną ojcu jak córka cnotliwa, bo i cóżby zyskała, gdyby się mu chciała opierać? Nie, pani, jej serce jest czyste jak to niebo; ona jest ofiarą straszliwej polityki, a jej ojciec może jest tylko wyższym rozkazom posłuszny! Ja sam wyznaję, chociaż wszystko staram się przeniknąć, chociaż wszystko czynię abym ją zasłonił przed ciosem sroższym nad śmierć samą, nie mogę z pewnością utrzymać, że ta podróż do Polski jest skutkiem niegodnych jej ojca z Kazimierzem układów. Prawda, widziałem w Pradze jak wielkie jej wdzięki na królu polskim uczyniły wrażenie, widziałem jak znakomite jej czynił grzeczności; mimo to jednak jeszcze go obwiniać nie mogę; owszem winienem oddać mu słusność, że jak tylko postzegł moję rozpacz, ustąpił kroku i zdał się żałować mego zmartwienia.

— Mylisz się książę — rzekła królowa z żywością — twój szlachetny sposób myślenia nie dopuszcza ci wierzyć tej niegodziwości, lecz ja wiem jak mocne Hanna na jego sercu uczyniła wrażenie. Ptasznik co siła zastawia, zdaleka zwykł na nie mieć oko. Ostatnia Kazimierza podróż do Pragi na cóż była podjęta? Żadne sprawy kraju nie wymagały jego tam bytności. Znam ja mego męża; łączy on do wdzięków korony, do sławy co go wszędzie otacza, najzgubniejsze podobania się sposoby, i ledwie cię zapewnić nie mogę, że jest kochany.

— Miłościwa pani — rzekł Batory, kryjąc uczynioną sobie obrazę — jeżeli małżonek waszej królewskiej mości tyle jest wyższym nad innych, że już nie ma w świecie niewiasty, któraby nie miała sobie za szczę-



ście trzymać swe serce gotowe na jego skinienia, ja chętnie z praw moich do ręki Hanny ustąpię, byleby ją Kazimierz polską uczynił królową.

— Nigdy, Batory! — rzekła gniewnym zapalem przejęta królowa. — Napróżno mój mąż skarbi sobie łaski papieża, napróżno pochlebia jego legatom, nigdy on nie otrzyma rozwodu, i gdyby papież, gdyby mój ojciec nawet chciał mię z nim rozdzielić, żadne rozkazy, żadne świętości nie zdołają go wolnym mych ślubów uczynić. Może, tak myśląc, działam przeciw szczęściu mojemu, lecz ta jest i będzie moja wola do śmierci. Nie chcę znać jego korony, niech tę smutną szatę noszę do skończenia dni moich; gdyby mię nawet w tych lochach osadził, póki tchnienia mi stanie nie przestanę wołać: on moim mężem, jam jego żoną! a póki ja żyję, nie ma niewiasty, któraby się mogła nazwać polską królową.

— Słuszne i godne wielbienia są uczucia waszej królewskiej mości — odpowiedział Batory ucieszony jej stałością — lecz nim osądzim króla polskiego, pozwól się spytać miłościwa pani, czy to jest prawdą, co nas niedawno słodką ożywiło nadzieją, jakoby jej małżonek okazywał się skłonny do pojednania się z waszą królewską mością? Pewność tej wieści wielkie rzuciłaby światło na przeznaczenie Hanny.

— Ciągłe napominania papieża, odezwy ojca mojego, i głos własnego sumienia może niekiedy myśli jego ku mnie zwróciły; lecz siostra jego Elżbieta, ta stara zalotnica, co się na moją zgubę sprzysięgła, zawsze go umiała utrzymać w powziętej ku mnie niechęci, a to żeby sama panowała w Krakowie.

— Wiadomo jest zapewne waszej królewskiej mości, że syn jej Ludwik, król węgierski, postanowiony został następcą tronu polskiego, na przypadek gdyby Kazimierz zszedł bez potomka.

— Ach, i to jej dzieło zapewne!

— Czyli ten wybór wymusiły na Kazimierzcu ciężkie okoliczności, czy baczną o szczęście narodu troskliwość, nie do mnie należy zgłębiać przyczyny; lecz to pewna, że jak tylko Ludwik osiągnął pożądane następstwo, wszystkie swe myśli do tego celu obrócił, aby król

polski nigdy już nie przyszedł do zgody z małżonką. Otoż jest pani, po co wysłany pod pozorem poselstwa Rokiczan jedzie do Krakowa z swą córką.

— Boże! jakże złym ludziom pozwalasz stawać między mną a moim łatwowiernym małżonkiem! — zawołała zbladła królowa. I wnet dziką ozywioną radością — Jakże będę szczęśliwa nieczcąc ich układy; z jaką radością ujrzę w tych murach Hannę, tę niewinną ofiarę obmierzłej jej dumy! jak stokroć będę szczęśliwszą, gdy jej dłoń połączę z twoją! — mówiła ściskając czule rękę księcia. — Ale powiedz mi jakich użyłeś środków do jej oswoбления?

— Najpewniejszych jakich mi tylko mogły dostarczyć rozpacz i złoto. Korbac, mój strzelec, człowiek wierny i rozsądny, zna dobrze Hannę i ciągle ją ma od Świdnicy na oku; lecz ponieważ, jak mi z drogi donosi, Rokiczan jedzie ze znacznym pocztem ludzi, nie śmiał w miasteczkach na niepewne odważać się, i czekał aż nocleg przypadnie gdzie w odosobnionej karczmie, ile być może najbliższej Olkusza.

— Więc Hanna jest przygotowaną do powierzenia się jemu?

— Niezupełnie, miłościwa pani, i to jest co mnie trochę niespokojnym czyni, nie mogłem jej bowiem wyraźnie powiedzieć, boby to było nabawić jej trwogi, a może i zdradzić ratunek; prócz tego nie widziałem jej jak chwilę na wyjeździe. Ale jej ochmistrzyni, dobrze układu mojego wiadoma, miała czas odkryć jej haniebny cel podróży do Krakowa, i przygotować do przyjęcia ratunku.

— Z mojej strony wszystko już jest uprzedzone; moj stary kapłan i świadkowie są w pogotowiu. Lecz czy nie byłoby dobrze posłać naprzeciw nich ludzi?

— Nie, miłościwa pani, toby narobiło hałasu; lepiej wszystko zostawić w pokoju. Prócz tego, jak miarkuję, prędzej przybyć nie mogą aż dziś w nocy lub jutro rano.

— Niechże i tak będzie. A teraz, Batory, dozwól żeby ci niewolnica Żarnowca okazała, jak używa darów, który jej nieludzki wyznaczył małżonek.

Tak mówiąc, wstała Adelaida i podawszy rękę księciu, prowadziła go na drugą stronę wałów, gdzie zebrani z jej wioski włościanie i inni ubodzy czekali pod dozorem Kosidły na jej przybycie, aby dostać zwyczajne opatrzenie chlebem. Okoliczność przyjazdu księcia siedmiogrodzkiego, i życzenie szczęśliwego skutku jego zamiarom, były przyczyną, że lud w tym dniu podwójny udział żywności otrzymał, którą jeszcze gość hojny datkiem pieniężnym pomnożył. Korzystał z obecności królowej Kosidło, i gdy się z opatrzeniem ludu ułatwił, zbliżył się i z zwykłą otwartością przedstawiając jej syna, prosił, aby go raczyła polecić ojcu swemu, landgrafowi heskiemu.

---

## ROZDZIAŁ IX.

---

Wstecz się cofa z przestרחu wybladły jak chusta,  
Słupieją mu zrenice, rozchodzą się usta.

*Trembecki.*

Wielką opatrność nieszczęśliwym wyświadczyła łaską, gdy przeznaczając ich na drogę cierpień i dolegliwości, piękną raczyła udarować postacią. Jestto często lepsza zaleta niż listy najznakomitszych osób, niż najchlubniejsze świadectwa, a nawet i dowiedziona zasługa; dopieroż gdy do kształtnéj ciała budowy, łączą przemawiającą szlachetnością duszę! W tym szczęśliwym przypadku znajdował się nasz Bronisław. Nie miał on nic za sobą, coby mu dawało prawo do opieki możnych: syn ubogiego ekonoma, obcy ziemi na której nagle się ujrzał, nie mógł nic powiedzieć za sobą; lecz był młody, piękny, i miał w obliczu ten wyraz prawdy i uczciwości, który bez odezwania się, samem oczu spojrzeniem dobrze uprzedza umysły. Przydać do tego trzeba jego ubior chędogi, szykowność rycerską, i znajomość zacho-



wania się w przytomności znakomitych osób, a mieć będziemy wszystko czem się mógł być zalecić. Stał on przejęty uszanowaniem w pewnem oddaleniu za ojcem, który go polecał względem królowy, i patrzył ze skrytem uzaleniem na straszne odmiany, jakie po ośmiu latach w jej twarzy znajdował. Adelaida słuchała starca z dobrocią i łagodnie patrząc na Bronisława, starała się go łaskawym względem ośmielić

— Tenże to jest żywy ów Bronisławek, którego wszystkie szczyty i lochy Żarnowca znają tak dobrze — mówiła wesołem podziwieniem zdjęta, i nagle w smutne przechodząc uwagi — miły Boże! — zawołała żałośnie — kiedy on pacholęciem będąc za motylem uganiał, już ja byłam nieszczęśliwą; i kiedy wraca jako rycerz hełm złożyć u mojej bramy, jeszcze nią jestem! Ale powiedzże mi, piękny młodzianie, gdzieś dotąd przebywał?

— Służyłem najjaśniejsza pani pod znakami cesarza Karola.

— Piękna dla młodzieży szkoła! Cóż było powodem opuszczenia tej służby?

— Wiesz że cesarz gotuje wyprawę na Polskę, i chęć odwidzenia ojca.

— Podoba mi się ten sposób myślenia — rzekła poważnie królowa — lubię dzieci, które nie zapominają rodziców. Ja mam także ojca i ojczyznę, i czuję, ach! gorzko to czuję, jak mi źle bez nich! Tymczasem bądź pewien, iż wszelkiego dołożę starania, abyś podług życzenia swego został umieszczony.

— Jeżeli wolno zapytać — odezwał się Batory — w czyjej rocie waszmość służyłeś, i z jakim wyszedłeś z niej stopniem?

— Trzymałem chorągiew pobocznej straży cesarza.

— Pobocznej straży trzymałeś chorągiew? — powtórzył zdziwiony książę — musisz tedy posiadać wielkie zalety męstwa i moralności, kiedy będąc cudzoziemcem potrafiłeś zasłużyć na powierzenie tak znakomite. Bardzo się dziwię, żeś opuścił chorągiew. Gdybym się nie lękał przeszkodzić mu w korzystaniu z wysokich względów najjaśniejszej pani, miałbym sobie za chlubę ułatwić mu wejście w służbę węgierską.

— Nie, nie — przerwała królowa — ja na to nie pozwolę; do mnie należy los syna sługi mojego, i ja wiem najlepiej, jak go zalecić. Rozgość się więc proszę — mówiła do Bronisława — i bywaj zawsze u mego stołu.

Ukłon pełen uszanowania był odpowiedzią młodzieńca. Królowa, pożegnawszy go wzrokiem dobroci, obróciła się do Batorego, i chodząc z nim między ludem pożywającym jej dary, rozmawiała o tem co było celem jej nadziei i trwogi. Co do Bronisława, ten więcej uradowany zaszczytnem przyjęciem, jak otwierającym się przed sobą w Hessyi zawodem, wracał do domu pogrążony w myślach idąc okok ojca, który przeciwnie, ucieiszony z zapewnienia mu losu, nie przestawał go krzepić widokami szczęśliwej przyszłości — gdy schodząc na dół, spotkali w bramie wytwornie ubranego mężczyznę, który przeszedłszy mimo, rzucił na młodzieńca okiem nieufności, i spiesząc na górę, szedł w stronę gdzie się z Batorym znajdowała królowa. Chociaż bogaty ubior nieznajomego — krótka po kolana zielona czamarka, srebrnym haftem brzeżona, kołpak czarny aksamitny z zielonem piórem na głowie, i piękny kordelas przy boku — mogły być Bronisława uderzyć, nie widział on jednak, albo raczej nie przypatrzył się dobrze przechodzącemu, będąc nadto własnymi widokami zajęty. Nieznajomy tymczasem dostawszy się na wały, zdjął kołpak i zmierzał prosto do księcia, który jak tylko go postrzegł przypadłszy nagle: — Jesteś więc Korbacie! i cóż, sam? a hrabianka? — pytał zaledwie mogący przemówić.

— Miłościwy panie! nieprzewidziany wypadek!

— Dosyć — zawołał książę głosem rozpaczony — jestem zdradzony! Oddał się z mych oczu!

— Więc potrafili dostać się do Krakowa? — pytała nadchodząc królowa.

— Panie! — mówił zmartwiony sługa — gdybym się czuł winnym cokolwiek, czyżbym miał śmiałość stawać przed tobą? Wszystko było jak najlepiej ułożone. Patrz na te rany! — dodał, ukazując mu piersi zczerniałe — one niech świadczą jak wiernie pragnąłem wypełnić

twój rozkaz. Lecz bodajbym był poległ na miejscu, niżelimi doczekał tej chwili!

— Jakie nieszczęście! — wołała królowa, załamawszy ręce. — Lecz niech wiemy przynajmniej czy nie odkryto naszych zamiarów?

— Nikt nic nie wie, jeszcze jest nawet nadzieja! Panie, pozwól chwilę na osobności, mam ci niecierpiące zwłoki objawienia uczynić.

— Chodź! Daruj miłościwa pani! wkrótce będę na jej rozkazy. Czyż mogłem spodziewać się Korbacie, że byś mię tak zawiódł! — powtarzał stroskany Batory, wchodząc z sługą w mieszkanie.

Gdy ta nieszczęsna wiadomość, z wykładem okoliczności, dochodziła księcia, Bronisław zajęty swem przeznaczeniem zbliżał się do domu, powierzając ojcu smutne swe myśli. Wolny nienawiści i uprzedzenia, które lata prześladowań wpoily w duszę starca, a z doświadczenia wiadomy jak niewdzięczna jest służba obcemu panu, gdzie język i obyczaje nie przemawiają do duszy, i gdzie mimo zdolności, trzeba często być ostatnim w zasłudze — im bardziej się zastanawiał nad swą przyszłością, tem więcej bolał nad potrzebą opuszczenia tej ziemi, do której przybył z sercem pełnem najslodszych nadziei. Wiedział nadto, jak wielka przestrzeń ma go przedzielać od ojca osłabionego wiekiem i niedolą, i w jak trudnem na nowo znalazłby się położeniu, gdyby landgraf heski, mszcząc się krzywd córki, chciał mieć udział w wyprawie gotującej się na Polskę, jak coraz głośniejsze o tem mówiono. Zbijał te uwagi Kosidło, starając się utrzymać syna w chęci korzystania z tak zaszczytnej opieki, i tem go mocniej zagrzewał, że innych dla niego nie upatrywał widoków. Wreszcie dawał do zrozumienia, że jeżeli warunki księcia siedmiogrodzkiego korzystniejszemi znajduje, mając wolny wstęp na pokoje, będzie mógł i Batorego dostateczniej wyrozumieć i na przypadek wejścia w służbę węgierską, podziękować królowej za łaskawą opiekę.

Już od godziny Kosidło znajdował się w swojej ubogiej chatce, gdy niespodzianie ukazał się wchodzący Dolfok. Krok śmiały, twarz poważno-uprzejma, laska



w ręku, znać dawały ważność odwiedzin. Kosidło przekonany, że przybywa z rozkazu królowej dla zabrania Bronisława na zamek, przyjął go grzecznie, pytając: jaka go okoliczność sprowadza?

— Okoliczność być może drobna sama z siebie — odpowiedział Dolfok z wyrazem znaczenia — do której jednak najjaśniejsza pani, poznawszy syna waszego, bardzo wielką jakem uważał przywiązuje wagę; to jest nie idzie tu o nic więcej, jak tylko żeby się dowiedziała, czy to prawda, że ten młodzieniec na pewnym noclegu pewną młodą i wielką panią od rozbójników obronił?

— Ja o tem nic nie wiem — odpowiedział Kosidło.

— Ponieważ najjaśniejsza pani jest już wiadomą tego zdarzenia — odezwał się Bronisław — z mojej strony byłoby uchybieniem, gdybym prawdy na jej rozkaz nie wyznał; a choć niezmiernie żałuję, że ta obrona na mnie przypadła, niemniej jednak przyznać się do niej mam sobie za obowiązek.

— Dlaczego masz żałować danej obrony niewieście? — zapytał zdziwiony Kosidło. — Każdy dobry żołnierz powinien nieść płci słabej pomoc.

— Ja nie wiem — zabrał głos Dolfok — jakby dobry żołnierz w tym przypadku uczynił, lecz to wiem, że usłyszawszy z ust własnych tego rycerza potwierdzenie przygody, mam za powinność oświadczyć w imieniu królowej: że ojciec jego przestaje odtąd być sługą najjaśniejszej pani, a waszmość, panie żołnierzu, masz rozkaz opuszczenia Żarnowca natychmiast!

— Co się to znaczy? — zapytał przerażony Kosidło, jak człowiek, który głaszcząc psa, nagle ukąszony zostaje.

— To się znaczy ni mniej ni więcej — odpowiedział Dolfok, stukając laską o ziemię — że nim słońce zajdzie, fora nieboraku uczynisz z tego mieszkania.

— Panie Dolfok! — przystępując do niego zwolna a groźno spytał Bronisław — czy wiesz waszmość, że to jest mój ojciec?

— I cóż z tego, że to jest ojciec waszmości? — odparł niewzruszony starzec — kiedy go nie chce

mieć dłużej swym sługą najjaśniejsza pani, gdyby był ojcem i dziesięciu podobnych rycerzy, niemniej ustąpić musiałby.

— Ponieważ wiesz, że to mój ojciec — zawołał, drzwi otwierając młodzieniec — chciejże pierwszy krok uczynić i powiedziec najjaśniejszej pani, że rozkaz jej będzie spełniony! Dalej za drzwi!

— Co to? mnie, pierwszego sługę królowej, tak nieuczciwie przyjmować? wyganiać za drzwi kiedy ja przynoszę jej rozkazy? Zuchwały! odpowiesz mi za tę śmiałość!

— Nic nad to, nic nad to! — ponowił młodzieniec, coraz żwawiej nastając. — Królowa nie kazała pewnie do wypowiedzenia służby łączyć obelgi. Proszę więc spieszyć, jeśli nie chcesz, żebym do jego kołnierza rękę przyłożył!

Nie zdało się Dolfokowi bezpieczną rzeczą wchodzić w dalszy spór z młodzieńcem, który tak jawne dał zuchwalstwa dowody w rozproszeniu towarzyszków Korbata; wyniósł się więc za drzwi, mruczając jak niesforny niedźwiedź, którego mocniejsza siła do powinności nagina, i pełen gniewu spieszył na zamek, aby zdać sprawę z dopełnionego poselstwa.

---

## ROZDZIAŁ X.

---

Czyni dobrze a wdzięczności nie odbieraj za to,  
Służ długo a żegnaj się na wieki z zapłatą!

*Naruszewicz.*

Po wyjściu Dolfoka, Kosidło chciał w szczególności wyrozumieć syna w okoliczności, która go pozbawiła łask i służby królowej; a gdy się dowiedział, że oswobodzenie z rąk złoczyńców podróżującej pani i wrócenie jej ojcu jest tego zagniewania przyczyną, nietylko go za

dany ratunek nie zganił, lecz owszem pochwalając tak szlachetny postępek, jawny wstręt okazał służenia dłużej osobie, która na pozór przychylna cnotliwym, w gruncie sprzyja występny i daje im pomoc. Najbardziej zaś to go bolało, że królowa, niepomna wiernych jego usług, bez wejścia w rozbiór rzeczy, bez wysłuchania strony obwinionej, tak nagle przez głównego jego nieprzyjaciela służbę mu wypowiedzieć kazała. Bronisław starał się uniewinniać królową, przypuszczając, że to być może podstęp Dolfoka, i radził prosić o wolność usprawiedliwienia się; gdyż w rzeczy samej trudno było wierzyć, aby królowa karać chciała ojca za przewinienie syna, jakkolwiek i za nie kara byłaby niesłuszną. Ale rozjątrzony starzec, nie przyjmując żadnych przełożeń, ani wchodząc w rozpoznanie, przez jakie drogi wypadek ten doszedł wiedzy królowej, o tem tylko myślał, ażeby nim słońce zajdzie przestał być sługą niewdzięcznej pani, i w tym celu niezwłocznie zabierać się zaczął do opuszczenia Żarnowca. Niewiele potrzebował czasu do przygotowania się do drogi, cały jego majątek mógł być z nim razem na jeden powóz zabrany. Lecz nie tak łatwy był wybór podróży. Czuł dobrze tę niedogodność przenikliwy Bronisław: wiedział, że ojciec jego bez pieniędzy, bez przyjaciół, bez krewnych, w tym czasie nędzy niełatwo znajdzie przytułek; a co najdotkliwsza, sam się znał sprawcą tego nieszczęścia! Serce jego wyrzucając sobie wcześniej cierpienia ojcowskie, potrzebowało wylania się na łono jego; zbliżył się z pokorą do starca, i całując mu rękę z czułością:

— Mój ojcze! — mówił przejęty żalem — teraz wyznaję, źle zrobił, źem przybył!

— Owszem, dobrześ zrobił — odpowiedział starzec głosem przekonania — bez twego przybycia Bóg wie jak długo jeszcze gnuśniałbym w cieniu tych murów; twój przyjazd przeważył szalę mojej niepewności. Jest los zawzięty na człeka, pan jego czynów, mściwy przesładowca najniewinniejszego natchnienia, które się nie zgadza z jego niedościgłym dążeniem; spróbujmy, nie drażniąc go więcej, być mu posłuszni. Jużem ci namienił, źem odebrał pewne przełożenia, które dolę naszą



mogą znacznie poprawić. Kosztuje mię wiele zapewne puszczać się tą drogą, ale cóż czynić, kiedy takie jest przeznaczenie nasze. Teraz wyznaj mi szczerze, co ci było powodem do dania tej nieznanym pomocy? Nieprawdaż, że tam miłość być musi?

— Czyż możesz tak myśleć mój ojeze? miłość nie zatrzymuje się w sercu, obcym ludziom i swobodzie.

— Ale z żołnierza robi bohatera! Podobno słyszałem, że była młodą?

— I bardzo piękną! Lecz aby mię piękność podbiła, trzeba zda mi się (dodał z westchnieniem), żebym ją spotkał wśród nieszczęśliwych, słodzącą ich cierpienia, żeby wszyscy jej opatrzny wpływ czuli, a nikt jej skromnego nie wiedział nazwiska!

\*

\*

\*

Już trzy konie, z których jeden do Bronisława należał, uprężone do krytej bryki, wypakowanej rzeczami i żywnością, czekały przed sienią domu Kosidły; Bronisław wyszedł ułożyć wygodniejsze siedzenie dla ojca; zostawała starcowi najtrudniejsza przeprawa, to jest rozstanie się z Agatą. Radby on był wziąć z sobą tę pocziwą staruszkę; kilkanaście lat spędzonych razem uczyniły mu ją szacowną; ale Agata miała dzieci i krewnych na wsi i nie chciałyby zapewne rozstać się z nimi. Miarkowała ona dobrze ze wszystkiego co się w domu działo, że pan jej dostał odprawę i że opuszcza Żarnowiec na zawsze; smutna zatem, wziąwszy swoją glinianą skarbonkę, w którą niekiedy grosz oszczędzony wpuszczała, weszła z nią do izby, i stanąwszy u drzwi z strapieniem w oczy panu patrzyła. Przykry to był widok dla Kosidły; przypominał mu bowiem nie tylko rychłe z nią rozstanie się, lecz półroczne winne zasługi, których wcale nie miał czem wynagrodzić.

— Patrz miła Agato — rzekł smutny, chodząc po próżnej izbie — na jak bystrym koniu łaska pańska leci! Dziś jeszcze rano, co mówię? przed chwilą byłem tak potrzebny królowej, złote mi góry obiecywała;

a teraz jestem wygnańcem, tułaczem, któremu nawet nie wolno do jej drzwi się zbliżyć! Ani się pyta kędy się obróćę, ani chce wiedzieć czy mam grosz na drogę!

— Juźto nie czyja sprawka, tylko tego Niemca chudego! Widziałam ja nieraz jak on nieżyczliwem okiem na was pozierał. Ależ królowa pani czyż powinna była tak zaraz wszystkiemu uwierzyć! Miły Boże, wybyście zemną tak nie uczynili!

— Tego możesz być pewna, moja Agato; bodajby ludzie mojej krzywdy tak nie chcieli, jak ja twojej nie pragnę! Wiem dobrze co się tobie należy, wszakżem ci nigdy zasług nie zatrzymywał; ale teraz, Bóg świadek, tak mię źle odprawiono, że nie mam szeląga przy duszy. Jednak, wiesz co, zostawiam tu żarna i nasz miedziany saganek, to więcej warte jak twoje całoroczne zasługi; weź to w należytości, zresztą niech cię Bóg błogosławi!

— Co mi po żarnach, co mi po saganku, kiedy już w nich nie dla was mleć i gotować będę! Jabym o co innego prosiła, tylko nie śmiem — mówiła, obracając w ręku skarbonkę.

— Cóż takiego, Agato? wszystko uczynię co tylko będzie w mojej możności, mów śmiało.

— Tylko się nie gniewajcie proszę! Oto ta skarbonka tak długo mi służy, jak ja wam służyłam. Kupiłam ją na jarmarku w Zatorzu jakim nastawała do was: — bo to, mówiłam sobie — w Żarnowcu mieszka królowa, grosz się łatwiej przypłacze, trzeba go umieć szanować. Musi w niej być około trzydziestu złotych, bo dobrze już ciężka, często się też wpuszczało szelągi; a że ja pieniędzy nie potrzebuję, moje dzieci i krewni mają się nieźle, weźcie ją więc, niech do was wróci co od was przybyło!

— Cóż to? chcesz żebym ci nie płacąc co się należy, jeszcze cię obdzierał? Źle bardzo o mnie trzymasz moja kochana — mówił, marszcząc czoło.

— A mówiliście, że się gniewać nie będziecie? Bóg widzi, ja nie mam krzywdy, żałuję tylko, że wam więcej służyć nie mogę! Juźci gdybym potrzebowała pieniędzy tobym ich dawno użyła. Nie smućcie więc biednej

Agaty, i weźcie co z serca wam daje, bo widzicie, jakby u mnie krewni wypatrzyli pieniądz, toby i nie prosząc zabrali.

— Oni, choć równie nie mają prawa do twojej pracy, mniejby jednak byli winni odemnie, gdyby z niej użytkować chcieli.

— Ale kiedy ja proszę żebyście wzięli.

— Dajże mi pokój, Agato!

— Otóż, kiedyście tak niełaskawi, ja więcej tej skarbonki znać nie chcę! — rzekła rozgniewana, tłukąc gliniane naczynie, którego zbiór rozsypał się po stole. Teraz radzi nieradzi musicie wziąć, bo ja was żegnam! — I zabierała się do wyjścia.

— Ale moja Agato, nie bądźże tak dziwna! ja czystem sumieniem tych pieniędzy przyjąć nie mogę; ty jesteś biedniejsza odemnie, ja mam więcej sposobów.

— I ja się ich nie tknę. Bądźcie zdrowi!

— Czekażże — zatrzymując ją mówił rozrzewniony starzec — oto wiesz co, podzielimy się niemi.

— Jak Bóg żywy, ja ani grosza nie wezmę! — ponowiła dobra staruszka.

— Co za upor. Pamiętajże Agato, kiedy ci niedostatek dokuczy, żebyś nam nie wyrzekała!

— Bodajby się wam tak dobrze działo, jak ja zawsze i wszędzie życzyć wam będę!

Kosidło zgarniając pieniądze, chciał wiedzieć ile dłużnym zostanie, atoli po obliczeniu zbiór ten daleko jeszcze nie dochodził rachunku Agaty, złożony bowiem z asprów, szelągów i innej drobnej monety, choć co do liczby mnogiej, nie wynosił więcej nad kilka złotych dzisiejszego szacunku. Był to dar szczupły zapewne, ale chęć życzliwa przydawała mu wielkiej ceny. Wdzięczny też Kosidło Agacie żarn i saganka ustąpił, oraz wszystkich swych naczyń, zapasów i statków domowych. Tymczasem po skromnem śniadaniu, gdy już wszystko w podróż było gotowe, Kosidło zaczął żegnać dobrą swą sługę. Cnotliwa staruszka rosła łzami żalu ręce kochanego pana, i z macierzyńską czułością błogosławiła młodzieńca.



— Siadaj więc, synu! — zawołał Kosidło, tłumiąc w sobie żal słuszny — niech nas zachodzące słońce nie widzi więcej w Żarnowcu!

— Mój ojcze! dozwolisz mi, spodziewam się, powozić.

— Zapewnie, żebyś mię wywrócił? Czy myślisz, żebym się z tobą spierał, gdybym nie wiedział, że w moim ręku lepiej niż w twoim bicz się wydaje? A potem wieszże w którą stronę pojedziem?

— Nie wiem, lecz nie chcę nigdy zapominać, mój ojcze, że jestem twym synem — mówił młodzieniec, siadając na brykę, gdy Kosidło, przeżegnawszy drogę, ruszył rzesko z miejsca.

— Boże was błogosław! — czyniąc krzyż za jadącymi rzekła smutno Agata, i zalewając się łzami wracała do opuszczonego mieszkania.

---

## ROZDZIAŁ XI.

---

Na te słowa z ciekawości,  
Gdy naprzód krokiem wybiegam,  
Niewiastę cudnej piękności  
Pod bliskiem drzewem postrzegam,  
A w polach jej śnieżnej szaty  
Krył się chłopczyzna skrzydlaty!

*T. Matuszewic.*

Chociaż Kosidło w przedsięwziętych zamiarach był niewzruszony, przejeżdżając jednak pomimo zamku uczuł w sobie tak mocny żal z opuszczenia dobrej niegdyś swej pani, iż nie mógł oprzeć się potrzebie widzenia jej po raz ostatni przynajmniej, nie żeby przebaczenia szukał, bo niewinny nie mógł go żądać, lecz żeby z ust się jej dowiedział, w czym może być naganna pomoc jego syna, dana podróżującej pani, i przez jakie

drogi królowa o tem zdarzeniu uwiadomioną została; zaczął bowiem przypuszczać, jak Bronisław wnosił, że cały ten zapęd gniewu może być skutkiem podstępów Dolfoka. W tej myśli zatrzymał się przed zamkiem i wszedł na górę; ale życzenia jego zawiedzione zostały, straż bowiem pilnująca bramy, nie dozwoliła mu wejścia, i grożąc orężem, jeźliby miał śmiałość raz się jeszcze przed zamkiem ukazać, dokonała zupełnej jego obojętności na względy pani. Z odnowioną zatem ochotą wrócił do bryki, i ruszywszy z miejsca, chciał jak najprędzej pozbyć się widoku okolic, które mu tak boleśnie przypominały stratę lat spędzonych. Ale ponieważ dzień był już na schyłku, nie ujechawszy nad milę, musiał zanocować u bliskiego sąsiada. Nazajutrz, gdy w dalszą puścił się drogę, odśpiewawszy pieśń poranną:

— Bronisławie! czy wiesz? mam dobrą nadzieję, że Bóg nas nie opuści — odezwał się wesoło. — Ale powiedzże mi, byłeś ty kiedy w Krakowie?

— Nigdy mój ojcze, choć to zawsze było mojem najżywszem pragnieniem.

— Pragnieniem, z jakim się kwapi nieuważna ryba do złotego haczyka! Kiedy więc tak jesteś ciekawy, dziś jeszcze tam będziesz; zobaczysz ten gród wspinały, siedlisko Piastów, i może ujrzysz tego króla, którego tak kochasz. Lecz synu, raz ci jeszcze powtarzam, niech najtroskliwsza bacność strzeże ust twoich i kroków.

— Zostaną głęboko w mej pamięci wryte twoje ojcze przestrogi; możesz być pewnym, że nie uczynię nic takiego, coby mogło naruszyć twoją spokojność.

— Nie idzie tu o to — przerwał starzec — żebyś był milczącym i bojaźliwym, jak spłoszone zwierzę, boby cię sama trwożliwość wydała. W Krakowie, osobliwie na dworze, są ludzie co słyszą jak trawa rośnie, i którzy równie z zbytniej śmiałości, jak z obawy i pokory poznają czem kto jest w istocie. Lecz trzeba, ażebyś umiał zachować przyzwoity środek, i nic sobie nie pozwalał, coby mogło ściągnąć uwagę.

— Żebym więc w niczem nie chybił twoich ojczyźnian, racz mi powiedzieć, w jakim znaczeniu do Krakowa wjeżdżamy?

— Dziwnyś! cóż chcesz, abyśmy znaczyli nad to co okazuje nasza odzież zszarzana? Wjeżdżamy do Krakowa zwyczajnie jako ludzie biedni, przyciśnieni głodem i nieszczęśliwi, jakich się tysiące łatwo w dzisiejszych czasach spotyka. Mój kochany! Kraków przed lat trzydziestu znał mię wcale innym, choć nie znał jeszcze zupełnie: wtenczas jeszcze się nas jakakolwiek dola trzymała; matka twoja żyła, a krewni jej jeszcze się nas nie wyparli byli zupełnie! Dziś okrytego szatą ubóstwa, styranego wiekiem, zapewne Kraków nie pozna, i to będzie prawdziwym dla nas szczęściem, bylebyś się tu umiał w przyzwoitych granicach zachować. Nadewszystko unikaj ludzi rycerskich, ustępuj z drogi szacie czerwonej, i strzeż się jak ognia, strzeż, mój synu, jak ognia, straży marszałkowskiej, która jest wszędzie, która jest tam nawet gdzie nie ma nikogo; mów mało i zaniechaj tej zagubnej dla nas skwapliwości dawania uciśnionym pomocy, bo być może, iż pod zasłoną cierpiącej cnoty spotkasz sidła zdrady właśnie na ciebie zastawione. Prawda, że wojny, głód i powietrze liczbę naszych wrogów znacznie przerzadziły; inni są przekonani, że ród nasz jak Zarebów zaginął; lecz najszkodliwsi zostali, i wiedzą że żyjem: dlatego najlepiej wszystkich unikać, żeby nie spotkać najgorszych.

— Lecz któż jest ten człowiek, w którym twoją pokładasz nadzieję, mój ojczyźnian?

— Jestto człowiek prosty a możny. Był czas kiedy mój ojciec miał sposobność zobowiązać go sobie. Ale szczęście, ty wiesz, odmienia ludzi; wdzięczność z pamięcią krótko chodzi społem; a że jest trochę dziwak, być może, że choć dawniej życzliwem się sercem odzywał, teraz mię nie pozna. Dlatego nie mogę cię jeszcze zapewnić jak łaskawie przyjęci zostaniem.

Gdy tak, jadąc przez bór gęsty, Kosidło syna przestrzegając, stawiała się nagle ich oczom wybiegająca z zarodziła młoda, małego wzrostu kobieta, z dziecięciami na



ręku, wzywająca ratunku. Ubiór jej oznaczał znakomitą osobę; rozpacz, przestach i z mordowanie malowały się w całej jej pięknej postaci.

— Na miłość Boga, skryjcie mię! jestem ściganą! dalej uchoǳić nie mogę! — wołała głosem przenikającym duszę.

Kosidło wstręł sobie czyniąc, żeby jej nie słyssał, zacinał konie co miał siły, a niewiasta biegnąc za pojazdem ile tylko zdołała:

— Ach! przynajmniej weźcie to dziecicę! zlitujcie się! zlitujcie! — wołała pełna rozpaczu.

Bronisław zaklinał ojca, żeby się chciał zatrzymać, a gdy nieporuszony starzec coraz spieszniej ujeżdżał, wyskoczył z bryki i pospieszył nieszczęśliwej na pomoc. Musiał tedy Kosidło rad nierad stanąć, i złorzecząc synowi, czekał na jego powrót. Nadszedł młodzieniec, prowadząc z sobą drzącą panię z dziecicem. Trzeba było wytrzymać nowe dąsy i oburzenia, nim pozwolił uparty woźnica na podróż z nieznaną. Wszystko w niej objawiało świeże jeszcze ujście losu najokropniejszego. Dziecicę, najwięcej trzyletnie, chłopczyk jasnowłosy i rumiany, strwożony rozpaczą matki i gniewem starca, trzymał się oburącz jej sukni, i gdyby mógł był mówić, wołałby pewnie: nie opuszczaj mię matko! Ale czulość jej nie potrzebowała tego przypomnienia, i troskliwa więcej o dziecicę jak o siebie samą, skoro ją Bronisław przyjął na brykę, obwinąwszy je szalem, drżąca i niespokojna czyli za nią nie gonia, ukryła się w budzie, tysiączne ponawiając dzięki i błogosławieństwa.

— Otóż jest skutek moich przełożeń! — odezwał się Kosidło siadając na kozioł — jeszcześmy pół drogi nie ujechali, a już się mamy na co oglądać. Co to dalej będzie! Boże, daj tylko cierpliwość!

— Boże, niewinnych ucieczko! — zawołała nieznaną — bądź moją zapłatą! Ach! tylko jedź, jedź, mój przyjacielu, jak można najprędezej!

— Moja pani — odpowiedział starzec zacinając biczem — my lubim pomagać nieszczęśliwym, jakkolwiek, Bóg widzi, nie najlepiej na tem wychodzimy; lecz sami będąc niebardzo na pewnej drodze, prawdziwie

nie wiem jak długo jej służyć będziemy. Ale któż wać-pani jesteś i jakie ci niebezpieczeństwo groziło?

— Najokropniejsze! życie stokroć sroższe od śmierci! Ach! jeżeli nie nademną, miejcie litość nad tą nieszczęśliwą sierotą! Ona godna względu waszego — wołała, wylewając łez potok.

— Uspokój się pani! — błagał z uzaleniem Bronisław, siedzący na przodzie — jakie cię kolwiek otaczają niebezpieczeństwa, bronić cię i wspomagać będzie zawsze naszą powinnością.

— Choćbyśmy jeszcze raz mieli chleb stracić — dodał zcicha zachmurzony Kosidło. — Ale panie młody chciej prosię pamiętać, że konie i bryka do mnie należą.

— Tylko jedź, jedź jak można najprędzej; ja ci dam tyle pieniędzy, że będziesz mógł sprawić nowe konie i brykę — wołała nieznajoma.

— I kark złamać! — dodał Kosidło. — Daj wać-pani pokój tym obietnicom; kiedym cię wziął na brykę, bądź już spokojna, a staraj się lepiej o to żebyś dobrze siedziała i żeby twego malca buda nie tłukła. Ja nie chcę nadgrody — mówił, zacinając konie; a bryka toczyła się z największą szybkością.

— Proszę się tem nie zrażać — odezwał się Bronisław — że nasz woźnica jest trochę surowy — on lubi się sprzeczać, lecz ma dobre serce i tak się zawsze ze mną ułoży, że podróż nasza będzie jej najdogodniejszą.

— Zapewne, choćby na koniec świata, nieprawdaż? — powtórzył z przekąsem Kosidło.

— Ach! nie na koniec świata! Byleby się tylko wydobyć z tej puszczy okropnej, możebym gdzie dalej znalazła konie do najęcia, lub przynajmniej człeka, któregobym mogła posłać do domu.

— Z uwiadomieniem do rodziców lub męża zapewne? — spytał Kosidło.

— Ja nie mam ni rodziców ni męża — odpowiedziała nieznajoma, spuszcżając piękne swe oczy — lecz mam krewnych, którzy jakkolwiek są dla mnie okrutni, nie chcę ich zostawiać w niewiadomości o sobie. — I znowu płakać zaczęła.

— Moja pani — odezwał się Kosidło — my nie lubim, żeby nam łzami placono. Gdyby nam konie padły lub bryka potrzaskała się, gdybyśmy wpadli w ręce tych, przed którymi waćpani, jak się zdaje, uchodzisz, wtenczas możebym i ja becząc jej dopomógł; ale teraz czego rozpaczać, kiedy przy boskiej pomocy jedziem szczęśliwie. Oto powiedz mi lepiej moja pani, gdzie chcesz żebym cię zawiózł?

— Do Krakowa, jeżeli to być może.

— To właśnie nasza jest droga — przerwał uradowany Bronisław. — Bardzo się cieszę, że będziem mieć sposobność służenia jej na miejsce. Lecz jeżeli wolno spytać, maszże pani w tem mieście przyjaciół lub znajomych, którychbym mógł wcześniej dla niej uprzedzić?

— Jesteś niewypowiedzianie dobry! — rzekła nieznajoma z czułością — lecz mnie niełatwo dopomódz! Mam wprawdzie przyjaciela w Krakowie, który jest moją całą nadzieją, mojem wszystkim! tylko że nie wiem gdzie mieszka i jak się nazywa.

— A to tak dobrze, moja pani, jak gdybyś go wcale nie miała — przerwał Kosidło. — Kraków jest to las, w którym znanych świata z imienia i urzędu niełatwo czasem dopytać się, a dopiero takich, których nie wiemy jak nazwać. Lecz jakież to przyjaciel, który nie chciał powierzyć swego nazwiska?

— Najzacniejszy z ludzi, najgodniejszy kochania! — odpowiedziała nieznajoma z zapalem. — O! gdybyście wiedzieli na co się odważam, szukając jego opieki, możebyście mię nazwali szaloną, bezbożną, niegodną waszego politowania; i gdybyście nawzajem poznali szlachetny jego sposób myślenia, jego oblicze wzbudzające ufność, jego usta tchnące dobrocią, czułością; gdybyście nadewszystko poznali los tego dziecięcia, możebyście hołd oddali mojej nieszczęsnej śmiałości, i przyznali, że'm warta łask waszych!

Patrzył Bronisław z politowaniem na nieznajomą, której głos i cała postać objawiały mocne uderzenie umysłu najstraszliwszą trwogą; a choć z jej mowy nic nie mógł powziąć pewnego, czuł dla niej tę chęć przy-



jazną, jakiej zwykle nieszczęśliwy nie odmawia nieszczęśliwemu. Była to mniej może niż miernego wzrostu kobieta, około lat dwudziestu mająca; lecz kształty jej nieskończenie doskonale nagradzały szczupłość postaci, i tem ją powabniejszą czyniły, że te drobne rysy tysiącznych jej dostarczały umileń, które w jej stanie niedoli, jakby pomimowolnie i same przez się objawiając się, nie do opisania podwyższały jej wdzięki. Czoło jej okrywał szal ciemny rzadkiej cienkości, spadający na postać nadobną, który potem użyty na osłonięcie dziecięcia, dał widzieć najpiękniejsze oblicze. Twarz mała, biała, wdzięcznie pociągła, w innym czasie musiała tchnąć dowcipem; czarny i gęsty warkocz starannie z razu pleciony, ucieczką i zaniedbaniem pozbawiony pierwszych uplotów, w nieładzie spływał na śnieżną szyję, którą sześć sznurków pereł zdobiło; oczy ciemne, nieduże wprawdzie lecz żywe i mówiące; brew czarna, powabnie zakreślona, czoło świetne białością, a nade wszystko głos tkliwy, przyjemniejszy może jeszcze dla lekkich błędów wymawiania, przedstawiały w niej niezmiernie zajmującą osobę. Pomnażała jeszcze przychylnie dla niej chęci czuła jej dbałość na najmniejsze ruszenie chłopczyka, który prędko oswojony z młodzieńcem, często przechodząc na jego stronę i bawiąc się z orężem, wdzięczne swe szczebiotania łączył do ich poważnej rozmowy.

---

## ROZDZIAŁ XII.

---

Do mnie, do mnie na gospodę!  
Znajdziecie pokój, wygodę,  
I wszystko co wam potrzeba!

*Bezimienny.*

Kosidło dobrze koni zażywszy, około południu upatrywać zaczął dogodnego miejsca na popas, a i sam

potrzebując posiłku, radby się był chętnie zatrzymał przed domem, w którym o ogień i o strawę nietrudno. Ale jeżeli w dzisiejszych czasach podróżny niezawsze tam gospodę spotyka, gdzie mu się potrzeba posiłku czuć daje, w owej porze głodem i morem nieszczęsnej, niedogodność ta powszechniejszą była zapewne. Przecież podróżni nasi nie ulegli tak smutnej kolei; zaledwie bowiem Kosidło ćwierć mili ujechał, ukazała mu się chata wieśniacza, z której komina wychodzący dym dobrą go wróżbą pocieszył. Atoli znak ten w części tylko mógł ziścić powziętą nadzieję. Gospodarz, dozorca lasu, stodołę w siano miał dobrze opatrzoną, lecz spiżarnia była w najgorszym stanie; cały jej zapas składał się z wiązki suszonych grzybów, a i na nią jeszcze łakomy właściciel nie mógł znaleźć zadosyć wysokiej ceny. Przecież podróżni zamożni w żywność, którą ich opatrzyła Agata, mniej dbali na tę drogość i niedostatek. Jak tylko więc nieznamoma z dziecięciem weszła do izby, Bronisław dobywszy z bryki kobiałkę z żywnością, kazał powiększyć ogień i zaczął się krzątać koło przyprawy obiadu. Niewiadomo jest piszącemu niniejszą powieść, w jakim stopniu doskonałości posiadał nasz bohater sztukę kucharską i jakie jego były ulubione potrawy; zdaje się jednak, że ponieważ żył w tych czasach prostoty, gdzie ludzie rycerscy, na małym przestając sami sobie umieli być wszystkiem, sądzić wypada, iż tak ważna i codzienna potrzeba jak przysposobienie posiłku musiała mu być dobrze znajomą. Ale nie dozwoliła mu popisać się z tą biegłością piękna towarzyszka podróży, i rada niewymownie, że choć tą posługą okazać może ile dobroczyńcy swemu jest wdzięczna, oddawszy dziecię pod dozór żony gospodarza, zajęła się sporządzeniem posiłku. Zręczność jej w chodzeniu około zatrudnienia tego rodzaju dawała poznać, że przymiot dobrze wychowanej w tym wieku osoby, to jest znanie się na kuchni, nie był jej obcy. Rychło pod odwiniętą jej rączką zapas podróżny w różne zmieniający kształty, na tęgim żarze wydając drażniącą smak wonię, gotował usta do przyjęcia tak pożądaných darów. Kosidło, w którego przekonaniu zła fortuna i dobry apetyt były rzeczy wcale

oddzielne, skoro obiad zastawiony zobaczył, usiadł za stół i jadł jako najlepiej. Bronisław równie nie mógł się przyprawy potraw odchwalić. Sama tylko nieznaną, twórczyni tych darów, mimo prośb i nalegania, nie wzięc w usta nie chciała, i siadłszy smutna u okna, posiliła dziecię, tem się zdając nasycac, że jej posługa dobrze była przyjęta.

— Czemu waćpani nic nie jesz? — odezwał się Kosidło, czyniac zaszczyt jej przyprawom — w drodze trzeba jeść nie wtenczas kiedy się chce, lecz kiedy można.

— Ja zawsze mało jadam — odpowiedziała nieznaną — ale radabym wiedziała jak daleko ztąd do Krakowa.

— Dwie mile niewielkie — odezwał się gospodarz.

— Więc nie mamy się czego tak spieszyć — przerwał Kosidło — niedawno też z południa, konie mogą sobie wypocząc, i waćpani dobrzebyś zrobiła, żebyś kazawszy sobie dać poduszkę, przyległa chwilę — mówił wychodząc do sieni.

— Pani się jak widzę trapisz niewiadomością mieszkania przyjaciela swego — odezwał się Bronisław po odejściu ojca. — Gdybyś mi chciała dać jakiegokolwiek jego opisanie, możebym potrafił go znaleźc.

— Szlachetny twój, panie, zemną postępek, zapewne powinienby mię ośmielić do dalszego z łask twych korzystania: ale lękam się, żebym dajac się mu poznać zupełnie, nie straciła na jego szacunku. O! jak gorzko wspomnieć czemeśmy byli! a do czego przyszli! Tymczasem pozwól powiedziec, że mi także niezbywa na przenikliwości: jesteś zapewne niezmiernie łaskawy, ludzki, dobroczynny; lecz patrząc na twe wyszukane względy dla woźnicy i jego nawzajem przeważne z tobą postępowanie, pozwólcie powiedziec sobie, żeście obadwa nie w swojej właściwej postaci.

— Prawda — odpowiedział młodzieniec — to jest mój ojciec; on moją drogą i moim losem kieruje.

— Szczerosc tego wyznania czyniac ci panie zaszczyt, ośmiela mię do zupełniejszego mu powierzenia mych nieszczęść i nadziei. Mieszkałam ciągle w okoli-



cach Piotrkowa przy krewnych, którzy zabrawszy znaczny po ojcu moim majątek, nędzą mi i zaniedbaniem za niego płacili. Dnia pewnego, wybiegłszy pod wieczór w lasy sulejowskie dla zbierania ziół lekarskich na poratowanie zdrowia dziada mojego, napadniętą zostałam przez ogromne jakieś zwierzę, które już się rzucić na mnie miało, gdy niespodzianie oszczep konnego jakiegoś myśliwca na miejscu je u nóg moich położył. Jeszcze w tej chwili widzę dzielny cios jego ręki! Noc już była gdym otwarłszy oczy z omdlenia, ujrzała się na rękę mego wybawcy, w chatce gajowego. Wśród starań najtkliwszych, głos jego miły nie przestawał zapewniać strwożoną duszę moją, cześć i miłość przysięgając mi wieczną; a gdym do sił wróciła, odprowadził mię do domu. Wyznaję — mówiła spuszcżając piękne swe oczy — że ten wypadek stał się zakładem moich najsłodzych nadziei i niepokojów najsroższych; to mię zas najwięcej bolało, że mój wybawca tak dobry i tkliwy nigdy mi nie chciał powiedzieć jak się nazywa, choć się prawie codzien zemną widywał; dopiero w zimie, gdy miał opuścić okolice Piotrkowa, żegnając mię, wyznał, że jest jednym z dworzan króla, który w tej porze w lasach tamecznych łowami się bawił, i że gdybym kiedy zgłosić się chciała, mam się udać do przyjaciela jego Kochana, szatnego w służbie królewskiej.

— Więc bardzo łatwo go znaleźć; imię Kochana jest dobrze znane w Krakowie. Jeżeli pani pozwolisz, ja jej tę sposobność ułatwię. Tymczasem racz mi powiedzieć jaki rodzaj nieszczęścia groził jej w chwili, gdy się nam zdarzyło spotkać ją w drodze?

— Ach! to wcale co innego. Opuściłam dom krewnych dobrowolnie; wzgardziłam losem najszczęśliwszym w mniemaniu opiekuna, w mniemaniu mojem losem najokropniejszym! Wierz mi panie, ani na chwilę z drogi cnoty nie zesłam: owszem wszystko czyniłam, żebym znalazła szczęście w mem przeznaczeniu, bo wiem że w uległości tylko szczęście niewiasty zawarte. Kochałam tę uległość, wieczne nakazując sercu milczenie; lecz gdym przy dopełnieniu jej spotkała zbrodnie i okropności, na

które wzdryga się natura, pozostało mi tylko ucieczką ratować się, szukając pomocy mojego wybawcy. Takto, kiedy ludzie zejda z drogi prawdy, błędy ich otoczą, a cudze winy stają się ich winami! Prawdziwie, trzeba było coś nadzwyczajnego, żebym nakoniec pierwszy krok uczyniła. Jakkolwiek jednak występłą popełniłam cnotę, lub cnotliwy występek, niebo biorę za świadka, żem jest niewinna!

Tak mówiąc, nieznaną z serdecznem uczuciem przyciskała do ust małego chłopczynę, łzami boleści rosząc jego policzki. Postrzegał Bronisław, że los dziecięcia wiele działał w tej tajemnicy; lecz strzegąc się głębiej w nią wchodzić, poprzestał na zwyczajnem zasmuconych matek cieszeniu — gdy wszedł do izby młody, chudej postaci człowiek w wytartym długim kaftanie, w żółto spłowiałym zawoju, opatrzony zerdzewiałym rapirem i skłoniwszy się niezgrabnie, zbliżył się do gospodarza, pytając zcicha, czy nie ma smoły na sprzedaż. Ubiór jego znać dawał, że należy do ludu wyznania mojżeszowego: żydzi bowiem w tej porze, mieszkający w Polsce, osobiwie ci co się handlem trudnili, trzymali się po większej części stroju wschodniego, i ze zwyczaju więcej jak z potrzeby oręż nosili przy boku; niektórzy zaś posiadający dobra ziemskie, dzierzawy, lub znaczne miejskie arędy, tak się bogato stroili, że ich od panów polskich trudno czasem było rozróżnić. Ale nasz izraelita pytający o smołę, odzieżą swoją wcale w tę omyłkę nie mógł wprowadzić, bardziej bowiem z nieochędóstwa do dzisiejszych jak do ówczesnych żydów należał. Gospodarz odpowiadając mu, że smoły nie pędzi, wskazywał miejsce gdzie może jej dostać; żyd nie przestawał na tem, i jużto pytając o cenę i miarę, już o odległość miejsca, zwlekał pod różnemi pozorami wyjście, co zaczęło niespokojną czynić podróżną, tem bardziej, że twarz żyda nie zdała się być jej obcą. Właśnie pod tę chwilę wszedł Kosidło, dając znać że konie już zaprzężone i że czas jechać. Po zaspokojeniu gospodarza wsiedli podróżni do bryki, i gdy ujechali z ćwierć mili, Bronisław siedzący zawsze na przodzie postrzegł, że ma za budą tego samego żyda w zawoju co pytał o smołę,



który siedząc na lichej szkapie wszystkich sił dobywał, aby mógł zdążyć za jadącymi, i tyle dokazał, że wyprzedziwszy brykę, zajrzał do niej ciekawie, i odtąd choć z wielkim trudem równo z nią jechał.

— Czego tu zaglądasz? — zapytał groźnie młodzieniec, widząc niespokojność towarzyszki, która się nagle wgląb budy ukryła. — Pójdź precz! my nie mamy smoły na sprzedaż!

— Przepraszam, wielmożny panie — odpowiedział żyd — ja jadę za swoim interesem.

— Jedźże niewglądając w cudze! jeżeli chcesz dojechać szczęśliwie — powiła młodzieniec.

Zrażony żyd oddalił się trochę na stronę i po chwili przymknąwszy się do Kosidły — Panie woźnica! — rzekł do niego — wasza bryka na trzy konie za ciężka, koła się zarzynają; gdybyście mi pozwolili przysiąść na koźle, jabym wam dał do przyprzęgu moją kobyłkę. Słyszycie, kupię wam miodu.

— Pójdź precz z twoją kobyłką i z twoim miodem! — odpowiedział starzec.

Oświadczenie żyda przyprzężenia kobyłki do bryki podróźnych, niewiedzącego dokąd ci jada, podejrzanem zostało Bronisławowi tem bardziej, że się nieznajoma coraz widoczniej mieszać zaczynała: pogroził mu więc orężem, rozkazując żeby się natychmiast oddalił, jeżeli nie chce doznać jak mu niepomyślnem być może dalsze ich trzymanie się. Żyd, widząc jawną ku sobie niechęć, został na tyle; Kosidło też, zaciąwszy konie, wkrótce natręta daleko za sobą porzucił. Śmiało atoli jego przypytanie się głęboko zostało w pamięci starca utkwione i tem go niespokojniejszym czyniło, że miarkował iż wjechał już na ziemię, należącą do władzy marszałkowskiej, gdzie czujność straży z powodu napływu ludności około stolicy znacznie była powiększoną. Jechali jednak podróźni niespotykając nic takiego coby ich nieufność wzmagało. Słońce jeszcze było wysoko, gdy im się zdaleka ukazały mury Krakowa. Miasto to nie było jeszcze w tym wieku ani tak obszerne ani tak okazałe jakiem go późniejsze czasy widziały. Kilkakrotnie napadane



przez Czechów, palone przez Tatarów i świeżo przygnębione głodem i morem, nosiło na sobie smutne ślady wytrwanych nieszczęść i pozogi: górujące jednak ogromne gotyckiego kształtu świątynie, i inne kamienne budowle nad niską drewnianych domów połacją, poznać dawały rządzącego opiekę. Z łona tej starej Piastów dziedziny, najprzód wpadały w oko: zamek o wielu wieżach wznoszący się na górze, przy nim katedralny kościół, wspaniałe sukiennice, oraz wiele innych świątyń i gmachów, które nowym bieląc się murem, pokryte miedzią lub blachą, miłym widokiem rozweselały zdaleka. Nie życzył sobie Kosidło od razu wjeżdżać do Krakowa, lękając się zwyczajnych w bramie pytań i zarzutów; postanowił zatem stanąć na Kleparzu, który osobne wtenczas przed stolicą, składając miasteczko z kilkuset domów, był zamieszkały przez lud bardziej rolniczy jak miejski, przez rzemieślników pierwszej potrzeby, oraz kupujących drobnym towarem żydów, którzy niemając jeszcze w tej porze osobnego, jak później na Kazimierzu, siedliska, a znaczną składając ludność, mieścili się w różnych częściach Krakowa.

Jak tylko podróżni wjechali do miasteczka, przyskoczyło do nich kilka żydów zapraszając jak zwykle na gospodę do siebie; a lubo Kosidło nie zważał na ich nalegania i nie przestawał jechać, oni jednak zabiegając koniom i chwytając za zaprzęg, równie ciągle zapraszali i ledwie nie wskakiwali na brykę. Bronisław im groził, lecz to ich bynajmniej nie ustraszyło, owszem za każdym krokiem, jak rój pszczoł rozdrażniony, liczba ich coraz bardziej się mnożyła. Kosidło chcąc się pozbyć tej chmury, dobrze konie zacinał; nie jednak nie wskórał, bo żydzi wczuwał biegnąc starzy i młodzi, dzieci i niewiasty, palcem wskazywali na pojazd, krzycząc przeraźliwie: *Sie gajt! sie gajt schon mit ihm.*\*) Nie było innego sposobu jak do najpierwszej otwartej wjechać gospody, co też uczynił Kosidło, i skierowawszy w dziedziniec zajezdnego domu, zawarł wrota za sobą. Nieznajoma przelekniona w najwyższym stopniu, prawie bez

---

\*) To ona, to ona z nimi jedzie.

przytomności zaprowadzoną została do gospodarza chrześcijanina, który przyjąwszy ją z dziecięciem do izby, zapewniał iż dotąd pod jego opieką niczego się nie powinna obawiać. Kosidło niemniej był zatrzwożony tą żydowską wyprawą, niemogąc pojąć, czyli on, czy nieznaną była jej przyczyną; — gdy Bronisław krzątając się koło bryki, postrzegł z tyłu na budzie jakiś napis kredą z kilku liter żydowskich złożony. Krótkie nad nim zastanowienie dało mu poznać sprawcę tej psoty w młodym żydzie, mniemanym kupcu smoły, który niemogąc sam zdążyć za bryką, naznaczył ją dla poznania innym. Lecz daleko ważniejsze czytanie zajmowało starca; było to pismo marszałkowskie, przybite na wrotach domu, a przypominające w imieniu panującego władzom miejskim, zadośćczynienie wyrokowi króla Łokietka, w osnowie: iż, gdy wieść chodzi, że potomek jednego z wygnañców, za winę przeciw tronowi na miecz skazanych, znajduje się w kraju, dołączając jego rysopis zaleca się śledzenie, pojmanie i oddanie go straży marszałkowskiej, a postanowiona nagroda za głowę winowajcy wypłaconą będzie.

---

## ROZDZIAŁ XIII.

---

Znajdzie się towar i u mnie gotowy:  
Ufnale, klamki, podkowy!

*Kniaźnin.*

Dom, do którego przymuszeni byli schronić się podróżni, miał tylko wolną izbę szynkowną; reszta mieszkań przez wcześniejszych gości była zajęta. Znajdowała się wprawdzie na boku szynkowni komora, lecz ta jak zwykle, ciemna, zarzucona zbiorem naczyń i sprzę-

tów, a nadewszystko i tak już mieszczącą w sobie żonę gospodarza z kilkorgiem dzieci, nie miała najmniejszego próżnego kąta. Trzeba też było pamiętać i to, że zamknięcie się w niej podróżnych potwierdzałoby słusznie złe o nich mniemanie, które najprzód zniszczyć należało, żeby można było do ostatka rachować na gospodarza opiekę, który poznawszy podobno stan kieszeni naszych podróżnych, zaczynał pomału podziwienie na niechęć zamieniać. Nie zostawało zatem jak rozlokować się w izbie szynkowej i czekać spokojnie co zdarzy los niepewny. Nieznajoma, wyszedłszy z pierwszego przestachu, gdy także dziecię częściej o podwieczorek domagać się zaczęło, wzięła się do jego przyprawy, rada że znajduje sposobność zatrudnienia się czemkolwiek, niezapominając oraz, żeby ich towarzysze mieli się czem na wieczerzę posilić.

Gdy się to działo, zjawiać się pomału zaczęli żydzi pod różnym pozorem. Najprzód, ukazał przez drzwi brudną głowę, na długiej szyi, z ciekawym wzrokiem, młody oliwkowej cery żydek, pytając: — Czy państwo nie potrzebuje igieł, nici, jedwabiu, haftek i tasiemek? — A choć Bronisław wyraźnie odpowiedział że nie kupi, on jednak wemknął się do izby z kramniczką, i wyliczając co się w niej zawiera, i że wszystko jest w najlepszym gatunku i za najtańszą cenę, polecał swój towar łaskawym względem. — Za tą czatą ostrożną, stawił się młody przystojny izraelita, z łaską w ręku w srebro oprawną, niebieskiej opończy, z pięknym bobrem u czapki, i oddając układowy pokłon, opowiadał się jako faktor najpierwszych panów. Napróżno go Bronisław zapewniał, że nie za sprawunkami przyjechał, i że potrzebuje spoczynku; faktor jednak kłaniał się ciągle, i wyliczając kramy i kupców u których towar najlepszy, zapewniał, że jest człkiem najusłużniejszym i najrzetelniejszym w świecie. — Jeszcze się go młodzieniec nie pozbył, gdy się wtoczył do izby z długą czarną brodą, w zielonym kaftanie, z pałaszem przy boku, któremu brakowało oprawy, wysoki wspaniały żyd, a za nim godna jego małżonka, otyła izraelitka, w czerwonej długiej czamarze, w kołpaku naszywanym



perłami; i oświadczając oboje, że trzymają arędę trunków na Kleparzu, polecali miód i piwo jako najlepsze w całym Krakowie. — Za tą poważną parą, wdarł się do izby obszarpany żyd, z pękiem starych mieczów, dzirydów i innej broni zużytej; dalej młoda wysoka żydówka z więzią obwarzanków; po niej krawiec z próbkami sukna i materyi; a za tym kilka niedorosłych żydziąt. Słowem, w przeciągu kwadransa izba napeliła się mnóstwem żydostwa różnego wieku, płci i postaci, które pchając się, wrzeszcząc i szarpiąc nawzajem, okropny czyniło hałas; a każdy, obchodząc zdaleka nieznaną, zatrudnioną karmieniem chłopczyka, z wzdardą na nią pozierał, i spluwając po trzykroć, szeptał coś pod nosem.

Poznawał dobrze Bronisław do czego zmierzają te wybiegi, okryte pozorem sprzedaży towarów; widział tajemną zmwę żydostwa na nieszczęśliwą podróżną, która blada i drżąca, wszystkich sił dobywała, żeby się mogła w udanej obojętności utrzymać — i byłby najmniejsze jej nieuszanowanie ukarał srogo: ale widząc z ostrożności żydów, że albo jeszcze nie są pewni czyli się w poznaniu osoby nie mylą, lub że się lękają oręza który leżał na stole, nie chciał rzeczy posuwać do ostateczności, czekając aż jawniejsze ich postępowanie da mu poznać prawdziwe ich cele. Tymczasem drzwi się ciągle nie zamykały, coraz więcej przybywało żydostwa, ci zaś co nie mogli dostać się do izby, przez okna zaglądając zewnątrz i czyniąc różne znaki porozumienia, cały dom zdali się trzymać w obłęzeniu. Zaścierpliwiony Bronisław, gdy mu tłum natrętny coraz śmieiej dokuczał, zawołał na gospodarza i kazał mu pójść na ratusz po straż marszałkowską.

— A gaj schon! a gaj! — wypychając za drzwi kramarzów, wołał arendarz, kręcąc się z pałaszem przy boku. — Marszałkes rufen! a gaj schon! Jakie wy głupie! pan nic nie kupujo, pan w drodze, potrzebuje spoczynku! Gaj gicher!

Przestraszona zgraja danym przez młodzieńca rozkazem bardziej niż przełożeniem arendarza, pomału zaczęła się z izby wynosić; zostało tylko kilku śmielszych,

którzy dłubiąc koło towarów, żywo umawiali się z sobą. Język ich, rozumiały im tylko samym, niewiele wprowadzie dostarczał objaśnień, z którychby można coś odkryć; powtarzane atoli wyrazy: Jonasz, Ester, Jankiel, Opoczno, Sulejów, zdały się dawać do zrozumienia, że te imiona żydowskie i dwa małe miasteczka województwa sandomierskiego, są ważnym przedmiotem ich rady. Ale Bronisław, w cesarskiej służbie nauczywszy się dobrze nienieckiego języka, z którego zepsucia powstała mowa żydowska, więcej ich rozumiał niż się spodziewali; i widząc, że spór ich coraz większą trwogą nabawia podrózną, zbliżał się do niej z uśmiechem, i biorąc poufale za rękę, starał się, troskliwym z nią i chłopczykiem obejściem, wrazić w umysł natrętów, że oboje przez święte związki do niego należą, i że wszelkie im ubliżenie gotów karać surowo. Umiała z skromnem poddaniem się stosować się do tej potrzeby piękna nieznanjoma, a wybieg ten trafił zupełnie do przekonania żydów: pozierali na nią wzrokiem niepewności, i wkrótce, zabrawszy towary, zaczęli opuszczać izbę, tak że ze wszystkich został tylko arendarz z żoną i dwaj inni żydzi.

— A ty, zbrojny Goliacie, na co jeszcze tu czekasz? — spytał się Bronisław arendarza, patrząc z politowaniem na ordzewiały jego pałasz, niezgrabnie mu wiszący u boku. — Nie wolałbyś to pójść kazać ochędzić twój oręż i nosić go jak należy, niżeli tu na niczem czas trawić?

— Co panu szkodzi mój pałasz? — odpowiedział arendarz — gdybym ja go i tak ostry przypasał jak nosi sam pan kasztelan Spytek, toby mi za to nikt ani szeląga nie dał. Niech pan zdrów żartuje. A zdaleka to wielmożny pan jedzie?

— Ja nigdy w drodze nie mówię zkąd jadę, i nie lubię kiedy się mnie o to kto pyta.

— Wielmożny pan bardzo dobrze robi — dołożyła z wdzięcznym uśmiechem żona arendarza. — A dokąd pan jedzie?

— I na to nigdy nie odpowiadam. Moi kochani, dajcie mi raz pokój i idźcie z Bogiem!

— Tylko jedno słowo, miłościwy panie — powiła arendarz. — Niech pan będzie zdrów gdziekolwiek jedzie; ale ja nietylko trunkami handluję; u mnie znajdzie się i inny towar, jakiego nie w każdym sklepie dostanie — mówił dobywając z zanadrua długi złoty łańcuch rubinami sadzony, i obzierając się z ostrożnością po stronach — patrz pan, to jest prawdziwa wenecka robota; jedna wielka pani, potrzebując pieniędzy, dała mi ten łańcuch, żebym go sprzedał jak można, byle za gotowiznę. Ach wej mir! teraz i na panów czas ciężki! Proszę tylko patrzeć co za fajna robota! Na moje słowo; jeżeli pan da trzysta złotych, to tak jak gdyby znalazł.

— Nie gniewajcież mię proszę, bo wreszcie może mi się sprzykrzy czekać na pachółków z ratusza!

— Przepraszam, wielmożny panie, w targu gniewu nie ma; jabym może jeszcze co spuścił, gdybym tylko pańskie słowo usłyszał.

— Niech tylko pan powie jednym słowem coby pan dał — odezwała się żydówka — wielmożny pan może myśli że to jest fałsz jaki: uchowaj Boże! niech się pan kogo poradzi. Na moje sumienie, złota w tym łańcuchu więcej jak na trzysta złotych.

— Ale jacyż wy śmieszni! gdybyście mi go nawet za szeląg oddawali, i wtenczasbym nie kupił; bo co mi niepotrzebne, tego nie kupuję nigdy.

— Jakto niepotrzebne? — powiła żydówka, kłaniając się nieznajomej z złośliwym uśmiechem. — Kto z tak pięknymi paniami jedzie po świecie, temu się zawsze takie rzeczy przydadzą. Jeżeli pan żałuje pieniędzy, to może ta pani mieniać się będzie na perły?

— Otóż tak; ja ten łańcuch u jejmości zostawię — przerwał arendarz, zbliżywszy się do nieznajomej, która drżąc i zbladła, nie wiedziała co czynić — a jejmość pokaż mi swoje perły? te perły mi są znane — mówił dotykając się sznurków na szyi.

— Jak śmiesz zbliżać się tak poufale? — zerwawszy się, zniecierpliwiony młodzieniec zawołał na żyda, i odpychając go ku drzwiom — ani mi się waży krok naprzód postąpić!



— Na co mię popychać? ja sam pójdę! — odpowiedział Żyd stawiając się śmiało. Albo to ja gałgan jaki żeby mnie tak popychać? Słyszysz wać, mnie zna całe miasto!

— Co to? Wolno kupić albo nie kupić! — odezwała się żydówka, ujmując się za męża — ale nie trzeba popychać! Mego męża zna sam pan marszałek; on ma sześć rabinów w swojej familji.

— Ja płacę sto grzywien arendy do skarbu i dzie sięć kop groszy podatku! — ponowił ośmielony żyd, naprzód występując. — Albo to dom wacin żebyś mnie wypychał? przecie to izba szynkowna, wolno każdemu! Ja wiem co czynię! tu jednej pani perły zginęły!

— A ty szachraju przebrzydły! — porwawszy żyda za brodę, i wytrącając go za drzwi, zawołał oburzony młodzieniec — ty nas tak będziesz potwarzał?

— Gwałtu, gwałtu! zabił, zabił! — zawrzeszczały wszystkie razem żydy, gdy inni wołali śmiało:--Schlug ihm! bijcie go!

— Nein, nein! las dich schlugen bis das blüt wird gehn! \*) — wołała na żyda przywiązana małżonka.

— Las dich schlugen, goj wird zahlen! \*\*) — wołali inni.

Na ten hałas, który pomnażał płacz przełkniętego chłopczyka i wrzask dzieci w komorze, tłoczyć się przez drzwi, i dobijać się przez okna zaczęło żydostwo, krzycząc tak przeraźliwie, że się z sąsiednich domów chrześcijańscy mieszkańcy zbierać zaczęli. Jednakże arendarz, chociaż tak dzielnie był przez żonę i przyjaciół zagrzewany, żeby się bić pozwolił, nie korzystał z rady, i nieczekając aż do żwawszej przyjdzie rozprawy, wyrwał się z rąk młodzieńca, który także strzegł się go ranić, i uchodząc z domu wołał z całej siły: — Rozbój, rozbój! Gwałtu! Ratuście!

---

\*) Nie, nie! pozwól się bić; niech ci znak krwi zrobi!

\*\*) Daj się bić! chrześcijanin będzie musiał płacić.

## ROZDZIAŁ XIV.

---

Człowiek pocziwy wszystko dla Boga i ludzi  
Gotów uczynić, jego nędza bliźnich budzi,  
Chętnie się z nieszczęśliwym majątkiem swym dzieli,  
Kiedy dobrze uczyni z tego się weseli.

*Fr. Dmochowski.*

Szczególniejszą cechą starozakonnego ludu jest we wszystkich wiekach i krajach dowiedziona ta prawda, że najmniejsza niesłuszność wyrządzona żydowi obchodzi zwykle całe zgromadzenie przytomne. Nikną wtenczas wzajemne urazy, zapominają się niechęci, i każdy, czując tylko krzywdę bliźniego, gotów jej mścić się wszelkimi siłami. Czyli to przywiązanie jest skutkiem zasad religijnych, czyli losu wygnaniem oznaczonego; to pewna, że czyni zaszczyt ich jedności braterskiej. Doświadczyli jej z trwogą i niepokojem nasi podróżni, choć w istocie najmniejszej do napaści nie dali przyczyny: drzała izba szynkowa krzykliwą groźbą żydostwa; w stajni niemniejszy zgiełk panował. Ale wiadomy dobrze Kosidło z kim ma do czynienia, niewdając się w mowną rozprawę, tak żwawo biczem koło siebie świstał, że tłum natrętny i razem tchórzliwy, coraz większem ustępując kołem, wkrótce, gdy mu miejsca zabrakło, był przymuszony chronić się za wrota. Utrzymawszy plac, starzec mniej dbał co się wewnątrz domu działo. Ale właśnie pod tę porę nadciągała prowadzona czeladź marszałkowska, z kilku zbrojnych pachołków złożona. Przytomność jej dokonała zupełnego rozproszenia żydów. W izbie i koło domu pokój już panował; w stajni tylko po kątach kilku się ich jeszcze guzdrało

rozmawiając pokorniej; a gdy Kosidło, złożywszy bicz, powolniejszy zdał się okazywać umysł, zbliżył się do niego ostrożnie mały, rudy izraelita, w te odzywając się słowa:

— Jak się macie miły kolego? ja także furmanię. Co to za państwo takie wieziecie?

— A tobie co do tego! — odpowiedział starzec. — Czy chcesz żebym na pachółków zawołał?

— Na co pachółków? te pijaki byle im w gardło nalać, to i samego pana marszałka zaprowadziliby na ratusz. Co to jest! Jak ten dom domem stoi, jeszcze tu takiej fajneberyi nie było, żeby ludzie spokojne, kupce, gospodarze, tak napastować, zabijać! Żeby się pan marszałek o tem dowiedział, toby bardzo był markotny, bo on wie dobrze, że u najjaśniejszego króla tak wiele znaczy żyd jak i chrześcijan. Słyszycie! a zkądto jedziecie?

— Idź precz! — mówił Kosidło — biorąc się do bicza.

— Ja pójdę zaraz — cofając się odpowiedział żyd — tylko dajcie pokój z biczem. Na co biczem machać, wszak my nie bydłeta! Co to złego, że człowiek chce pomówić z człowiekiem? ja gospodarz tak dobry jak drugi, cały mię zna Kraków. Słyszycie! ja jestem pierwszy szkolnik.

— Tak, tak, on pierwszy szkolnik, pierwszy po rabinie! — powtórzył inny żyd w kącie.

— A mnie co do tego, że on pierwszy szkolnik? — odpowiedział Kosidło — gdyby był i samym rabinem, toby tak dobrze dostał biczem jak ty, jeżeli mi w oczy leżć będziesz.

— Ja trzymam także koni, i jadę z państwem w drogę — powoził szkolnik.

— On trzyma dwanaście koni, i jedzie w dalekie drogi — powtórzył żyd drugi.

— Wczora z Budzyna wróciłem; odstawiłem na zamek wielkiego pana. A wyście się zapewne w Opo-cznie najeli?

— I cóżby z tego było, żebym się najął w Opo-cznie? — zapytał Kosidło.



— A co ma być? szczęście wam Boże! A dokądżeście się to najęli?

— Tobie nic do tego!

— Co to wam szkodzi? ja was nie podkupię; teraz czas ciężki! Ja według tego pytam, żebym wam powiedział, po czemu obrok na trakcie, i gdzie gospodarz najtańszy.

— Precz mi, szczwany lisie! wiem ja do czego twoja mowa zmierza.

— I owszem; ja na to mówię, żebyście mię zrozumieli. Posłuchajcie tylko moje słowa: woźnica co się najmuje w drogę wie dokąd jedzie, ale rzadko wie, jakie państwo wiezie, i często w tych czasach, zamiast zarobku, na wielkie, ach! wej mir! na wielkie przychodzi nieszczęście!

— To prawda — rzekł Kosidło, udając przekonanego, dla wydobycia z żyda wiadomości o nieznanym; — przyznaję ci się że nie wiem kogo wiozę. A tobież znane to państwo?

— Może być znane, może i nieznanne. Słyszycie, a na co chcecie to wiedzieć?

— Dziwnyś! wszakżeś mi dopiero powiedział, że mogę z niemi mieć kłopot.

— Co to kłopot! — ponowił żyd — kłopot to nic; możecie mieć wielkie nieszczęście, możecie nietylko konie ale i życie stracić! Ale na co to wiele gadać; ja jestem poczciwy człowiek, bo w naszym i w waszym stoi zakonie: nie czyń tego drugiemu co tobie niemiłe. Widzieliście co się tu działo niedawno?

— Zapewne; żeby nie pachołki, dom, gałgany, przewróciłibyście byli do góry.

— Pachołki, pachołki! albo to pachołki są wszędzie? Wyście się tylko do Krakowa najęli, nieprawda?

— Może i dalej — odpowiedział starzec.

— A czyście już wszystko u państwa wybrali?

— Albobyś mi za nich dopłacił?

— Kto wie jakby to było, gdybyście tylko chcieli szczerze ze mną pogadać. Czy myślicie że ta młoda pani jest żoną tego żołnierza, albo matką tego dziecięcia?

— A tyż jak rozumiesz? — zapytał Kosidło.

— Co ja rozumiem to mnie tylko wiadomo. Słuchajcie: czy nic jeszcze nie wzięliście? jeżeli dbacie o życie, ja wam radzę, pókiście nie za bramą krakowską, zostawcie to państwo nieszczęsne, a sami co tchu z końmi zmykajcie.

— A ty kłamco, oszuście! — biorąc się do bicia zawołał starzec — ty będziesz śmiał do takich mię niegodziwości namawiać? Precz za wrota!

— Dajcie pokój, panie woźnica! słyszycie dajcie mi pokój, bo ja gwałtu zawołam! — powtarzał żyd wynosząc się z stajni. A za nim wyciągnęła i reszta.

Po zwalczeniu tych ostatnich rycerzy, Kosidło wszedłszy do izby posilał się przygotowaną wieczerzą, różne czyniąc uwagi nad tak niespodzianem zdarzeniem. Przybite pismo na wrotach i tajemnicze szkolnika przestrogi, ciągnęła go przenikały trwogą, czyli w rzeczy samej te żydowskie wybiegi nie kryją jakiej na syna jego zasadzki. Ale Bronisław wcale inaczej był przekonany, i już nie wątpił, że samo tylko poznanie podróźnej było tej napaści przyczyną, tem bardziej że smutek jej i próby o przebaczenie wszelkich nieprzyjemności, których mogła stać się powodem, coraz jawniej dowodziły tej prawdy. Tymczasem, gdy już wszystko ucichło, a cienia nocne radziły mieć się do spoczynku, Bronisław, opatrzywszy dobrze drzwi i okna szynkowni, prosił gospodyni, żeby dla jego towarzyszki zrobiła jak najlepsze posłanie, i pożegnawszy ją z dziecięciem, wyszedł z ojcem nocować w stajni przy koniach. Długo mu usnąć nie dozwoliły przygody dnia tego: lękał się nadewszystko, ażeby żydzi, korzystając z ciemności, nie ponowili napadu; nie jednak nie zaszło, coby jakiegolwiek objawiało niebezpieczeństwo, a chwila późniejsza sprowadziła sen pożądany.

Nazajutrz, jak tylko się na dzień zebrało, udał się z ojcem do izby dla odwiedzenia towarzyszki; lecz jakie wielkie było jego zadziwienie, gdy jej nie zastał na miejscu. Gospodyni tylko uwiadomiła: że pani, zaraz po północy, otworzywszy drzwi na głos dwóch nieznanomych starców, płacząc i wyrzekając, długo z nimi rozmawiała

cicho; że pisała potem, i zajrzawszy do dziecięcia wyszła z starcami, obiecując wkrótce powrócić; lecz że więcej nie dała się widzieć.

— A dziecię? — zapytał Bronisław.

— Dziecię spi jak je złożono — odpowiedziała gospodyni, podnosząc je z posłania. — Oto jest! ani wie gdzie się matka obraca!

Chłopczyzna spał w poduszce snem niewinności, trzymając w rączkach mały zwinięty w trąbkę pergamin z napisem: Do cnotliwego Bronisława. Wziął pismo niespokojny młodzieniec, i przeczytał następujące wyrazy:

„Ile tylko serce nieszczęśliwe może być wdzięcznem, mojego będzie najśłodszem uczuciem pamięć waszych dobrodziejstw. Wracam, wezwana na ratunek umierającego dziada, zostawując wspaniałości waszej tę nieszczęśliwą sierotę. Nazwijcie ją jak chcecie, mojem dziecięciem, moim bratem lub krewnym: lecz bądźcie przekonani, że ta nieszczęśliwa istota więcej pewnie ma prawa do waszej jak do mojej litości, choć ją, zlewając łzami boleści, waszej oddaję opiece! Niech ją i was Bóg błogosławi!“

— Mój ojczy! i cóż my z nim zrobim? — zapytał zdziwiony młodzieniec.

— Niegodny! teraz się wydają wasze szkaradne podstępny — zawołał z zagniewaniem starzec. — To jasno! tyś się z nią znał w Pradze: jej ucieczka, jej lzy, jej przestach, wszystko to zmyślane i wczśnie przez was było ułożone, żebyście razem sobie podróżowali! Cóż nie prawda?

— Mój ojczy! czyżem na ten zarzut zasłużył? Daje ci słowo, żem pierwszy raz ją ujrzał wtenczas kiedy litości wzywała, i innego prócz politowania nie znalazłem dla niej uczucia. Wreszcie, pozwól sobie przypomnieć, że mi niewiadomy był wcale kierunek twej drogi; jakżebym mógł czynić z nią znowę wzięcia na brykę, kiedy nie wiedziałem kędy pojedę?

— Kłamstwo! — przerwał obrażony starzec. — Czyż niewyraźnie powiada, że to niegodne dziecię więcej ma prawa do twojej, niż do czyjejkolwiek litości?

— Ja nie wiem co ona przez to chciała wyrazić.



— A jużci nie co innego, tylko żeby ci przypomniała twoje obowiązki! Bardzo ślicznie! Tego też jeszcze brakowało na dopełnienie mych nieszczęść!

— Bądź spokojny, mój ojcze! to dziecię nie będzie ci nigdy ciężarem! Jest mi obce, to pewna i wiele kosztuje, bo jest przyczyną twego zagniewania; lecz polecione memu staraniu, znajdzie we mnie więcej, jeśli być może, niż ojca!

— Zapewne, zapewne! — powtarzał starzec — wiele też możesz, abyś się niem opiekował?

— Ja jestem biedna — odezwała się gospodyni, trzymając na poduszce małego — mam dość kłopotu z własnymi dziećmi; ale jeśli się nikt nie zechce przyznać do tej sieroty, to ją przygarnę i nie dam z głodu jej umrzeć!

— Daj waćpani pokój — przerwał Kosidło, odbierając dziecię — on najprzód do nas należy, ja go w imię boskie biorę na siebie, i czyjkolwiek jest, moim odtąd będzie! Ale bo też to lichy niczego! — mówił udobruchany starzec. — Waćpani zaś zawiń się i zrób drobnej kaszki na mleku, tylko rzadko, bo to dla dziecięcia; a ty sowizdrzale, skocz na rynek i kup za pokutę jakie cacko, żeby czem małego zabawić, gdy obudziwszy się tęsknić zacznie po swej niedobrej matce.

— Mój ojcze! jakże słodko czuję, że jestem twym synem! — mówił uradowany młodzieniec, całując rodzicielską rękę; i wnet ruszywszy za dopełnieniem rozkazów, kazał sobie otwierać kramy i sklepy (były bowiem jeszcze w tak rannej porze zamknięte), gdzie napełniając kieszenie rodzynkami i migdałami, widział niejednego z żydów, którzy z takim hałasem na jego naszli gospodę; lecz teraz znajdował w nich tak spokojnych ludzi, jak gdyby nigdy z nimi nie miał do czynienia. Gdy wrócił, zastał dziecię na ręku ojca posilające się śniadaniem. Wkrótce chłopczyk przypomniawszy sobie matkę, w rzeczy samej kwilić się zaczął; lecz ukazany piękny konik gliniany i piszczalka, prędko go uspokoiły.

## ROZDZIAŁ XV.

---

Zła fortuna, gdy dokuczy,  
Przyjaciela pokaże, rozumu nauczy!

*And. Fredro.*

Wiedział dobrze Kosidło, że kto przyjeżdża do wielkiego miasta, jeżeli chce zastać w domu tych, z którymi ma do czynienia, powinien się do nich bardzo rano wybrać; każdy bowiem w mieście, jeżeli nie dla zabawy w niem mieszka, zatrudniony handlem, rzemiosłem lub służbą, wcześniej dom opuszcza, spiesząc tam, gdzie go obowiązki wzywają. Prócz tego, ranną dobę, dla uniknięcia poznania, najbezpieczniejszą dla siebie sądził do przebycia miasta. Nie tracąc więc czasu, jak tylko ujrzał szczyty Krakowa, uderzone promieniem podnoszącego się słońca, polecił dziecię staraniu syna, i wzięwszy kij w rękę, wybrał się w odwiedziny tego, na którym jedyną losu pokładał nadzieję. Przeciąg drogi z Kleparza do Krakowa, dziś składający ulice Sławkowską, Florjańską i inne uboczne, wtenczas, aż do wału, będąc próżnym prawie przestworzem, nie czynił mu obawy, żeby był poznanym: daleko więcej same go miasto trwożyło; wiedział bowiem, iż mieszka w niem liczny ród nieprzyjaznego mu domu, i że odkryty przez niego, drogoby musiał swą śmiałość przyplacić. Ujrzany powtórnie na bramie edykt przeciw wywołańcom, przejął go dreszczem; rzucił nań okiem nawiasem, a strzegąc się dłuższem zatrzymaniem się wpaść w podejrzenie straży, wszedł śmiało w bramę i przebył ją niezatrzymany. Dwór marszałkowski, na uboczu, z wielu zabudowań złożony, ostro-

kolnym swym obwodem przypominający surowość przeznaczenia swego, przykro go na nowo uderzył; lecz w tak rannej dobie, bramy jego nieożywione strażą i postrzegaczami, ukazywały mu na dziedzińcach tylko ludzi służebnych. Dalej też idąc, spotykał samych wyrobników szukających roboty, przekupniów czekających spokojnie w swych budach na pierwszy grosz targu, lub zwijających się po stronach kucharek z kobiałkami i innych służących dzienną skupujących żywność. Szedł zatem, mało uważany w swym prostym żupanie, i nasunawszy czapkę, zmierzał do narożnego w rynku domu o kilku piętach, z czerwonej cegły, który w pierzei małych wąskich kamienic i niskich dworków, gotycką swoją okazałością zdał się całemu miastu panować. Okna jego opatrzone gęstemi kratami, a drzwi wszędzie żelazne, znać dawały, że jest znacznych bogactw składem. Czeładź domowa w tym gmachu już się na obszernych jego dziedzińcach krzątała koło pak, beczek, fas, wozów i innych narzędzi, któremi podganki były zarzucone. Kosidło, wszedłszy na górę, pytał odźwiernego:

— Czy już nie spi pan stolnik sandomierski, i czyliby nie można się z nim widzieć?

— Czy nie spi? — powtórzył z rubasznym śmiechem wąsaty przy długim bardyszu odźwierny. — A cóżby się to działo na świecie, gdyby pan stolnik spał dotąd? Nasze panisko było już dziś na wsi; ale teraz nie można go widzieć, bo ma u siebie radę ławniczą. A kóżto jesteście, miły bracie, i jaką macie sprawę do pana?

— Prosiłbym cię, mój przyjacielu, żebyś powiedział panu stolnikowi, że Kosidło z Żarnowca radby miał przystęp do niego.

— Żarnowca, od królowy, a to co inszego. Zaraz będzie odpowiedź — mówił odźwierny, wychodząc w głąb mieszkań i wróciwszy po chwili, prosił starca żeby szedł za nim i zatrzymał się w pańskiej komorze. — Przyjął go tam grzecznie młody pokojowiec, i zapewniając, że rada wkrótce się skończy, wyszedł za odźwiernym i drzwi na klucz spuścił. Chociaż Kosidło wiedział dobrze gdzie się znajduje, nie podobało mu się to drzwi zawarcie, jakkolwiek dla ubezpieczenia jego było przedsięwzięte.



Izba, w której się ujrzał zamknięty, był to jasny obszerny pokój, zastawiony koło ścian rzędem jednostajnych szaf, naznaczonych każda wielką literą gocką. Stół długi marmurowy po środku, zarzucony księgami, kilka wag pieniężnych różnego kształtu, dwa zegary piaskowe i mnogie na szafach pro memoria kredą pisane, zapowiadały, że to jest izba znana w czasach dzisiejszych pod nazwiskiem kupieckiego kantoru. Niedługo w niej samotny zostawał Kosidło. Otworzyły się niebawem drzwi boczne: wszedł do izby otyły, małej postaci, łysawy trochę, lecz rzeźwy, miłego oblicza starzec, ubrany strojem dawnych Niemców, w krótkim po kolana ceglastym kaftanie z srebrnymi pętlcami, w błękitnych pończochach długo zachodzących na uda, w ciężkich trzewikach z wielkimi błękitnymi różami na stopie, i spoglądając z rozrzewnieniem na ubogą odzież Kosidły i jego włos biały, zbliżył się uprzejmie, i ścisnąwszy z czułością za rękę, prowadził go do wielkiego krzesła swojego. Nie było w tem powitaniu żadnych serdecznych uniesień! lecz była prosta i otwarta przyjaźń znamionująca rzetelne z przybycia gościa uradowanie.

— Siadajże mi, siadaj, uparty dziwaku! jesteś zmordowany, pot cię okrywa, jak gdybyś z łaźni wychodził — mówił z niemiecka, sadowiąc Kosidłę w wielkiem swem krześle. — Oj, trzebaby wam trzeba za tę opieszalszość! czemużeście się to nie zabrali do mnie wtenczas, kiedym do was posyłał? Przybywacie teraz, jak wiatr z innej strony wiać zaczął.

— Myślałem, że m królowej potrzebny; a szczerze wyznając, nie chciałem was, przy ważnych waszych sprawach, zatrudniać.

— Co to nie chciałem zatrudniać! — przerwał z oburzeniem starzec. — Czy mnie nie znacie jeszcze? ja nie potrzebuję, z łaski bożej, nikomu płonnych czynić oświadczeń, ani obiecywać, czegobym nie mógł dotrzymać! Kiedym się do was po kilkakroć odzywał: przybywajcie! na miłość boską przybywajcie! znać wam należało, że w tem nie tylko zakładam moje uszczęśliwienie, abym wam dopomógł, lecz że pora po temu najlepsza. Ale wam się królowej jejmości trzymać po-

dobalo: i cóż z tego? oto ani królowa na tron, aniście wy do praw waszych nie wrócili. Żle, źle, przyjacielu, koło spraw swoich chodźcie! A teraz, powiedzcie mi, możebycie co przekąsili?

— Nie jadam tak rano — odpowiedział starzec.

— Może wam trzeba pieniędzy?

— Dziękuję!

— Otóż, za wszystko zawsze dziękujecie — mówił zasmucony — przecież ja wiem, że za bógzapłać nie goszczą podróżnych na drodze: czas ciężki, drze każdy, musieliście ponieść jakie wydatki, nimeście tu z Żarnowca przybyli. Ale, jak widzę, trudno: trudno będzie się nam zgodzić! Miły Boże! kiedyś ja z nad Renu, biedny wędrowiec, przyszedł do Polski, nie wiedząc z czego mieć będę chleba kawałek, i kiedy wasz ojciec rzucił na mnie wzgląd łaskawy, jam jego dobrą wolą nie gardził, a Bóg, przy statku i pracy pobłogosławił, zem przyszedł do jakiegokolwiek doli; wy zaś zawsze niechętnem sercem przyjmujecie moją życzliwość, i Bóg widzi, sami sobie szkodzicie. Był czas, przed rokiem jeszcze, kiedy Grzymałczykowie źle byli położeni u dworu: marszałek wielki nie był ich imienia; można było na przód krok zrobić! Teraz ten czas uszedł, oni znowu rej wodzą, wydają przeciw wam edykta, i nie wiem prawdziwie w którą stronę uderzyć. Powiedzcież mi przynajmniej czy zawsze trzymacie się tego nieszczęsnego Żarnowca?

— Jużem dostał odprawę.

— Chwała Bogu! — zawolał uradowany starzec.— Jam się zawsze lękał, żeby tam was nie odkryto. A z synem waszym co się też dzieje?

— Opuścił służbę cesarską, i jak na nieszczęście spadł mi na kark właśnie, gdym został bez miejsca.

— To źle; Grzymałczykowie mają nos dobry; Truksa, naczelnik straży marszałkowskiej, nieubłagany; młodość jest wrząca, trudno czasem nie odważyć życia, kiedy się o nie wróg upomina ujmą dobrej sławy Lecz cóż mu było powodem do opuszczenia chorągwi? mój pisarz w Pradze ciągle mi donosił, że mu się dość dobrze tam wiodło.

— Zapewne dobrze! — odpowiedział z czułością Kosidło — bo go i tam wasza ręka znalazła! Ale zwyczajnie, młodość, nieuwaga; myślał, że sam sobie ubliża, służąc panu, który zdaje się gotować wojnę na jego ojczyznę.

— Źle wiedział, ale pocziwie uczynił! Czy jest tu z wami?

— Został na gospodzie przy rzeczach.

— Szkoda, żeście mi go nie przyprowadzili. Musiał znacznie wyrość?

— Pan Bóg go stworzył dość urodziwie, i w gładkiem ciele dobrą zawarł duszę; to mi się tylko nie podoba, że się drze gwałtem do wojska, i to do wojska polskiego.

— To będzie trudno! Ale czekajmy, czas płaci, czas traci. A nie słyszeliście też co o Zarebach?

— Po ujściu do Brandenburgii ostatniego z objętych wyrokiem, nie wiem co się stało z innymi; mnie mam jednak, że szczęśliwsi od nas, już się dotąd żadnych win nie boją.

— Powiedz raczej, że mniej może dbają o los swój w Polsce. A teraz proszę, żebyście się sprowadzili do domu mego na wieś, mała ztąd milka, bo tutaj pełno różnego ludu, zwyczajnie jak w domu kupieckim, moglibyście zostać napastowani; tam zaś znajdziecie pokój, wygodę, bezpieczeństwo, i żadnych się nie będziecie obawiać edyktów. Ja tymczasem zajmę się waszemi sprawami; da się co zrobić, wróćcie do swych należytości, pójdzie rzecz trudno, zostanieie u mnie na wsi, i żyć będziecie, nie stojąc o łaski świata.

Tak zapewniwszy gościa, zawołał na jednego z pokojowców i kazał mu dla bezpieczeństwa towarzyszyć podróżnym z gospody na wieś. Żeby zaś należycie przyjęci zostali, wziął się do napisania zaleceń ekonomowi, a gdy list Kosidło oddawał, zastukał do drzwi odzwierny, dając znać, że przybiegł z zamku posłaniec z uwiadomieniem, że król z łowów powrócił.

— Wybaczcie mi — rzekł starzec, biorąc się pilnie do kapelusza i laski — że dłużej z wami pozostać nie mogę; muszę spieszyć na zamek. Będziemy mieli czas



dosyć się z sobą nagadać. Tylko się zaraz na Naręczyn zabierzcie!

— Ale, ja mam z sobą prócz syna, biedną sierotę, niemowlę, którego odstąpić nie mogę.

— Jacyż wy dziwni! — odezwał się na nowo zniecierpliwiony starzec — zabierzcie się z dziećmi, z niańkami, z chudobą, ze wszystkim, co do was należy! każdy tam znajdzie kąć przyzwoity. Bądźcie więc zdrowi! — mówił, wychodząc spiesznie, gdy Kosidło z pokojowcem wracał na gospodę.

Tymczasem król wróciwszy z łowów, rozmawiał w swej komnacie z młodym człowiekiem, którego skromny układ, długa ciemna szata fioletem podbita i mały z tyłu u kołnierza kapturek, objawiać zdawały się znakomitą w duchownym stanie osobę. Izba królewska nie lśniła się jeszcze w tej porze marmurem i złotogłowiem, w jakie gust i zamożność późniejszych królów, rodu Jagiellonów, umiały przyozdobić zamkowe przybytki. Była to, dawnym polskim wyrazem, wygodna obszerna świetlica, zawierająca to tylko, co jej panu podręcznie było potrzebnem; ściany okryte rysami krajów i ziem, należących do jego rządu lub opieki, stoły zajęte przez plany zamków i miast, wzory różnych warsztatów i narzędzi, oręż i zbroja, te były jej ozdoby. Odpowiadała dobrze tej powierzchowności skromna odzież Kazimierza; lecz jego postać wysoka i mężna, oko pełne życia, włos czarny i broda, ruszenie szlachetne, słowem cała postawa dzielna i wspaniała jawnie mówiły, że to jest człowiek stworzony aby panował. Król wolnym krokiem przechadzał się po izbie. Przy nim, miernego wzrostu, krągłej białej rumianej twarzy, z uładzonym włosiem, postępował nieco na tyle młody duchowny, z składem pism pod ręką, odpowiadając głosem uszanowania na czynione sobie zarzuty. Był to sławny w dziejach późniejszych prymas królestwa, Bodzanta, wtenczas już biskup krakowski, który mając pod swym kierunkiem wydział stonsunków królestwa z stolicą apostolską, jedno z najznakomitszych w tym wieku powierzeń, zdawał królowi sprawę z odpowiedzi papieża Innocentego IV. na zaniezione do niego prośby o wydanie hasła krucjaty w pań-

stwach chrześcijańskich, a mianowicie w królestwach: polskiem, czeskiem i węgierskiem dla odwrócenia zapędu Tatarów i Litwinów, którzy za powodem księcia ostrogskiego na Wołyniu, a Daszki, starosty przemyskiego, na Rusi Czerwonej coraz śmielej posuwając naprzód swe zagony, grozili Polsce i Węgrom najpierwej. Papież, przychylając się do prośby Kazimierza, nietylko żądane hasło w państwach czeskiem i węgierskiem kazał ogłaszać, lecz nadto naznaczył pewne łaski duchowne każdemu z rycerzy, któryby na tej wyprawie trzy lata zbrojno pod znakami króla polskiego przesłużył; i w tym celu pisał do Jarosława, arcybiskupa gnieźnieńskiego, przesyłając mu poświęcone krzyże dla rozdania między dowódców. Druga prośba Kazimierza o rozwód zostawiona była bez odpowiedzi, co przykro król czując, szeroko swe żale biskupowi wynurzał.

— Nie przeczę, miłościwy panie — mówił Bodzanta, odpowiadając na skargi Kazimierza — że związek waszej królewskiej mości z księżniczką heską był bardziej z potrzeby jak z skłonności serca zawarty. Bodajby nas więcej nie spotykały te czasy, w którychby postanowienie naszych panów zależeć miało od wpływu obcego! Lecz skoro ten węzeł poświęcony został, pozwól się spytać, miłościwy panie, czyli go niszczyć, jakkolwiek ci jest niemiły, zostałbyś szczęśliwszym?

— Nie wiem, lecz czuję więzy jego boleśnie! — odpowiedział król, jękając się trochę, miał bowiem lekką mowy przywarę. — Zawsze jednak spodziewam się że stolica apostolska skłoni się nareszcie do rozwiązania mego.

— Ja żadnej nie mam nadziei! Dowodem tego jest ciągła na twe, panie, prośby nieużytość papieży. Umarł Klemens, odmawiający rozvodu. Innocenty, jego następcą, niemniej jest nieubłagany; umrzeć i ten może, a jego następca równie nie uwolni waszej królewskiej mości od tych ślubów nieszczęsnych, bo prawa kościoła nigdy ich rozwiązać nie mogą bez wyraźnego zezwolenia małżonki waszej królewskiej mości.

— I cóż więc czynić trzeba, aby zyskać to przyzwolenie? Mów, bywasz u królowej, znasz jej sposób my-

ślenia, rządysz sumieniem, bądź naszym pośrednikiem. Powiedz jej, że nic nie oszczędzę dla zapewnienia jej losu najświetniejszego, że wrócę posag, napelnę złotem kufry, wyznaczę ziemię, do nóg się jej rzucę, niech mię tylko uwolni od siebie!

— Więc pošlij, panie, przyjacióły do niej życzliwe, wzywając ją na zamek; przyjm ją jak polską królowę, jak żonę, a Bóg może technie w nią żadaną powolność, lub serce twe ożywi winnem dla niej przywiązaniem. Ona cię kocha jeszcze, miłościwy panie!

— Ona mię kocha? chcesz mię przekonać, że ona mię kocha! — przerwał król, płynnie odtąd mówiąc; ile razy w gniewie lub zapale odezwał się, słowa mu gładko z ust wychodziły (wielkie zaiste dobro dla dworaków!) — Czemuż więc, jeżeli mię kocha, odbiera posły i gońce od nieprzyjaznych mi dworów? Czy ja nie wiem? dom jej jest zbiorem mych wrogów, zkąd dzikie na mnie wychodzą potwarze, i gdzie może wzięła początek ta nieszczęsna wojna na Rusi!

— Ja o tem nic nie wiem — odpowiedział Bodzanta. — Trzeba też czasem, miłościwy panie, pozwolić nieszczęśliwemu wyrzekać! Wasza królewska mość nie możesz sobie wystawić, ile ją utrapiła wiadomość przybycia do Krakowa hrabiego Rokiczana.

— Hrabiego Rokiczana? — przerwał zdziwiony Kazimierz. — I czemuż jego przybycie jest jej niemiłe?

— Nie do mnie należy wchodzić w słusność zmartwienia królowej, powiem tylko, że nie ją samą ten przyjazd udręczył, zraził on jeszcze serce młodzieńca znakomitego rodu, który mając już pewne prawa do ręki córki Rokiczana, nieskończenie się jej wyjazdem do Polski zasmucił.

— Czy znacie, księżę biskupie, tego młodzieńca? — zapytał król, czytając głęboko w oczach Bodzanty.

— Znam go bardzo dobrze — odpowiedział niezmieszany kapłan. — Jest to Batory, książe siedmiogrodzki, młodzieniec pełen uczuć najszlachetniejszych; przybył tu za swą narzeczoną, i był u mnie wczora, zaklinając, żebym przełożył waszej królewskiej mości,



iż dobra sława Rokiczany tak mu jest drogą, że dla jej ocalenia wszystko, życie nawet gotów poświęcić.

— Powiedzcie mu — rzekł król po krótkim namyśle — że mi się podoba jego sposób myślenia, i że go szacuję; powiedzcie mu oraz, iż go słowem mojem zapewniam, jakom nic nie wiedział, iż dla ułożenia sprawy o Śląsk i Mazowsze cesarz Karol wybierze na pełnomocnika do mnie hrabiego Rokiczana, a mniej jeszcze spodziewałem się, że Rokiczana przywiezie z sobą swą córkę, której wszakże przymiotom hołd należyty oddając, innej księciu siedmiogrodzkiemu dać odpowiedzi nie mogę nad tę, żeby o swe do jej ręki prawa nie ze mną, lecz z jej ojcem czynił. A teraz, mości księżu biskupie, do zobaczenia.

Chciał jeszcze coś mówić Bodzanta, lecz widząc zachmurzony umysł pana, pożegnał go niskim ukłonem i wyszedł z komnaty.

---

## ROZDZIAŁ XVI.

---

Od twojej dziś mądrości mój tron wsparcia czeka,  
Szczęściem królów jest przyjaźń wielkiego człowieka!

*Feliński.*

Gdy biskup opuścił królewskie podwoje, stolnik sandomirski, zatrzymawszy się jeszcze chwilę w przedizbie, stawił się przed panem i niski mu ukłon oddając, pytał, czy nie ma czego do rozkazania.

— Jak się masz, mój poczciwy Wierzynek! — zawołał król uradowany. — Prawdziwie ty musisz mieć sprawę z duchami; zawsze mi stajesz wtenczas, kiedy ja ciebie właśnie potrzebuję!

— Mojemi duchami są wdzięczność i przywiązanie do twej panie osoby, które mi ciągle przypominają, że tam mi najlepiej, gdzie się wasza królewska mość znajdujesz. Słucham pańskich rozkazów.

— Ten słodko-mowny Bodzanta z swemi apostołskimi nowinami zupełnie mi w głowie przewrócił porządek. Oto, czy wiesz Wierzynek, od kilku dni sypiać nie mogę!

— To niedobrze, trzeba żebyś wasza królewska mość lekarzów o tem uwiadomił.

— Dajże mi pokój z tymi lekarzami! ja chcę żebyś ty był moim lekarzem; ty mię tylko możesz uzdrowić!

— Teraz się przekonamy, że waszej królewskiej mości na niczem nie schodzi, bo sobie łaskawie ze mnie żartujesz.

— Ależ gdzie tam żartuję! ja ci szczerze wyznaję, że twojej potrzebuję pomocy. Ach! czyż mógłbym usypiać spokojnie? moje szpichlerze już się zaczynają wypróżniać; do nowego zboża jeszcze daleko, a co gorsza, pono jak i żniwa przyjdą, nie każdy będzie zbierał — bo kto co miał, to spożył szczęśliwie, a o zasiewach ani pomyślał! Cóż? wyznaj, czy spałbyś lepiej odemnie?

— Ja nie wiem, miłościwy panie, jaki byłby mój sen; lecz powtarzam, com powiedział przed rokiem: że postanowienie pisarzów szpichlerzowych do wydawania zboża ziemianom jak najgorzej odpowiedziało swemu celowi. Trzy części roli w kraju leżą odłogiem, lud z głodu umiera, ale panowie pisarze kupują za bezcen włości od biednych dziedziców, i na wielkich panów wychodzą.

— Przeklęty ród! — zawołał król z gniewem. — Niech się tylko ułatwię troche z Rusią Czerwoną, wezmę ja przed siebie tych nowych dziedziców po zatwierdzenie ich kupna. A wyście, mój stolniku, jakich sposobów użyli do opatrzenia ludu bożym darem? bom słyszał, żeście i w swoich i cudzych imionach znaczne na to ponieśli wydatki.

— Ja, miłościwy panie, w ograniczonym działając zakresie, mogłem się łatwo obejść bez tej zgrai wydawców zbożowych; u mnie głodnego wieśniaka chleb pieczony dochodzi; lecz żeby go dostał, powinien wprzód zagon swój skopać, mój go parobek zasiewa, a potem dopiero właściciel jego chleb otrzymuje.

— Bardzo rozumnie! Lecz powiedz mi, co myślisz robić z temi zapasami zboża, które masz na składach w Sandomierzu, Kaliszu i Gnieźnie? Rozgościłeś się mi, mój Niemcze, po Polsce! Słyszałem, że próżne twoje okręty czekają na ładunek pod Gdańskiem, i że wyglądasz tylko dobrej wody na Wiśle.

— Zapewne, żeby mię Krzyżacy na Żuławach złupili.

— Więc sprzedaj mi twe zboże.

— Bardzo dobrze. Ale pozwól wasza królewska mość przypomnieć sobie, że już mam pewną w jego skarbie zaległość.

— Ach zaległość! — powtórzył król z niechęcią — wy zawsze o tem tylko lubicie pamiętać, co wam kto winien. Wielka rzecz, kilka tysięcy grzywien za miedź i żelazo, dostawione na oprawę zamków! Alboż nie używasz swobody pod zasłoną tych zamków! albo masz żonę lub dzieci, że tak o grosz stoisz? Poczekaj trochę, jak się suma zaokrągli, będziemy mogli o żupach wielkich pomówić.

— Sól smaczna przy chlebie i mięsie, miłościwy panie! Jabym miał inną prośbę.

— Cóż takiego?

— Jest nieszczęśliwa rodzina, czekająca zlitowania twojego.

— Zapewne wdowa z dziećmi po wojewodzie poznańskim, co najeżdżał dwory i rozbijał po drogach? Ach! wierz mi, śmierć jego jeszcze mi nigdy zasnąć nie przeszkodziła, bo prawo, nie ja go skarałem. Ale u ciebie młode wdowy i stare panny zawsze mają łaskę. Czegoż ona żąda? wszak jej wniosek zostawiłem w całości, a życia męża już wrócić nie mogę!

— Nie za nią mam mówić, miłościwy panie! Sprawiedliwość waszej królewskiej mości, karząc występnego, tysiącom niewinnym życia oszczędziła. Lecz ten, za którym głos wnoszę, nie jest ani niewiastą, ani rozbójnikiem; jestto starzec nad grobem, którego przodkowie radą i orężem dobrze się zasłużyli ojczyźnie!

— Ale któż on jest? mówże! — pytał król zniecierpliwiony.



— Jestto syn nieszczęśliwego ojca, który po długim cierpieniu, już się z win swoich przed Bogiem uiszcza... — mówił starzec głosem bojaźni — jestto, miłościwy panie... nieszczęśliwy Nałęcz!

— I ty śmiesz mi to imię w mojej przytomności wspominać? — rzekł król, zrywając się nagle. — Zuchwały! czy nie wiesz, jaka kara jest wyznaczona na tych, co je wymawiają?

— Miłościwy panie! — odpowiedział uczony dworak, poznavszy z zacinania się króla, że gniew jego nieszczery — wiem dobrze, jakie świętej pamięci rodzic waszej królewskiej mości postanowił winy na przestępnych tego rodzaju, ale ja jestem cudzoziemiec, mnie trzeba do Magdeburga pozywać.

— Przewrotny Niemcze! — rzekł król udobruchany. — Kiedy winy płacić, to Vertzing, cudzoziemiec z nad Renu; kiedy brać pożytek, to Polak, Wierzynek, szlachcic herbu Łagoda. Poczekaj, złapię ja ciebie! Ale mówże przynajmniej ciszej, żeby nas straż marszałkowska nie podsłuchała. Więc ten biedny Nałęcz jeszcze żyje?

— Żyje i błaga twój majestat, panie, żebyś go raczej choć na godzinę przed śmiercią do praw szlachectwa przywrócić! Prawda, ojciec jego wspomagał książąt brandenburskich w zabójstwie króla Przemysława, lecz nie chciwość panowania, nie żądza bezrządu, wiadomo światu, zemsta tylko niewinnej Ludgardy, którą mąż nieludzki kazał udusić, nieuważną jego kierowała ręką, a sześćdziesiąt lat ciężkiej kary za winę ojca, uczyniły syna najlepszym z poddanych!

— Zaprawdę — rzekł król — nie do Nałęczów należało się mścić Ludgardy. Wiem też, że syn nie powinien odpowiadać za ojca, byłato kara zbyt uczynna, a raczej skutek niedostatku praw pewnych; lecz ten wyrok pół wieku w prawo zamieniło. Nałęczowie nie umieli się bronić, imiona ich przeszły w obce dzierzenie, ani mi ich podobna z rąk Grzymalczyków wydobyć, tem bardziej, że mają nadanie świętej pamięci ojca mego. Ty wiesz, król jeżeli chce, żeby jego postanowienia dotrzymywali następcy, powinien szanować wyroki poprzedników swoich. Czy Nałęcz tu się znajduje?

— Jest on u mnie we wsi, i niczego tak nie pragnie, jak upaść do nóg waszej królewskiej mości!

— Do czego to? mnie go widzieć nie wolno. Ale wiesz co? ja mu dam list do Węgier, do króla mego siostrzana, żeby mu nadał włość jaką, w którejby mógł życia spokojnie dokonać.

— I jabym mógł mu coś podobnego uczynić; ojciec jego był szczęścia mego zakładem, ale choć Nałęcz żąda tylko, aby mógł proch swój z prochami przodków połączyć, pragnie jeszcze mieć zdjęty wyrok niesławy, więcej dla syna niżeli dla siebie.

— On ma syna? — zapytał król zdziwiony — tem bardziej go żałuję.

— Słusznie wasza królewska mość czynisz! jestto bowiem rzadkiej cnoty młodzieniec! przenikniony miłością ojczyzny! Porzucił znakomity stopień w służbie cesarskiej, jak tylko się dowiedział, że Karol nieżyczliwą dla niej tchnie niechęcią, i wrócił, żeby albo ją prześlagał, lub zginął dla niej.

— Szkoda tak pięknych uczuć! Gdyby to przynajmniej córka była.

— I gładka do tego...

— Nie trzeba żartów do spraw ważnych łączyć — przerwał król z niesmakiem. — Ale ponieważ jest mężczyzną, jakże mu dopomóż?

— On nic nie żąda, miłościwy panie, lecz mniema, że, jeżeli mu wasza królewska mość nie podasz sposobności zmycia tej plamy, nie przeszkodzisz przynajmniej aby na polskiej legł ziemi!

— Ja jego głowy nie potrzebuję, ale miecz marszałkowski pewnie go nie chybi, jeżeli Grzymalczykom w oczy leźć będzie. Co za nieroztropność! wracać do kraju, w którym głowa na zysk nieprzyjaciół jest oszacowaną. Jednakże wyznaję, radbym go poznać.

— Czy mam go stawić przed waszą królewską mością?

— Uchowaj Boże! ja mu się stawić przed sobą rozkazać nie mogę; on nawet nie powinien domyślać się, że ja wiem, iż on jest na świecie. Ale wiesz co? daję wkrótce u siostry mojej biesiadę, przyprowadzisz mi tego

śmiałka, i będziesz zalecał jako krewnego, który cię z Niemiec przyjechał odwiedzić, rozumiesz?

— Nieprzebrany w dobroci panie! — zawołał uradowany starzec — któżby głosu twego serca nie poznał?

— Teraz powiedz mi szczerze, chcesz być moim na sen lekarzem?

— Z największą chęcią!

— Spodziewam się, że mię drzeć nie będziesz, jak żydzi drą lud biedny na targach.

— Przedam laszt żyta, jak płacą kraje, które głodu nie znają, i czekać będę z zapłatą tak długo, jak się waszej królewskiej mości spodoba, byleś tylko panie, o Nałęczach pamiętał!

— Ale masz moje słowo, że się im nic złego nie stanie; rozumie się jednak, że unikać mają straży marszałkowskiej, i wcale się z moją opieką popisywać nie będą. A teraz, mój kochany stolniku, trzeba, żebyś zwiedził zemną roboty wodne u Starych Domów \*), mam się cię poradzić.

— Służby moje waszej królewskiej mości polecam.

Zawołał zatem Kazimierz na dworzan, i kazawszy podać sobie czapkę i pałasz, wychodził w towarzystwie Wierzyńka przez salę posłuchalną, na ganek. Czekał już tam oddawna tłum zebrany na powitanie pana. Nie był to wcale zbiór ludu, podobny do dzisiejszych przedpodwojowych zgromadzeń; było skromny poczet ziemianów, mieszczan i majstrów różnych rękodzielni, których bardziej miłość jak uszanowanie sprowadzały w to miejsce... Najgęściej tam jednak przeglądała siermięga wieśniacza, prosta odzież tego drogiego Kazimierzowi ludu, dla którego szczęścia wszystko mu było łatwe i znośne!... Za otwarciem drzwi pańskich, przycichła wrzawa, a oczy wszystkich zwróciły się na króla. Kazimierz, zatrzymawszy się w progu, dawnym zwyczajem pozdrowił lud błogosławieństwem od Boga, potem, zszedłszy między tłumy, rozmawiał z każdym poufale;... wieśniaków pytał jak idą zasiewy; rękodzielników, jak wydają warsztaty

---

\*) Zapewne na Stradomiu tak później nazwanym.



mieszczan, jaki stan zdrowia w stolicy; wszystkich zaś miłą cieszył nowiną, że odkrył świeże zboża zasilki, z których będą mogli korzystać obficie. A gdy mu koniuszy dał znać, że już konie gotowe, wezwawszy do towarzyszenia sobie Wierzynka, z kilku dworzanami zszedł na dziedziniec; i siadłszy na koń, obracał w stronę przedmieścia, kędy tysiące rąk zatrudniało kopanie kanału, mającego połączyć Wisłę z Rudawą.

---

## ROZDZIAŁ XVII.

---

Gdzie tylko zwrócę oko, widzę kraj wośły!  
Tu, wszystkie w jeden powab zbiegły się żywioły,  
Tu, stałsza piękne niebo rozjaśnia pogoda,  
Tu, jest lżejsze powietrze, przezroczystsza woda,  
Wyższość góry przedmiotom wyższości przyczynia,  
Las panuje nad górą, nad lasem świątynia!

*F. Wężyk.*

Mila od Krakowa, w okolicy rozkosznych Bielan, na pochyłości wzgórza panującego przeslicznej dolinie, leży wieś Naręcz \*), sławna żyznością ziemi, równie jak zachwycającem położeniem. Zdrój tam czystszy niżeli gdziekolwiek, kwiecistsze łąki, drzew żywsza zieloność, skały, grotty, a w około miłe Krakowa, Tyńca, Wisły i dalekich Karpatów widoki, tę myśl na jej ujrzenie podają: że jeżeli bogowie ojców naszych pogańskich nie byli mniej wytworni w smaku, jak bogowie Rzymian i Greków, zapewne w tem miejscu lubie sobie mieszkanie mieć musiała jaka Wenus albo Juno sarmacka. Lecz w wieku Kazimierza inna była dola Naręczyna, chociaż niemniej szczęśliwa. Porządne chaty wieśniacze, uprawne ogrody, niwy pięknym okryte zasiewem, tuczne bydelko a co najmiłsza, lud swobodny dobroczynnem pana staraniem, wyłączać ją zdawały się z powszechnej kraju

---

\*) Dziś nie znana z nazwiska.

niedoli! To sioło błogosławione, z należącym do niego folwarkiem, było dziedzictwem Wierzynka, do którego swych przyjaciół odesłał.

Przybywszy tam z swą drużyną Kosidło, którego odtąd zwać będziemy właściwem jego nazwiskiem Nałęcza, przyjęty przez ekonoma z uszanowaniem, znalazł wygodny pokój, usługę, posiłek, słowem najskwapliwszą w każdym względzie staranność. Dom drewniany, pod strzechą, nie miał w sobie nic okazalego; lecz go zalecała wytworna czystość i opatrzenie w to wszystko, co sielskie mieszkanie przyjemnem czyni. Dwa ganki obszerne przecinające rząd kilkunastu okien od czoła, ocienione starymi lipami; rozległy dziedziniec z sadzawką pośrodku, obwarowany do koła ziemnym wałem, porośłym różnych drzew gęstwiną; za nim, z jednej strony między drzewami na urwiskach skał, porozrzucane w różnym kierunku chaty wieśniacze — z drugiej szerokie błonia otwierające widok Krakowa i jego okolic, składały Nałęczyna obejście. Przydawała mu poważnej ozdoby sześcioboczna o trzech piętach wieża gotycka, która będąc pozostałością dawnego zamku, z końcem domu złączoną, służyć mu mogła w razie napadu za ochronną strażnicę.

Około południa ukazał się pan domu, Wierzynek, witając gościa w swej wiejskiej komnacie sercem pełnem najżyczliwszej chęci. Jużto nie był fukliwy starzec, było gospodarz. przejęty najwyższą radością z przybycia przyjaciół. Podobał mu się z pierwszego wejrzenia udatny Bronisław, ścisnął go serdecznie, dobrą cieszył nadzieją, lecz nie chciał mu zaraz powierzyć szczęśliwie przedsięwziętych starań u króla. Niemniej łaskawe odebrał przywitanie mały chłopczyka, którego Nałęcz przedstawiał jako nieszczęśliwą sierotę, powierzoną jego opiece; dobre dziecię, jak gdyby wiedziało komu się powinno zasługiwać, wyciągało z ufnością rączki do Wierzynka. A gdy szafarz obwieścił obiadową godzinę, wprowadził Wierzynek przyjaciół do izby jadalnej. Stół w niej nakryty na sześć osób znać dawał, że oprócz przybyłych gości jeszcze się ktoś więcej znajduje, co z panem siada do stołu, a co większa, że wyłączone nakrycia były to dwa miejsca naczelne. Gospodarz prze-

żegnawszy dar Boży, posadził obok siebie Nałęczów, i brał się do częstowania, gdy niespodzianie otworzyły się małe drzwiczki, niedostrzeżone w ścianie, i ukazały wchodzącą do izby cudnej urody dziewczęcę, a za nią podeszła niewiastę. Była to piękna Podgórzanka z swą ochmistrzynią, które niedawno widział Bronisław na pamiętnej mu Lelowa dolinie, gdzie lud biedny opatrywała. Nadobna Hanna w takiej samej białej sukni, przepasana błękitną wstęgą, z tem samem anielskiem spojrzaniem, miła i gładka jak wprzód, zbliżywszy się do Wierzyńki, podniosła z uszanowaniem jego rękę do swych ust różanych, i skromnym ukłonem powitała Nałęczów. Wierzynek pocałował ją w czoło, i gdy pozdrowił ochmistrzynię, zabrały obie zostawione sobie miejsca u stołu, a odtąd potrawy zaczynano od Hanny.

Są w życiu ludzkim trafy szczęścia, lube marzenia cudem zmienione w prawdę, które, im mniej spodziewane, tem dzielniej uderzając, w pierwszej chwili nic, prócz jakiegoś obłędu czuć nie pozwalają. Bronisław uwierzywszy na koniec swym oczom, że w jednym z Hanną znajduje się miejscu, i długo w niem znajdować się będzie, nie mogąc najżywszego uczucia pokonać, nie wiedział, jak swój nieład ukryć potrafi. Szczęście, że między nim a Hanną posadzono małego chłopczyka. Miał on w dzieciennym swym wieku bardzo dobry apetyt, lecz niedołężny, nie mogąc sobie zaradzić, potrzebował pomocy. Bronisław był jak najlepszej chęci w usłudzeniu dziecięcia; lecz czyli mało obeznany z tym rodzajem zatrudnienia, niezręcznie to robił, czyli przez nagłe Hanny zjawienie, pozbawiony przytomności, nie wiedział co czyni, tak się źle w swym obowiązku karmiciela sprawował, że już trzecie szło danie, a chłopczyk ledwo kilka razy w usta wziął pokarm. Z politowaniem patrzyła na to Hanna, i zcicha Wierzyńkowi powierzała swe myśli.

— Młodzieńcze! — zabrał głos starzec — wiem że dzielny z ciebie rycerz, ale Bóg widzi, zła niańka! Sam nic nie jesz i chłopczyk twój głodny, a podobno już parę razy dobrze się z twej łaski oparzył! Ja ci radzę prosz twej sąsiadki, żeby cię uwolniła od tego kłopotu.



— Bardzo dobrze — rzekła Hanna z uśmiechem — jeżeli mi tylko waszmość pozwolisz, starać się go będę wyręczyć.

— Pani! — odpowiedział młodzieniec — opatrność już cię niedopiero wybrała na wspomóżcielkę nieszczęśliwych. Kiedyś tak łaskawa, czyń co się podoba.

— Jeżeli się nie mylę — przerwała ochmistrzyni zwracając mowę do Bronisława — myśmy gdzieś waszmość niedawno widziały?

— Na dolinie Lelowskiej — odpowiedział młodzieniec — tam ja i mój koń mieliśmy szczęście zwrócić na siebie dobroczynny wzgląd tej pani.

— Ale cóż, kiedy waszmość niczem sobie służyć nie pozwoliłeś — przerwała dziewica głosem wymówki.

— Owszem przez cały czas używałem pociech niewymownych, patrząc, jak ręka pani tysiące nieszczęśliwych w najszczęśliwszych zmieniała!

— Więc mieszkańcy Lelowa odbierali dary wasze, kiedy mój syn tamtędy przejeżdżał? — odezwał się Nałęcz, patrząc wzrokiem rozrzewnienia w oczy Wierzyńka. — Gdyby on miał być dar przeczcucia, pewnieby nie tylko za siebie i za konia swego był wdzięcznym! Znam ja dobrze okolice Lelowa, lud tam był niegdyś zamożny!

— Nie uwierzysz waszmość, jak wielka teraz tam nędza panuje! — przemówiła ochmistrzyni — żadnych śladów zagospodarowania! Gdybyśmy miały dziesięć bryk żywności, wszystkobyśmy były od razu rozdały; tłok był niezmierny; szkoda tylko, że deszcz nam z reszty dnia nie dozwolił korzystać.

— Prawda, żeśmy trochę przemokły — odezwała się wesoło dziewica — ale ten sam deszcz zrosił pola wieśniaków.

— Patrzcie, jaki mi z niej gospodarz! Dobrze, że król nie wie o twych znajomościach rolniczych — rzekł uśmiechając się Wierzynek — boby mi pewnie cię zabrał na pierwszego dóbr zawiadowcę.

— Drogi mój ojcze! — korzystając z wesołego umysłu starca, zapytała dziewica — wiele mam jeszcze łasztów zboża u ciebie?

— Moja Hanno! — odpowiedział Wierzynek głosem znaczenia — masz ich wiele chcesz; nie o zboże mi idzie, lecz o to, żebyś w twoich podróżach nie doznała jakiej przygody! Czasy teraz niepewne, codzien o rozbojach nowe chodzą wieści; ślub się twój dla włości lelowskiej już spełnił. A jeżeli ci idzie o dobre uczynki, można do nich znaleźć i w domu sposobność. Ten, na przykład, sierotka — mówił, pokazując na chłopczynę — potrzebuje w swym wieku czułych koło siebie starań niewieścich; gdyby nasi przyjaciele pozwolili zająć się nim tobie, zastępując mu miejsce matki, i kształcąc na dobrego człowieka, równiebyś przed Bogiem zasługę odniosła!

— Ach! gdybym tylko była pewną, że to waszmościom nie uczyni przykrości — odpowiedziała nieśmiało dziewczica.

— Ja przeciw temu nic nie mam — odezwał się Nałęcz.

— I ja chętnie praw mych ustępuję — dodał Bronisław.

— Ale chciejcież najprzód nas uwiadomić, jak się ten chłopczyk nazywa — zapytała ochmistrzyni.

— Właśnie jest to okoliczność, o którą wypadło nam z głowy matki jego zapytać — odpowiedział Nałęcz.

— To rzecz najmniejsza! — ponowił Wierzynek — będziemy go mogli tymczasem Bronisławkiem nazywać.

— Bardzo dobrze, niech będzie Bronisławkiem — powtórzyła Hanna, ściskając dziecko z radości.

Tymczasem obiad szedł porządkiem godnym czasów późniejszych. Usługa, potrawy i napoje były jak najlepsze; gospodarz bowiem, cudzoziemiec, mający bliskie stosunki z ludem zagranicznym, przytem możny i żyć dobrze lubiący, nietylko zwyczaje światlejszych narodów umiał w dom swój wprowadzić, lecz wiele przypraw kuchennych, nieznanie wcale Polakom, upowszechnił na swoim stole. Po skończonym obiedzie, gdy z miejsc ruszono, Hanna, odprawiwszy modły zwyczajne, udała się z innymi za Wierzynkiem do jego komnaty, gdzie z przyswojonym chłopczyną starała się starca rozrywać,

kreśląc mu rys wychowania dziecięcia, i to wszystko, co czynić dla niego zamierza. Mały Bronisławek, jak gdyby rozumiał dobroczynne dla siebie chęci dziewicy, przywiązał się do niej duszą i ciałem. A gdy wkrótce Wierzynek zabierał się do powrotu do miasta, pożegnawszy go Nałęczowie, udali się do mieszkań wyznaczonych sobie. Został w swoim pokoju Bronisław przydanego do usług tego samego człowieka, który na dolinie lełowskiej przychodził do niego z polecenia Hanny; użył tej znajomości młodzieniec za powód bliższego dziewicy poznania, lecz nic więcej nie mógł dowiedzieć się nad to: że od dzieciństwa z ochmistrzynią tu mieszka, że jeszcze ani razu nie była w Krakowie, i wcale nie jest znaną w sąsiedztwie; jeżeli bowiem kto przyjeżdża w odwiedziny pana stolnika, Hanna wtenczas nie schodzi na dół, i przez cały czas pobytu gościa u siebie na wieży zostaje. „Ale za to — dodał służący — okolice zamieszkałe przez nieszczęśliwych, choćby najodleglejsze, dobrze ją znają, że jest litościwą, pobożną, wesołą, uprzejmą, i lud ją nie inaczej, jak aniołem dobroci nazywa!“

Tymczasem, zaledwo Nałęczowie stanęli w swoim nowem schronieniu, gdy ich do Krakowa przybycie już było wiadome temu, którego się najbardziej lękali. Marszałek wielki, herbu Grzymała, stróż porządku w stolicy i kraju, podwójnie był dla nich straszny: najprzód, jako najwyższy państwa urzędnik, sięgający bez odwołania mieczem na milę od królewskiego mieszkania, powtóre, jako osobiście niemogący sprzyjać Nałęczom, był bowiem z linii prostej potomkiem tego dzielnego Grzymalczyka, który w obronie króla Przemysława życia nieszczędząc, w nagrodę wierności, wyrokiem Łokietka, odziedziczył po spiskowych imiona lełowskie, i te aż do czasów wielkiego marszałka, jego wnuka, w domu jego zostały. Byłto mąż w pewnym już wieku, dobrze z dopełnionych obowiązków zalecany królowi — przyłożył się bowiem niemało do oczyszczenia kraju z łotrstwa i gwałtów, które się były od czasów zaburzeń Łokietka znacznie zageściły — a świeżo sprawionem do cesarza poselstwem na nową ufność zasłużył. Otoczony mnóstwem krewnych i imienników, którzy, garnąc się pod



jego opiekę, polepszenia losu szukali, znajdował w nich często usłużnych urzędowi swemu pomocników. — Z pośród tej zgrai czuwającej wszędzie, jak wtenczas nazywano, marszałkowskiej czeladzi, umiał się panu swemu szczególniej podobać Truksa, dawny jego dworski, a pozostałec wygładzonych na Podlasiu Jadzwingów, któregośmy mieli sposobność widzieć u rozwalin Bolesławca, w towarzystwie białego pielgrzyma. Wiedział dobrze marszałek, jak mściwą on żądzą pała przeciw jego ziomkom, i jak go cieszy każda sposobność dręczenia Polaków; lecz znając w nim rzadkie zdatności śledzenia najtajniejszych zbrodni, najlepiej ukrywających się ich sprawców, przytem doświadczoną wierność i przywiązanie do swej osoby, nietylko go ciągle trzymał przy boku, lecz często do spraw najtajniejszych używał.

Już się czeladź marszałkowska, różnego stopnia i postaci, pod wieczorną godzinę rozwlekła po ulicach stolicy, zazierając w miejsca zabaw i schadzek, lub pilnując bezpieczeństwa kątów najmniej uczęszczanych, marszałek wielki, po dziennej pracy, w uciszonym dworze, używał wczasu: twarz jego okazywała troski i niespokojność; gdy Truksa, zwyczajem swoim, wszedłszy do pańskiej komnaty, czynił porządek między pismami rozłożonemi na stołach.

— Cóż tam słyhać? — przerywając milczenie, zapytał marszałek.

— Król cały dzień był złego umysłu — odpowiedział powiernik głosem oznaczającym nie lepsze jego usposobienie. — Z rana uszczwał dwa lisy, i dość wesoły wracał na zamek; Badzanta wszystko zachmurzył rozwdem; dopiero go ukochany jego Niemiec z Naręczyna cokolwiek ożywił. Ale to krótko trwało.

— Zawsze i wszędzie ten Wierzynek! — rzekł marszałek z niesmakiem — Czy król widział się dziś z Rokiczaną?

— Musiał się widzieć, jadł obiad u królowej węgierskiej; przecież Rokiczana tam mieszka.

— Trzy dni dopiero jak przyjechała, a króla trudno już poznać. Czy i moja bratowa tam była?

— Nie wiem — odpowiedział zimno Jadzwinga.

— Ty zawsze tego nie wiesz, na czem mi najwięcej zależy.

— Ja zaś myślę, że wy panie, nie o to mię najczęściej pytacie, co was najbardziej obchodzić powinno, ale niech i tak będzie. Bratowa wasza nie była dziś u królowej.

— Dobrze! A szukanie złoczyńców, którzy na Rokiczana napadli, jak też idzie?

— Jak trzeba. Mam kilkunastu pojmanyh w tej stronie, którzy przyciśnieni muszą mi dać języka.

— Chcę ich mieć koniecznie! Król mi o tym przypadku mówił z zagniewaniem; jam mu dał słowo, że ich dostawię, choć szczerze żałuję, że nie porwali tej Czeszki! Więc myślisz, że moja bratowa obiadowała u siebie?

— Jeżeli nie u pani krakowskiej.

— To być może. Batory tam bywa, a ona ma nim głowę zajętą. Wiem ja, po co tu pani bratowa przyjechała; stara się majątek męzowski z pod mojej wydobyc opieki, żeby tem prędzej pójść za mąż. Niewdzięczna! dreszcz mię śmiertelny przenika, kiedy pomyślę, że król, chcąc Węgra pocieszyć, może się wdać w swaty i wyda ją za niego.

— Johanna może pragnąć zostać księżną siedmiogrodzką, lecz wątpię, żeby Batory chciał zamienić hrabiankę czeską na polską szlachciankę i do tego wdowę.

— Dodaj jeszcze, z dziecięciem.

— Z dziecięciem, czy nie z dziecięciem, to może tak dobrze, jak nie wchodzić w rachunek — odpowiedział zimno Truksa.

— Lecz wyznaj, Johanna choć wdowa i matka, nie jest że bez porównania cudniejszą od Rokiczany?

— Ja tego głośno nie powiem. Ale czego się dęczyć, kiedy ja was zapewniam, że fortuna brata waszego już jest przy was na wieki. Raczej o tem trzeba pamiętać, żeby imion lelowskich nie stracić.

— Nie mów mi o fortunie, kiedy kto inny rękę Johanny posiędzie! serce jej tylko może mię uszczęśliwić!

— Na to więcej cierpliwości trzeba niż zachodów. Oto gorzej, że się Nałęczowie zjawili. Wierzynek wziął

ich w opiekę, i nietylko już w Naręczynie osadził, ale podobno i łaskę króla wyjednał, bo właśnie wyszły od podskarbiego rozkazy wzięcia na skarb zbóż Wierzyńka w Gnieźnie i Kazimierzu złożonych. Ten Niemiec nie darmo nie czyni.

— Królowi wolno brać zboże, ale nie wolno stanowić o losie Nałęczów!

— Kazimierz najniepodobniejsze wykonywa rzeczy. Wszystko mu uchodzi. Może nawet wrócić im Lelów.

— Więc jeżeli ich podniesie z prochu, będzie to dzieło twojej opieszałości!

— Raczej szatańskiej nad nimi opieki! — ponowił żywo dotknięty Truksa. — Ale Naręczyn nie jest jeszcze niezdobytym zamkiem!

— Ja po nich tam sięgać nie myślę! Gdybym teraz, po okazanej im życzliwości króla, chciał na ich życie nastawać, nie tyłkoby mi go słusznie na siebie obraził, lecz dałbym powód do mniemania, że się lękam, abym nie stracił imion, które po ich przodkach dziedzicę. Mnie nie jest straszną gadzina, której żądło wyrwano!

— Może i prędko jeszcze straszną stać się może, jeżeli jej głowy nie zgnieciami! Król obrażać się nie powinien przeciwieniem się temu, co czyni skrycie wbrew panu, tem bardziej, że wywołani dają sami powód do wzięcia ich na gorącym uczynku! Wszakto wczora na Kleparzu, zajechawszy szumno z jakąś niewiastą na nocleg, napadli na żydów i z towarów obedrzeć ich chcieli!

— Więc trzeba było ich pojmać i wyrok wykonać!

— Zapożno odebrałem wiadomość!

— Dajże mi pokój z tymi nędzarzami; daruję ich tobie! rób z nimi co ci się podoba! a staraj się lepiej o to, żebym dokładniej wiedział o zabiegach mojej bratowej.

— Dwa razy ród mi ten uszedł! — rzekł z cicha ożywiony Truksa — trzeci raz nie darmo sięgnę po niego! — I dokonawszy porządku na stołach, wyszedł z komnaty.



## ROZDZIAŁ XVIII.

---

Cóż to? jeszcze mi nie wierzysz?  
Mierz więc, jeżeli nie mam wiary!  
Lecz co zabraknie do miary,  
To mi twém życiem domierzysz:

*Z ballady.*

Sposób życia naszych wygnańców w Naręczynie, zapewniony od wpływu nieprzyjaciół, a ożywiony miłą nadzieją starań gospodarza, niezmiernie się podobał staremu Nałęczowi, lubiącemu pokój i ucieszenie. Lecz Bronisław, -w tej losu odmianie, nie życie pełne wygod i przyjemności, nie stan wolny trwogi i niebezpieczeństwa, ale tę słodką pewność cenił najwyżej, że jednym z Hanną oddycha powietrzem. Ograniczoną wprawdzie była jego szczęśliwość. widywał ją tylko u stołu, i to wtenczas, kiedy był Wierzynek obecny; w jego bowiem nieprzytomności Hanna u siebie jadła. Czasem ujrzał ją w oknie wieży, zatrudnioną igłą, lub spotkał przypadkiem chodzącą z Bronisławem po wałach; ale prócz powitania i kilku słów obojętnych, więcej nie mógł rozmawiać, bo ochmistrzyni zaraz ją zabierała na wieżę. Czuł się jednakże najszczęśliwszym z ludzi — wiedział albowiem, iż jest jedynym, któremu wolno wielbić jej wdzięki i zyskać niekiedy jej spojrzenie!

W tych atoli spotkaniach, które umiał zapewne wynajdywać Bronisław, i które może sama Hanna lubiła czasem pomnażać (surowe czytelniczki niech mi darują ten domysł!) — młody gość Naręczyna coraz żywiej zajmować zaczął piękną mieszkankę wieży. Wesołość jej i dowcip traciły zwolna dawną swobodę, da-

wną nieprzymuszonność; w uśmiechu nikła ta szczerłość, która tak dobrze spokojną duszę maluje; głos jej przybierał jakąś nieokreśloną rzewność, a lekka bladeść na twarzy i tęskność oka, czarodziejskim sposobem dopełniła tego tkliwego obrazu zmienionych jej wdzięków. Czytał w nich swoje szczęście Bronisław; Naręczyna dla niego był światem, a obejście mieszkania zakresem jego przechadzek. Tu mógł zobaczyć Hannę, przy której o wszystkim dzisiaj zapomniał.

Lecz jego ojciec, przywykły do wiejskiej swobody, nie chciał swojego szczęścia ograniczać obwodem wału, i często, uprzedzając wschód słońca, wybierał się na złożenie swych modłów w skaliste Naręczyna wąwozy, lub szedł tam, gdzie ręka opatrności wypływającym z zasiewów zielonym kłosem cieszyła serce rolnika! Miłyto był widok dla serca i nieraz go dalej powiodł, niż ostrożność radziła. Poranku jednego, gdy po rosie z różanicem w ręku głębiej się między niwy zapuścił, obskoczony został przez kilku zbrojnych ludzi, którzy, wypadłszy nagle z przyległych wąwozów, rzucili się na niego i uprowadzić go chcieli. Poznał struchlały Nałęcz, że dostał się w ręce marszałkowskiej straży; opór był niepodobny, i wcale go używać nie myślał, tem jedynie zajęty, aby mógł jak o sobie dać wiedzieć synowi.

Bywają ludzie, dla których i najnieużyteczniejsze okrucieństwo zawsze rokosz przynosi, takim był Truksa.

— W imię króla! jesteś mym więźniem! — zawołał z dziką radością, zatykając długi swój bardysz na miejscu pojmania.

— Widzę — odpowiedział spokojnie Nałęcz — lecz dozwól mi moich pożegnać.

— Dobrze! jeśli dasz syna w zakład!

— Chytry zdrajco! — zawołał głosem wzgardy starzec — niedoścże ci na krwi mojej? Nie dosięgniesz mi syna! Ja padnę, lecz on żyć będzie, aby się zemścił!

— Wątpię! — odparł niewzruszony Truksa. — Rybka jeszcze buja na wodzie, choć sieć się pod nią podnosi!

Niemylne były te słowa! Bronisław bowiem, mający zawsze na oku kroki ojca, gdy go dnia tego dłużej jak

zwykle przechadzka zatrzymywała, wyszedł był i sam w tęż stronę. Drzące jego serce z dala poznało ojca w niebezpieczeństwie, i gnało go pędem ku niemu. Na widok syna zatrzymał się Truksa z pojmańcem, jak się zatrzymuje nocny myśliwiec z przynętą na zwierza, aby go bliżej siebie przypuścił. Nałęcz widząc, że zapęd Bronisława prosto go wiedzie w ręce nieprzyjaciół, trwogą najokropniejszą przejęty:

— Uchodź! uchodź! rozkazuję ci pod błogosławieństwem! mnie już nie zbawisz! uchodź, zaklinam cię — wołał na syna; ale jego przywiązanie nie mogło być niczem wstrzymane! Jak zwierz drapieżny spadł na straż otaczającą ojca, i czyniąc sobie drogę orężem, ranił jednych, drugim trząskając drzewca bardyszów, lecz wkrótce ranny i wysiłony, podzielił los ojca.

Nie można wiedzieć, dlaczego Truksa, pojماwszy Nałęczów, ociągał się z wykonaniem na nich wyroku na miejscu; prawo, pozwalające nie tylko straży marszałkowskiej, lecz każdemu i wszędzie zabicia wywołańca, nie było mu pewnie na przeszkodzie. Lecz czyli miał jeszcze jakie zysku lub wydobywania nadzieje, czyli, co podobniejsza, przyrodeniem niektórych zwierząt okrutnych, co wprzód lubią naigrać się z pastwą, nim ją drapieżności swojej poświęcą, chciał się ich nędznym położeniem ucieszyć; cóżkolwiekby, gdy zwlekał spełnienie ich losu, z tychże samych wąwozów spostrzegłszy to ekonom naręczyński, wpadł z ludem koczującym w pobliżu i obskoczył go tak niespodzianie, że sile kilkakrotnie większej uzbrojonej w siekiery i rydle, nie mógł się oprzeć; owszem, od razu zostałby był pokonany, gdyby nieprzyjaciół szczerze chciał uderzyć. Ale roztropny ekonom, wiedząc dobrze, jak wielka odpowiedzialność go czeka, gdyby rozbroił lub ranił straż marszałkowską, tyle tylko nacierał, ile trzeba było, aby jej nie dopuścił uprowadzenia pojmany, lub zadania im śmiertelnego ciosu. Tymczasem, Wierzynek uwiadomiony o niebezpieczeństwie Nałęczów, zgromadził lud dworski i tak mocno straż ścisnął, iż Truksa, zewsząd otoczony, nie mógł ani w tył, ani naprzód kroku uczynić.



— Jakiem prawem gwałt mi na mym gruncie czynisz? — zapytał Wierzynek naczelnika straży.

— Waszmość to mi wprzód powiedz, jakim prawem nietylko wywołańcom na miecz skazanym dajesz schronienie, lecz śmiesz mi jeszcze zbrojno przeczyć ich pojmania? Mości panie! na wiele się odważasz! Proszę mię nie zatrzymywać w mojej czynności.— I chciał z uwięzionymi przebić się przez ostęp.

— Ani kroku! bo zginiesz najpierwszy! — dając znak swoim nadstawienia oręża, zawołał Wierzynek.

— Cóż to? — odezwał się strapiiony Truksa. — Czy mu nie wiadomo, że czynię w imieniu i władzy marszałka wielkiego? czy zachodzi jaka wątpliwość względem win, rodu lub nazwiska tych ludzi? Raz jeszcze powtarzam, puść mię waszmość! jeżeli nie chcesz uleść najsurowszej odpowiedzialności.

— Raz jeszcze powtarzam — odparł Wierzynek — zginiesz nędzny natychmiast, jeżeli najmniejszy krok naprzód uczynisz! Ja znam prawo, wiem, żeś dowódcą straży marszałkowskiej, nie przeczę, że to są Nałęczowie; mimo to jednak nietylko że ich nie pojdziesz, ale sam z twą strażą jesteś mym więźniem!

— Co! ja więźniem? ja, czyniący w imieniu marszałka wielkiego, którego król nawet nie ma prawa więzić, ja miałbym być więźniem! — powtarzał trzęsący się od złości Truksa. — Słyszanoż kiedy taką zuchwałość?

— Milcz! jesteś mym więźniem, bo czynisz nieprawnie.

— Proszę o dowód? — zapytał Truksa.

— Władza marszałkowska na milę się tylko od królewskiego mieszkania rozciąga — ponowił Wierzynek — za tym obrębem przestaje być władzą i jest napaścią, gwałtem, rozbojem, podlegającym karom przepisany na burzycieli spokojności publicznej! Ztąd możesz dać pozew, rok stawienia się, ale nie więzić, rozumiesz!

— Nie ma dla skazanych pozwu, jest tylko spełnienie wyroku! A któż jest tak bezczelny, co chciałby utrzymywać, że z tego miejsca do Krakowa więcej być może jak mila? Wszak dość jest mieć oczy — mówił,

pokazując na mury stolicy, bielące się zdaleka — żeby poznać płonność tego twierdzenia!

— Kołując nawet, jak się jedzie zwyczajnie, nie ma mili — odezwał się jeden ze straży — a zkądby się wprost wzięła?

— Więcej, więcej jest jak mila! będzie mila z górą! Będzie półtory mili! — głuszac słowa straży, dały się słyszeć głosy służby Wierzynka.

— A więc złóż broń — ponowił Wierzynek — i zdaj się na moją łaskę!

Nie chciał oburzony Truksa uledez tej potrzebie, bo lubo nie czuł się w sile odporu, nie wątpił, że czynność swoją sprawował na gruncie prawem marszałkowskiem objętem. I w rzeczy samej, odległość nietylko miasta, lecz zamku nawet, który leżac dalej cokolwiek, był prawdziwym punktem rzeczonej władzy, nie zdała się dochodzić mili. Czuł dobrze tę prawdę Wierzynek, czuł nawet, że mimo przychylności króla dla Nałęczów, na wielką się rzecz odważał, tamując działanie straży; lecz ten jedyny miał sposób zyskania czasu, w którymby mógł przedsiębrać starania o ratunku przyjaciół. Truksa też przewidując, o co Wierzynkowi idzie, tembardziej nie chciał z rąk puścić zdobyczy. Po długich tedy sporach postanowiono sprawdzić zaprzeczoną odległość i na ten koniec wyprawiono posłańca do królewskiego mierniczego, prosząc, żeby od zamku w prostej linji, przeciągnął sznur do punktu pojmania, gdzie Truksa, założywszy miejsce tymczasowej swej władzy, pilnujący troskliwie swych więźniów, a sam z strażą bardziej jeszcze pilnowany przez ludzi naręczyńskich, czekał spokojnie rozstrzygnięcia sprawy.

Łaskawa opatrność obok cierpienia, którem nawiędza człowieka, często mu posyła z dotkliwym ciosem najśłodsza pociechę, którejby nigdy może nie doznał, gdyby był ciągle szczęśliwym. Osiągnął to dobro nieszacowane ranny Bronisław w czułych dla siebie staraniach Hanny! Jak tylko bowiem doszła ją wiadomość, że w obronie ojca został raniony, pierwszy raz nieposłuszna ochmistrzyni, w jednej chwili była na miejscu pojmania, przedarła się przez straże, i nie dopuszczając

nikogo, sama opatrywała zranione czoło młodzieńca; a chociaż cios zadany był tylko lekkim bardysza drasnięciem, troskliwość jej tak była wielka, jak gdyby szło o życie! Jakże mu słodką była ta rana, gdy czuł na niej przyległą chustkę dziewicy, która niedawno okrywała białą jej szyję! jak był mu miły głos jej stłumiony, bladość wdzięcznej jej twarzy, i te oczy niebieskie lżą zasze! Ale jej dobroć anielska nie mogła zapomnieć i o tych, którzy byli sprawcami cierpienia przyjaciela; a widząc, że daleko ciężiej ranieni bez pomocy zostają, rozkazała podać ich towarzyszom wodę gojącą, leki i obwiniecia, prosząc, aby rany ich opatrzyć chcieli. Tymczasem Wierzynek, zdawszy na ekonomą i wierną swą służbę dalszy los Nałęczów, pospieszył do Krakowa czynić ich ratunku zabiegi.

Dwa dni pod gołem niebem musieli zostawać nieszczęśliwi więźniowie; dwa dni naręczyńscy ludzie pod bronią gotowi byli karać najmniejsze ich nieuszanowanie; dobra Hanna nie przestawała przez ten czas nieść najtroskliwszą im pomoc. Trzeciego dnia około południa nadbiegły posłaniec dał znać, że mierniczy nadciąga z łańcuchem. Na tę wiadomość, bladość śmiertelna twarz dziewicy okryła! Bacność straży obu zwróconą została na gromadę otaczającą łańcuch. Zbliżył się nakoniec stanowczy poczet; już tylko kilka brakowało przemiarów do spełnienia losu. Cichość wszędzie panowała tak wielka, iż ledwo nie każde ruszenie łańcucha było słyszane. Ale tę okropną niepewność ożywiała przytomność w orszaku mierniczym Wierzyńka, który pilnując czyniącego karby przemiaru, wesolą twarzą i pewnym wzrokiem, zdał się chcieć dobrą przyjaciółom zwiastować nowinę.

Gdy ostatni sznur do zatkniętego bardysza dociągniony został, i gdy ilość ich przeliczono na karbie, okazało się, że nie tylko odległość od zamku nie wynosiła polskiej urzędowej mili, lecz że do jej spełnienia kilkadziesiąt jeszcze brakowało sznurów, a tak pojmanie Nałęczów nie podlegało więcej zaprzeczeniu!

— A zatem, mości panie stolniku — zabrał głos ośmielony Truksa — waszmość nietylko więcej nie bę-



dziesz mi miał nie do zaprzeczenia, ale spodziewam się że zechcesz w czasie i miejscu zdać mi sprawę z zatrzymania mych działań!

— Zapewne; musiałbym odpowiadać, gdyby najście straży prawnie było wykonane — odparł spokojnie Wierzynek. — Lecz trzeba wprzód uczynić pewne rozróżnienie, nim się osądzi z czyjej strony wygrana. A najprzód proszę mi powiedzieć, czy władza marszałkowska rozciąga swe działanie od zamku krakowskiego, czy od miejsca, w którym się król znajduje?

Pochwycony Truksa poznawał dobrze, do czego zmierza to pytanie, i wiedział, jak pomyślnie może być obrócone na korzyść strony przeciwnej; lecz nie mogąc zaprzeczyć brzmieniu prawa, przyznał, że władza jest przywiązana, nie do mieszkania, lecz do osoby królewskiej.

— Teraz więc dowiedz się z tego zaświadczenia — ponowił Wierzynek, ukazując mu pismo strażnika zamku, kasztelana Spytka — że się król już od trzech dni w Sandomierzu znajduje, i że tem samym napad twój jest zgwałceniem skokojności publicznej.

— Tu nie jest powiedziano — odparł zmieszany Jadźwiga — że król nie znajdował się w Krakowie, kiedym wykonał pojmanie!

— Owszem — przeczytaj lepiej, a dowiesz się, że zaświadczenie mówi wyraźnie — ponowił Wierzynek — jako król, równo ze dniem opuścił Kraków, a pojmanie dnia tego nastąpiło, gdy już dobrze było słońce na niebie.

— Najjaśniejszy pan musiał się jeszcze puścić przede dniem w drogę — odezwał się mierniczy — jam był w polu z łańcuchem, dzień się dopiero rozjaśniał, kiedy przejeżdżał sandomirskim gościńcem.

— Bo też najjaśniejszy pan zawsze rusza przede dniem — dodał pomocnik mierniczego — i pędził tego, musiał tedy najmniej trzy mile ujechać, kiedy słońce wschodziło.

— Najjaśniejszy pan może sobie bardzo prędko jeździć i rano w drogę się puszczać — odparł Truksa —

ale ja na tem zaświadczeniu poprzestać nie mogę i wcale od czynności mojej odstąpić nie myślę!

— Życzę mówić uważniej o zaświadczeniu pana krakowskiego — odpowiedział Wierzynek. — Tymczasem możesz być pewien, że będąc mocniejszy, prosić cię o powolność nie będziem, nim się o gwałt uczyniony przed królem upomnim — mówił ośmielony, i kazawszy swoim oddalić straż marszałkowską, która, mimo groźb dowódcy swego, lepiej trzymając o zaświadczeniu kasztelana, nie chciała w spór wchodzić z najsilniejszym nieprzyjacielem, ścisłał oswobodzonych z sercem pełnem najżyczliwszej chęci.

Wśród tej zmiany rzeczy, gdy Nałęczowie wdzięczne oświadczały uczucia dobroczyńcy swojemu, Hanna zbliżywszy się z Bronisem do przyjaciół, chciała, żeby i jej mały wychowaniec dzielił powszechnie uradowanie. Widok dziecięcia niewidzianego dotąd, które młodzieniec z rozrzewnieniem przyciskał do serca, nagle Trukcę przeraził; ojciec najtkliwszy, widzący w nieprzyjacielskich ręku stracone swe dziecko, nie mógłby większej nad jego rozpacz i pomieszanie objawiać niespokojności! twarz jego śniada nagle się okropną bladością okryła, opuściła go żywość i przytomność, których dotąd nie tracił. Stał na stronie jak osłupiały, nie mogąc roziskrzonych oczu oderwać od oblicza dziecięcia.

— Czegoż jeszcze tym wzrokiem tu sięgasz? — zapytał go Wierzynek. — Oddał się z mej ziemi natchmiast!

— Mości panie stolniku! — odpowiedział Jadźwiga pokorniejszym głosem. — Nie trzeba waszmości mówić, jak często mój urząd nieszczęsny stawia mię w przykraj konieczności obrażenia tych, których skarbić łaskę mam sobie za najmilsze pragnienie! Nie chcę w dalszy spór wchodzić z obywatelem, który tak słusznie szczyci się łaską i ufnością króla; owszem, gdy woła jest waszmości zabezpieczenie losu zacnych jego przyjaciół, ja więcej na nich nastawać nie myślę. Jednakże dla zachowania pewnych prawideł, od których z urzędu mego, bez obrazy marszałkowskiej, odstąpić nie mogę, prosiłbym, żeby do sprawdzenia wyjazdu króla dany mi był

w zakład na pół dnia tylko, jeżeli nie jeden z Nałęczów, to dziecię to przynajmniej, jak rozumiem, do nich należące.

— Pójdź precz nikczemny! — zawołał ze wzgardą Wierzynek, i zaprosiwszy mierniczego z służbą na obiad, otoczony swym ludem, wracał z przyjaciółmi w obręb mieszkania.

Oswobodzeni Nałęczowie ostrożniejsi odtąd w swem schronieniu prowadzili życie; Truksa też, zaniechawszy na czas przynajmniej ich prześladowania, obrócił w strony, kędy go wzywały nowych jego dostrzeżeń widoki Tymczasem rzeczy w kraju wojenną przybierały postać. Biskupi i prałaci na mocy listów papieskich, głosząc z ambon wojnę świętą, zagrzewali lud do praw i swobód obrony. Zagrożona wiara i ojczyzna, te najdroższe Polakom dziedzictwa, przy rozesłanych na powiaty i ziemie wiciach królewskich, zalecających siadanie na koń, sprowadzały tłumy rycerstwa do stóp biskupich po błogosławieństwo dla orężów. Domy najpierwsze w Polsce ubiegały się o uzyskanie poświęconych ręką naczelnika kościoła chorągwi, pod które zbierając młodzież krajową, wystawiały z niej potężne jezdne i piesze zastępy, czekając aż król polski, wódz połączonych trzech mocarstw, przeciw srożącym się Tatarom i Litwinom na Rusi Czerwonej, wyda hasło wyciągnięcia w pole. Z pomiędzy wielu znakomitych panów, którzy nie szczędzili kosztów do wystawienia godnych swej zacności szeregów, dom Grzymalczyków, dawny i szeroko rozrodzony w Polsce, liczył się między pierwszemi. Naczelnik jego, Jan z Lelowa, marszałek wielki, bogaty, mężny i wzięty w narodzie, do sławy pierwszego urzędnika korony pragnąc dodać wieniec rycerski, postanowił osobiście do wyprawy należeć i w tym celu znakomite czynił przygotowania.



## ROZDZIAŁ XIX.

---

Chętnie radość niewinną dzielić z niemi rada,  
Skacze sama, majestat na stronę odkłada.

*J. Szymanowski.*

Jeżeli tak szczęśliwie za wpływem apostelskiej stolicy postępowało uzbrojenie się polskiego rycerstwa, nie z równym zapalem dwa inne królestwa, a mianowicie czeskie, czyniło przygotowania wyprawy. Król jego cesarz Karol, czyli to przez uczucia wyniosłości, nie chcąc wojsk swych poddawać pod rozkazy króla polskiego, czyli stale sprzyjając Ziemowitowi, sprawcy tych zaburzeń, nie życzył sobie przykładać się do jego upokorzenia, pod różnemi pozorami nie dopuszczał arcybiskupowi gnieźnieńskiemu głoszenia wojny świętej w swych krajach. Ludwik, król węgierski, zięć cesarza i wierny jego przyjaciel, chociaż powolniejsze okazywał chęci w przyjęciu rozporządzeń papieskich, nie spieszył się jednak z wyprawieniem wojsk swych do Polski, czekając aż naglejsza potrzeba usprawiedliwi tę wojnę, gdy wieść zbliżających się do granic jego Tatarów kapczackich i srogiej ich wszędzie łupieży, zmusiła go do szerszego z wujem działania.

Tymczasem król polski będąc w tak ścisłych związkach z Ludwikiem, miał zawsze w Krakowie znaczny poczet Węgrów, po większej części należących do dworu królowej Elżbiety, siostry swojej a matki Ludwika, która po śmierci męża, gdy syn jej objął rządy państwa, opuściwszy Węgry, przeniósła się na rodzinną ziemię,

i rządząc domem braterskim, ciągle mieszkała w Krakowie. Nie trzeba jednak mniemać, aby to jej opuszczenie państw syna było skutkiem niechęci dla niego; owszem, kochając go bardziej nad inne dzieci, w widoku jego uszczęśliwienia mieszkała przy bracie, zapobiegając zrećźnie tak pojednaniu się brata z Adelaidą, jakoteż otrzymaniu rozwodu, któryby mógł skłonić Kazimierza do ponowienia związku, a tem samem zniszczyć układy zapewniające Ludwikowi tron polski. Na ten koniec królowa miała zawsze koło siebie pewną liczbę Węgrów, gotowych jej służyć radą i orężem; a w tym czasie liczba ich z powodu zbierającej się wyprawy, znacznie się zwiększyła.

Użył zrećźnie tej okoliczności nieszczęśliwy Batory, szukający sposobów zbliżenia się do swej kochanki, i ciągle pod pozorem oczekiwania na przyjazd króla Ludwika mieszkał w Krakowie. Nie miał on łatwego do Rokiczany przystępu; ojciec ją bowiem zaraz, jak tylko przyjechał, odesłał na zamek pod bezpośrednią opieką królowej; ochmistrzyni jej, jako podejrzana, została oddaloną; wszystkie drogi widział sobie przecięte, lecz miał przyjaciela w szanownym biskupie krakowskim, który go nie przestawał cieszyć dobrą nadzieją, zapewniając, że jeżeli zbliżające się do kresu ułożenie sprawy o Szląsk i Mazowsze z cesarzem, a mianowicie wyprawa króla polskiego na Ruś Czerwoną, nie przyspieszy powrotu Rokiczana do Pragi, ma w zachowaniu inne sposoby, które go niezawodnie skłonią do opuszczenia Krakowa i zabrania z sobą córki, a wtenczas będzie miał księżę pole otwarte odnowienia bez przeszkody praw swych do jej ręki.

W tym stanie nadziei i niepewności znajdował się Batory, gdy Elżbieta dowiedziawszy się o jego przybyciu do Krakowa, kazała go prosić, ażeby bywał u niej na wieczorach; królowa bowiem, niezmiernie lubiąc zabawy i wesołość, w pewnych dniach miewała u siebie świetne zgromadzenia. Posłuszny księżę rozkazom matki pana, nie omieszkał stawić się niezwłocznie, i odebrawszy jak najwzględniejsze przyjęcie, korzystał z pozwolenia bywania. Było rodzaj słodkiej dla niego męczarni,

patrzeć na Rokiczanę, odbierającą hołdy króla, widzieć jej smutek, a nie mieć sposobności utwierdzenia jej w przychylnem w swej nadziei uczuciu, owszem brać niekiedy na siebie postać najobojętniejszego człowieka. Rokiczana bowiem najbliższe zawsze zajmując miejsce przy królowej, gdzie się zwykle i Kazimierz znajdował, otoczona mnóstwem pań, nie zostawiała księciu sposobności zbliżenia się do siebie, lękając się oraz, aby go nie naraziła na jaką nieprzyjemność od ojca. Odezwał się wprawdzie niekiedy Batory i odpowiedź odebrał, lecz czemże jest rozmowa dwojga kochanków wśród ciekawego uczuć ich dworu, jeżeli nie grą kosztem ich podjętą! Poznawał to dobrze Batory, tembardziej, że ile tylko razy jego nieszczęśliwa kochanka uchyliła się na stronę, zawsze miała przy sobie ojca lub jaką panią z pokojówek królowej, zdawającą się jej słów i kroków dostrzegać.

Najczęściej atoli widywano koło niej młodą wdowę, niepospolitej urody, z którą Rokiczana była ściśle związana; lecz ta, ułatwiając niekiedy zbliżenie się Batoremu do swej przyjaciółki, zdała się w tem szukać własnych korzyści. Młodym wdowom podoba się zwykle nieszczęśliwa w mężczyznach miłość, przypominając im bowiem stratę własnego szczęścia, do powetowania jego tem silniej zachęca. Johanna ze Sławnego, dziedziczka wielkich po rodzicach majątków i po zmarłym przed dwoma laty mężu, bracie marszałka wielkiego, do wzrostu syna, posiadaczka znacznych przychodów jego fortuny, przytem młoda, piękna, wesoła, mogła być najnieszczęśliwszą miłość nadgrodzić. Czuł to nie dopiero z raniem sercem szwagier jej, marszałek wielki, opiekun fortuny nieletniego jej syna, i między wielu zalotnikami, którzy dobijali się o jej rękę, najgorliwsze niósł jej dowody życzliwych chęci; lecz ona, ujęta pięknymi przymiotami duszy księcia siedmiogrodzkiego, wszystkie inne odrzucała starania, spodziewając się, że Batory, poznawszy nakoniec niepodobieństwo otrzymania ręki Rokiczany, zrozumieć ją zechce. Ilekroć zbliżyła się z przyjaciółką do niego, tkliwem spojrzeniem tłumaczyła mu swoje uczucia; ale nieszczęśliwy młodzieniec szukał tylko



wzroku Rokiczany, chociaż nic w nim prócz smutnej niepewności nie widział!

Tymczasem zbliżył się dzień zapowiedzianej biesiady, na której Wierzynek miał przedstawić Bronisława królowi. Biesiadę tę wyprawiał Kazimierz dla swej siostry Elżbiety, która, jak się wyżej rzekło, niezmiernie lubiąc tańce i wesołość, w najsmutniejszych kraju okolicznościach, swobodnych chwil zwykła była używać. Piękna jej niegdyś postać z wiekiem w czerstwą otyłość zmieniona, niezmordowaną ją czyniła na najzawziętsze płasy. Stąd zamek królewski ciąglą prawie brzmiał muzyką, a ktokolwiek z panów chciał się podobać królowej, musiał dać ucztę, i na niej niespracowanie tańcować. Ale Kazimierz, chociaż kochał siostrę i nigdy jej zabaw nie bronił, nie dla niej jedynie niniejszą ucztę wyprawiał; prawdziwym jej celem było rozzerwanie pięknej Rokiczany, która od przyjazdu swego do Krakowa, ciągle smutna i niespokojna, coraz jawniejszą okazywała chęć powrotu do Pragi. Polecona przez króla Ludwika opiece matki, znalazła jak najłaskawsze u niej przyjęcie; dwór pochlebne hołdy jej składał, Kazimierz najwyszukańsze czynił grzeczności; wszystko się do niej zdało uśmiechać, ona jednak wyżej nad wszystko ceniąc uczucia wiernego sobie księcia, tem się zawsze wymawiała królowi, że niegodną byłaby jego szacunku, gdyby przed otrzymaniem rozvodu odpowiedziała na tkliwe jego zabiegi.

Już się sale zamkowe gośćmi napelnić zaczęły, tyśiączne ognie noc w dzień zmieniały, i król już obecny odbierając ukłony od przybywających, do dobrej ich ochoty zagrzewał. Rycerze i szlachta — starcowie w poważnych sobolem lub gronostajem kontuszach z spuszczoneym do ziemi wylotem, młodzież w krótkich obcisłych żupanach — wszyscy przy bogatym orężu lub czekanie — rozpierzchli się po stronach przybytków. Zajęte ławy w okrąg ścian płeć niewieścią, okazywały szereg skromnych piękności lub poważnych matron — mężatek strojnych w kosztowne kołpaki, w złotogłowe i aksamitne czamary — dziewic ozdobnych kwieciami przy białej szacie — między którymi nadobna Rokiczana, jak pełna róża na wzniosłej gałęzi, przewyższała

wszystkie urodą. Umiała ją królowa przystroić w najbogatszy ubior dziewiczy, a dając jej miejsce najbliżej siebie, zdała się w nią przelewać blask majestatu — gdy tymczasem jej ojciec, hrabia Rokiczan, pyszny powodzeniem córki, bogato, strojem czeskim, w lamowy kabat ubrany, przechadzał się między tłumami rozmawiając z królem. Oblicze Czecha okazywało niekryte uradowanie na każdy zwrot oczu Kazimierza w stronę, kędy jego córka siedziała, a uprzejme z panami polskimi obejście zapowiadać zdawało się bliskie stosunki, które go miały z narodem połączyć.

Wkrótce dźwięk trąb, piszczałek i kotłów zapowiadał otwarcie biesiady. Król powiódł Rokiczanę w taniec, za nim jej ojciec z królową, i dalej długim szeregiem, pary rozmaitych osób, a gdy polskiego pan skończył, wesołe okręgi uderzyły mazura. Właśnie pod tę porę ukazał się na pokojach przybywający Wierzynek z mniemanym swym synowcem, który w ciemnym krótkim żupanie, przystojnie ubrany, szedł obok starca śmiało, bez przesady jednak. Lękał się wprawdzie Wierzynek, ażeby po niedawnem z Truksą zarwaniu, na nowe w tem miejscu Bronisława nie podał niebezpieczeństwo, wiedząc dobrze, że rozdrażniona złość Jaddzvinga pewnie nie zasypia; lecz ufając słowu pańskiemu, iż mu nie da krzywdy uczynić, dobrej myśli nie tracił. Szczęściem dla nich, że niedługo bląkając się po salach, zaraz na wejściu spotkali króla w gronie panów. Wierzynek z zwykłą prostotą zbliżywszy się do Kazimierza, oddał mu ukłon głęboki, i chciał przedstawiać młodzieńca, gdy poznawszy go obecny Rokiczan, przerwał mowę starca, i witając Bronisława nadzwyczaj uprzejmie, zalecał go królowi jako szczęśliwego swej córki obrońcę, dodając na jego pochwałę, że za swój czyn szlachetny żadnej nie chciał przyjąć nagrody.

— Nasza wdzięczność będzie mu zapłatą — rzekł król, patrząc z zajęciem na przystojną młodzieńca postawę. — Cieszę się bardzo, że waszmość poznaję! Oszczędziła nam twoja waleczność przygody, któraby nas nieskończenie była zmartwiła. Podoba mi się, bardzo mi się podoba śmiałość waszmości!.. — mówił z przyci-

skiem.— A teraz, żwawy młodzieńcze, postąp tam wyżej do niewiast, i daj im poznać, że nie tylko bronić lecz i bawić je umiesz.

Skłonił się Bronisław z uszanowaniem, i dopełniając tak zaszczytnego rozkazu, szedł z Wierzynkiem kędy tańczowano. Twarz starca żywe okazywała uradowanie z tak pomyślnego młodzieńca na świat wystąpienia; strwożył się jednak, postrzegłszy między tłumem zdaleka wznoszącą się laskę marszałkowską, która uwiadamiła, że stróż najwyższy królestwa jest na biesiadzie przytomny. Wkrótce ujrzano Bronisława w jednym z kół ubocznych, wiodącego z wprawą w mazurze piękną Johannę ze Sławnego. Taniec ten, rozmaity w zmianach, a rzeski w obrotach — zabytek swobodnych czasów narodu — żywą się wesołością zaleca. Nie był on w tym czasie poddany prawidłom nauki, która sztukę tańczenia do tak wysokiego posunęła stopnia; gdy jednak bywały biesiady, musiano i do dobrego tańczenia jakkolwiek przywiązywać zaletę, tem bardziej, że królowa tak wielkie w niem miała upodobanie. Każdy więc patrzył na hożego młodzieńca śmiało ożywionego ochotą i pytał: kto on jest, i gdzie się tak pięknie wykształcił? lecz nikt nic o nim nie umiał powiedzieć. Tymczasem przy dostarczanych obficie winach korzennych, które koniuszowie królewscy i pokojowcy roznosili po salach, wesołość się coraz żywszą stawała. Brzęk rzesisty podkówek i głośnie hu! ha! dobrze odpowiadając trąbom i kotłom, huczną wrzawą napępniały izby. Już sława naszego młodzieńca postawiła go w kole, w którym tańczyła królowa. Koło to złożone z najznakomitszej i najlepiej tańczącej młodzieży, otoczone było widzami niepospolitym. Bronisław ożywiony tak zaszczytnym wyborem nowe rozwinął zręczności, a ile mu razy przypadło z królową tańczyć, dodawał do nich to głębokie uszanowanie, nieznane dotąd w rubasznych wesołej rzeszy obrotach, które mu zjednało powszechną przytomnych pochwałę.

Ale jak we wszystkich powodzeniach, które obcego człowieka nagle na stopień wyższości stawiają, po pierwszych oklaskach zwykle następuje uczucie zawiści —



wkrótce doświadczył tej kolei Bronisław. Powodem do niej była jawna łaskawość królowej, która, ile tylko razy przypadło tańcować z młodzieńcem, opuściwszy następnych tancerzów, z nim jednym przez cały szła zakres. I tańce mają swe prawa, których przestąpienie najznakomitszym nawet nie uchodzi osobom, lecz w tym razie cała wina spadła na biednego Bronisława. Ci co nietańcząc, mieli czas postrzegania, zaczęli czynić złośliwe uwagi nad niezmordowaniem młodzieńca; jedni go nazywali szpiegiem, przysłanym od Ziemowita, gdzie mazur jest tańcem krajowym; drudzy kupczykiem z Hamburga, tancerzem z professyi; inni niższy mu jeszcze stan naznaczając, dziwili się, że taki człowiek mógł być na pokoje wpuszczony, a nadewszystko, że ma śmiałość tańcować z najjaśniejszą panią. Nie uszły te przymówki uwagi młodzieńca, i dotknęły go żywo, umiał się jednak powściągnąć; lecz jak tylko taniec skończony został, zbliżył się do swych obmowców, oświadczając śmiało, iż gdy usłyszał dawane sobie nazwiska, ma za powinność ich uwiadomić: że nie jest ani szpiegiem, ani kupczykiem, ani tancmistrzem — lecz że jest Nałęczem.

Jak wielkie ta wiadomość uczyniła wrażenie, łatwo sobie wystawić. Szczęściem znak dany przez marszałka, że wieczerza gotowa, mięszając zgromadzenie, zatarł szmer powstający. Tymczasem niewiasty i poważni mężowie zajmowali ławy około stołów uginających się pod ciężarem rozmaitych mięsnych i mącznych potraw; kto zaś chciał z młodzieży posilić się, dobywszy z kieszeni noża lub łyżki, gdyż to oboje każdy porządny człowiek musiał mieć przy sobie, zbliżał się do jadła, krajał co mu się podobało, lub udawszy się do piwnicznego wydziału, kazał sobie w czarę nalewać. Przy końcu wieczerzy dał się słyszeć rozruch w sali, w której tańczono poprzednio. Król rozmawiał z kasztelanem Spytkiem na stronie, gdy przybiegł do niego jeden z Grzymalczyków, blady i pomieszany, dając znać, że życie najjaśniejszego pana jest w niebezpieczeństwie.

— Moje życie jest w niebezpieczeństwie? a to jakim sposobem? — zapytał król zdziwiony.

— Odkryto w zgromadzeniu podejrzanego człowieka, który wywołany z kraju, potrafił wcisnąć się na pokoje — dodał drugi Grzymalczyk. — Trzebaby, najjaśniejszy panie, zamek otoczyć!

— Ale ja chcę wiedzieć, jak się nazywa? — ponowił król, domyślając się rzeczy.

— Jestto, miłościwy — panie zabrał głos inny — jeden z tych nędzników, z tych srogich królobójców, co w Rogóźnie pomagali księżętom brandenburskim do zabicia króla Przemysława.

— To być nie może! — przerwał król — już lat sześćdziesiąt z górą jak się to stało.

— Więc ich potomek; zawsze ta sama krew niezycliwa tronowi — odezwał się inny.

— I on przybył mię zabić? — zapytał król.

— Nie chcemy dopuścić tej myśli, że może się targnąć na świętą pańską osobę... — ponowił pierwszy — bo czyż podobna uwierzyć, żeby chciał zniszczyć tyle szczęścia!... Ale być może szpieg z niego szkodliwy, tem bardziej, że z zagranicy, a podobno od Ziemowita przybywa.

— Choźmyż zajrzeć mu w oczy — odpowiedział król, zmierzając do sali, w której Bronisław, jak jelen obkoczony od zgrai gończej, ucierał się z Grzymalczykami. Marszałek wielki uwiadomiony już o nim, posłał po straż swoją, ażeby go zabrała; przytomność tylko Wierzynka jeszcze go zasłaniała cokolwiek, gdy król się zbliżył. Przycichł hałas na ukazanie się pana; każdy miał oczy na niego zwrócone, czekając co z nieszczęśliwym uczyni.

— Kto jesteś? — zapytał król groźno.

— Nałęcz — odpowiedział śmiało młodzieniec.

— I ty śmiesz tem się nazwiskiem przedemną miarować? — ponowił król.

— Póki żyję, znać innego nie będę.

— Co za zuchwałość! — odezwał się przytomny marszałek.

— Wierzynek! — rzekł król obracając się do zbladłego starca — tyś mi go jako twego krewnego zalecił?

— Miłościwy panie! jużem waszej królewskiej mości powiedział, że on mi jest więcej niż krewnym, bo jest wnukiem dobroczyńcy mojego.

Kiedy się tak ważył los młodzieńca między życzliwością króla, a nastawaniem nań nieprzyjaciół, nadbiegł pokojowiec królowej, dając znać, że najjaśniejsza pani wzywa go do tańca. Nie wiedział pomieszany Bronisław co miał odpowiedzieć, gdy król rzekł do pokojowca :

— Powiedz mej siostrze, niech kogo innego obierze, bo ten ptaszek nie jest wcale do tańcowania.

Zaledwie z odpowiedzią odszedł posłaniec, gdy dwóch innych nadbiegło, a po nich i marszałek nadworny, uwiadamiając, że najjaśniejsza pani czeka już w kole na niego.

— Idźże waść tańcować — rzekł król do młodzieńca — a jutro rano żebyś czekał w przedpokoju moim. Widzicie waszmość — mówił, obracając się do przytomnych po odejściu Nałęcza — że gdzie się wdadzą niewiasty, tam surowość uśmiechać się musi!

— Zaprawdę, widzim, miłościwy panie — odezwał się zimno marszałek wielki — że się prawu staje uszczerbek, lecz wiemy oraz, że posłuszeństwo dla waszej królewskiej mości najpierwszą powinnością naszą.

— A ty, szczywany lisie, co na to mówisz? — zapytał król Wierzyńka.

— Ja myślę — odpowiedział starzec — że co ręce pobredziły, to nogi w lat kilkadziesiąt, jeszcze mogą naprawić, byle nam tylko pan Bóg zawsze takich królów dawał!

---



## ROZDZIAŁ XX.

---

Tkliwą siostrę znajdziesz we mnie  
W nagrodę twojej czułości,  
Nie zasmucaj mnie daremnie,  
Nie żądaj innej miłości;  
Uspokój twoje cierpienia,  
To ci zostaje jedyńie,  
Bo na twe żale, westchnienia,  
Nie wolno patrzeć Celinie!

*F. Morawski.*

Od ostatniej biesiady los młodego Nałęczza nagle zaczął się polepszać. Król wezwawszy go do siebie, długo z nim rozmawiał, wypytyjąc się troskliwie o jego ojca i krewnych; a lubo nic nie postanowił względem zdjęcia wyroku, wiele dla niego uczynił, gdy umieściwszy go w poczcie swych pokojowców, tem samem zabezpieczył dni jego. Królowa rada go na swych pokojach widziała częstą mu nastęrczając sposobność oddania sobie usługi, Rokiczan łaskawie do niego przemawiał, słowem, najpomyślniejszą przyszłość zdało się mu wszystko przyrzekać. Tak jawne dowody łask pańskich dla jednego wygnańca oburzały tych nawet, którzy nigdy nie słyszeli o winach Nałęczów; ale Kazimierz, panując w wieku, w którym królowie polscy nie potrzebowali sprawiać się z swych działań przed poddanymi, mniej dbał na niechęć dworu, i to tylko czynił, co mu serce czynić radziło. Musiał zatem i marszałek wielki do woli pańskiej zastosować obejście się swoje z młodzieńcem, przestając na tem, aby dał poznać światu, że zupełnie jest obojętnym na wszystko, co z tem nowem dziecięciem szczęścia łaska króla uczyni.

Słyszając więc Bronisław ożywione swe imię w ustach powszechności, czuł, że nie powinien znać innych chęci nad wdzięczność dla wielkomyślnego pana, który nie raczył dopuścić, aby zasługi jego ojców w narodzie poszły w zaturę. Nieść mu też ochoczą usługę, myśli przenikać i życie poświęcić, zostało hasłem jego uczuć cnotliwych. Ale młodzieńcze serce nie było przeto wolnem troskliwych myśli! Patrzał on z boleścią na wesoły rozruch rycerstwa, gotującego się do boju, i czuł coraz z większem utęsknieniem, że tą tylko drogą wszystkie jego nadzieje spełnione być mogą, wyrok jednak nad nim ciążyący nie dopuszczał mu ani pomyśleć, żeby był godnym, umieścić się w liczbie obrońców ojczyzny.

Wkrótce po wejściu jego na dwór, ważne na nim zaszły wypadki, które ściągając na siebie powszechną uwagę, różnych domysłów stały się powodem. Rokiczana, nieodstępna dotąd towarzyszka królowej, miła jej i zaszczycona ufnością, nagle opuściwszy jej mieszkanie, przeniosła się do ojca, stojącego gospodą w mieście, i tam odtąd dla niego jedynie żyć zdawała się. Jeszczeby ta okoliczność nie najmocniej uderzyła świat dworski; przywiązanie córki do ojca i potrzeba rodzicielskiej opieki w położeniu skromnej dziewczycy, usprawiedliwiały z chlubą dla niej krok uczyniony tembardziej, że duchowieństwo wyższe, a mianowicie biskup Bodzanta, ostry obyczajów postrzegacz, nienajlepiej spoglądał na jej przy królowej mieszkanie. Nową on od niejakiego czasu powziął niechęć dla króla, z powodu, że pan ten wbrew dawnym zwyczajom, pociągnął dobra duchownych, równie jak innych ziemian, do budowy zamków, naprawy dróg, dawania podwód pod ciężary rządowe i innych potrzeb krajowych, z których bogate probostwa i dziedziczne dobra biskupie wyłączone być chciały.

W takich okolicznościach Rokiczana zamieszkawszy dom ojca, zdała się zapowiadać rychły z nim wyjazd do Pragi; Batory czuł ożywiający się najdroższe swoje nadzieje; gdy po kilku dniach pobytu na mieście wróciła z ojcem na zamek, i co większa, najwspanialsze zajęła pokoje, gdzie liczną otoczona służbą, stół, konie i wszystko mając na swe rozkazy, zdała się dosięgać

godnością siostry królewskiej. Powiększała to zgorzenie niesłychana duma jej ojca, który od chwili przeniesienia swego na zamek, nową ożywioną śmiałością, tak wiele zaczął sobie pozwalać, że królowa przymuszoną została nieść o to skargi do brata. Z tych zażaleń wyniknął pewien rodzaj oziębłości, który widocznie zaczął dzielić społeczność dworską. Kazimierz lubo nie zmienił serca dla siostry, chętniej czas wolny od spraw publicznych spędzał w towarzystwie ojca Rokiczany, gdzie jak zwykle za panem wszystko się garnęło, gdy tymczasem królowa z Bodzantą wśród małej liczby panów węgierskich, nudząc się i narzekając, coraz jawniejszą ku pięknej Czeszce pałała niechęcią. Cieszyła ją nadzieja ujrzenia wkrótce kochanego syna Ludwika; wracając z Pragi od cesarza, teścia swojego, przyjazd przez Kraków okrywał pozorem porozumienia się z wujem względem wojennej wyprawy — w istocie zaś przybywał, ażeby się naocznie przekonał, jak daleko jego widokom odpowiedziało poselstwo Rokiczana, i czyli zbyt przedłużone, nie stało się szkodliwym. Było może skutek wczesnych przestróg matki, która z bojaźnią patrząc na wzrastającą namiętność brata, często o niej doniesienia czyniła synowi. Cóżkolwiekbydź, biegły Węgier w sztuce stosowania się do okoliczności, a wiadomy, jakim okiem naród polski patrzy na jego wybranie, nie chciał serca jego rozjątrzać wczesną wystawą godności, która go w Polsce czekała, i zostawiwszy za granicą monarchiczną swą okazałość, wjechał do Krakowa w skromnej postaci siostrzana, spieszącego uściskać wuja dobrodzieja i kochaną matkę — a nie mając z sobą prócz kilku służących nieodbitie potrzebnych, nie przyjął osobnych pokojów na zamku, lecz stanął w mieszkaniu matki, i ztamtąd pospieszył złożyć uszanowanie wujowi.

Miłyto był gość dla króla polskiego, jakkolwiek obecność jego przypominała mu przykrą rzeczy kolej; bo Kazimierz miał serce szlachetne i nigdy uczuć wrodzonych nie poświęcał widokom osobistości. Umiał też układny Ludwik ujmującą podległością zatrzeć wszelkie niemile wrażenia — jużto okazując szczere przywiązanie siostrzana, już głośząc, że uczyniony układ następ-



stwa jest tylko zwyczajną formalnością dla wzmocnienia przyjaźni dwóch narodów użytą, i że w niczem woli króla polskiego, jego starań o rozwód lub pojednania się z małżonką, krępować nie może. Łatwo mu było podobne uczucia objawiać, wiedział bowiem, że Kazimierz do Adelaidy wrócić nie zechce, gdyż Rokiczana serce jego więziła — a żądanego rozwodu nigdy nie otrzyma.

Atoli dziwić z razu, potem niespokojnym czynić go zaczął zupełnie inny stan kochanków jak wyobrażał sobie. Nie raziły go bynajmniej mnogie Rokiczany dostatki, jej świetność, okazałość, spokojna nawet umysłu postawa, wszystko to, równie natrętną wyniosłość jej ojca, znajdował jeszcze rzeczą zwyczajną. Ale jest między kochankami prześladowanemi od losu skryta granica, za którą dostrzeżony pewien rodzaj poufałości, pewien niedostatek obawy, bacznemu oku zwykle daje do zrozumienia, że ich nadzieje mogły zostać spełnione. Strwożony Ludwik temi znakami, napróżno różnych używał sposobów, aby poznać istotny stan wuja; matka jego królowa, biskup Bodzanta i ci wszyscy, których się radził, nie mogli mu pewnych dostarczyć objaśnień, sam tylko Batory okropnem swem milczeniem zdał się zapowiadać, że podstęp Ludwika w jego się własną zgubę zamienił! Ale przebiegły Węgier miał w zapasie sposoby, które mu zapewniały nie tylko rozwiązanie węzła lecz mogły podług jego woli rozrządzić losem Rokiczany, czyniąc z niej w jednej chwili najszcześniejszą lub najgodniejszą politowania osobę!

Wiedział on dobrze, że miły Czeszce Batory niebezpiecznem swoim do niej przywiązaniem był jako chory, co najprzykrzejsze lekarstwo chciwemi pożywa usta, lub jak tonący, który słabej się chwyta deski. Upatrzawszy zatem sposobną porę, kiedy Rokiczana z królem wyjechał na łowy, wezwał do siebie młodzieńca, i oddając mu list cesarza, odwołujący poselstwo Rokiczana, kazał z nim pójść do niego, zalecając, żeby w przypadku niezastania hrabiego, pismo w ręce córki złożył, i razem ją spytał: czy zechce towarzyszyć ojcu w powrocie do Czech, lub zostać przy królowej w Krakowie?

Byłato chwila poranna, mało jeszcze ożywiona krzątającym się ludem na zamku, gdy pełen trwogi i nadziei, księżę lekliwym krokiem wchodził w przybytek hrabiego, a dowiedziawszy się od służby, iż wyjechał na łowy, obrócił do przyległych pokoiów, gdzie córka jego mieszkała. Znany z znakomitości, nie doznał zatrzymania w przedizbach, i rychło za opowiedzeniem wprowadzony został do bogato strojonej komnaty, w której miał wyrok losu swego usłyszeć. Byłato izba bawialna. Światło pięknego poranka, wchodząc przez wąskie kolorowe okna, napełniało ją tkliwą jasnością, która w tym głuchym przybytku miała coś bardzo podobnego do stanu duszy nieszczęśliwego księcia. Biała, w rannej odzieży, z wzrokiem pokoju, nadobna Rokiczana zatrudnioną była urządzeniem kwiatów, które świeżo jej przez ogrodników zniesione, czekały w koszach na przełożenie do złotych i srebrnych konewek, rozstawionych po stołach. Ukazanie się Batorego nie zdało się z razu ją mieszać; przywitała go wyrazem uprzejmej przyjaźni, i opuszczając kwiaty, siadała, prosząc żeby zajął koło niej miejsce; lecz wkrótce spojrzawszy na wyniszczoną twarz jego, straciła pierwszą przytomność, i zwracając wzrok smutny na stronę, starała się pokryć bolesne wrażenie.

— Pani! — odezwał się głosem stłumionym Batory — nie trzymasz zapewne o mnie tak źle, ażeby miał śmiałość nachodzić cię w nieprzytomności ojca. Przeznaczeniem mojem niestety, jest ci być zawsze natrętnym! Tak jest, król to, pan mój, składając ci cześć winną, zalecił mi, żebym w niebytności hrabiego w twoje ręce złożył to odwołanie jego poselstwa — mówię, drżącą ręką oddając pismo — i razem cię spytał, czy będzie twa wola, pani, opuścić królowę dla towarzyszenia ojcu do Pragi?

— Czyż można mniemać, księżę, abym nie tylko ja, lecz świat cały, inaczej jak szlachetną znajdował każdą twą czynność! Wdzięczną, bardzo jestem wdzięczną królowi, że mi nastreczył sposobność oglądania ciebie, boś też już o nas zapomniał! — mówiła, kryjąc

pcmięszanie.—Lecz cóż ja mam z tem odwołaniem uczynić? Czy mój ojciec jest już o niem uprzedzony?

— Nie wiem — odpowiedział książę, tracący z każdym oddechem coś z nadziei, którą nagle niszczył brak uradowania dziewicy na wiadomość tak niegdyś jej pożądaną. — Czekam, pani, na twą odpowiedź.

— Niewiadoma spraw publicznych ojca mego, prawdziwie nie wiem co odpowiedzieć — mówiła zakłopotana. I przychodząc do siebie — Ale to rzecz dziwna, jak król mógł mniemać, żebym ja dla jego matki odstąpiła ojca.

— Wiem, pani, jak dobrą jesteś córką! — zawołał Batory z wyrazem boleści. — Lecz niech wolno mi będzie zapytać, czy dopełniając posłuszeństwa tak cnotliwego, rzuciłaś kiedy okiem badawczem na świata mniemanie?

— Ach! tam nie widzę tylko twoje cierpienie, którego mi koić nie wolno! Zresztą wierz mi, o nic mi moje przekonanie nie wini, i może nawet byłabym szczęśliwą, gdybyś książę, słuchając głosu przyjaźni, chciał tę boleść zamienić w słodkie uczucia dla tej, którą opatrność w szczęśliwszej odemnie stawia sposobności dzielenia losu twojego. Jakżebym się wtenczas pyszniła z twojej dla mnie czułości, gdybyś mi pozwolił użyć jej na zakład dobra twojego!

— O kimto pani mówisz? — zapytał zdziwiony książę.

— Mówię o pięknej, cnotliwej, dobrej Johannie ze Sławnego, której przymioty i wdzięki, wierz mi, godne są twojego serca. Niebo nam nie dopuszcza na tej ziemi jedną iść drogą, gotując zapewne w szczęśliwszem życiu złączenie tchnień naszych. Jeżeli więc za moje posłuszeństwo dla ojca, nie twój mi los dzielić przeznacza — za twoje cnoty, za twe dla mnie cierpienia, taką cię tylko jak jej słodka dusza może pocieszyć zapłatą! — mówiła złożywszy ręce w postaci proszącej. — O! uwierz mi, uwierz! i pozwól się spodziewać, że mi jeszcze będziesz błogosławił!

— Cóż cię, pani, może do tej swadźby ośmielać? Zalecasz mi to szczęście, jak gdybyś je z doświadczenia



już znała? A słowo, które mam od ciebie, w cóż się obróci?

I cóż jest słowo biednej dziewczicy, która nie ma swej woli? Słowo to tyle zwykle ma wagi, ile je władza rodzicielska potwierdza!

— I ile się lepszy nie zdarzy! — nieprawdaż? — zapytał z wyrazem okropnego szyderstwa. — Więc to nie jest nieprawdą, że Kazimierz...

— Czemuż zawsze Kazimierz! — przerwała przykro Rokiczana. — Niech ci dość będzie na tem, że Kazimierz jest najszlachetniejszym, najzaczniejszym z ludzi!

— Cześć więc ziemi i panu, którym w boleści złożyłem dotąd! — zawołał, wolniej oddychając. — Zniszcz więc resztę mej niepewności, zniszcz niegodziwe ludu rozmowy, pociesz Adelaidę, wracaj do Czech, do tych Czech, gdzieś sercu memu w twych oczach czytać dozwalała, gdzie nas twoja dobra ciotka łaskawą wspierała opieką, i gdzie jeszcze wszystko u ojca twego można przejednać! Tylko powiedz, że mu towarzyszysz! Opuść tę ziemię łez i niesławy!

— Batory, Batory! — wołała Rokiczana, ciągle błagając — ty opuść tę nieszczęsną samotność, w której mniemasz, że jest jeszcze niestracona dla ciebie, i spraw, niech się to stanie za moją przyczyną, co godnem jest, żeby się stało dla cnot Johanny i szczęścia twojego!

— Pani! — rzekł książę zniecierpliwiony — mów mi, że król codziennie nowe u nóg twych składa przysięgi, że papież do jego przychyła się życzeń, że naród raduje się z jego wyboru — mów co chcesz, wszystko zniosę nieszczęsny! lecz nie mów, że inna może być czczona w tem sercu, które tylko dla ciebie biło!

Nastąpiła chwila milczenia. Batory chciał jeszcze błagać.

— Nie książę! ty nie zasługujesz, żeby cię zdradzać — rzekła, powstając z mężną powagą, i wracając mu pismo — Powiedz twemu panu, że mogą poselstwo ojca mego odwołać, lecz mną więcej rządzić nie będą; bo już nie od nich, lecz od króla polskiego, mego małżonka, zależy!

Jak jawor podcięty, póki się jeszcze trzyma pnia swego, póki mu okropny topór ostatniego razu nie zada; tak nieszczęśliwy Batory, uderzony ciosem najśroźszym, gdy chciał powstać, ażeby oddał ukłon, nogi się pod nim zachwiały, błądź śmiertelna twarz jego okryła, i osłupiały upadł bez zmysłów. Przełękniona Rokiczana i sama mało władająca sobą, zaczęła wołać na ludzi, trzeźwiąc go wodą z naczyń kwiatowych; zbiegła się służba, używała wszelkich sposobów pomocy; ciężkie westchnienie poprzedziło odzyskanie zmysłów. Rokiczany już nie było, gdy nieszczęśliwy książę, wrócony do przytomności, słabo postępując, opuszczał zamkowe podwoje.

Przerażony Ludwik wiadomością postanowienia Rokiczany, gubił się w dociekaniu sposobów, przez które wuj jego mógł zniewolić Czeszkę do ślubowania sobie, i już nie o związku, lecz o prawności jego chciał się przekonać; nie mógł bowiem przypuścić, ażeby Kazimierz rozwód otrzymał, lecz znał jego umysł wyniosły, i wiedział, że nieprzyzwyczajony ulegać, gdzie może działać, był w stanie poślubić Rokiczanę, mniej dbając na opór apostolskiej stolicy, co tem łatwiej dawało się tłómaczyć, że to już nie pierwszy byłby między panującymi przypadek, w którym mimo woli papieża, rozwód cywilny rozłączał prawem kościelnem poślubione osoby, i następnie dawał im sposobność zawierania nowych związków. W tak srogiej niepewności, gdy Rokiczany z swej strony udawał niewiedzącego o niczem ojca, królowa Elżbieta postanowiła użyć sposobu, który miał wkrótce tę tajemnicę objawić.

Udając zatem niezmierne uradowanie z przyjazdu syna, ogłosiła wspaniałą ucztę, którą miała obchodzić jego przybycie. Sproszeni panowie, rycerze i znakomitsi mieszczanie tem żywiej pragnęli znajdować się na jej pokojach, że się spodziewali poznać zbliżka tego, który miał im w czasie panować. Już wszystko było gotowem do uczty, gdy zrana dnia na nią wyznaczonego, Rokiczana błada i przestraszona, wpadła do komnaty króla, i rzucając się mu w ręce z ufnością, skarżyła ze łzami na królowę, że na nią nasłała ludzi, którzy zapowiedziawszy, że pokoje jej potrzebne są na powiększenie



sal biesiadnych, bez litości rzeczy jej wynoszą na dziedzińiec. Poznał Kazimierz, do czego zamierza ten wybieg, lecz tłumiąc w sobie obrazę, pocieszał strapioną małżonkę czułem zapewnieniem, że póki jest panem zamku, póty jej nie zabraknie w nim miejsca. Kazawszy zatem znieść jej rzeczy do swoich własnych pokojów, poszedł do siostry dla wzięcia sprawy z tak nieprzyzwoitego postępku. Zastał już tam Ludwika, radzącego z matką o sposobach uśmierzenia nadchodzącej burzy. Kazimierz nie zważając na przytomność jego, zaczął z góry siostrze wymawiać okrótnie jej z Rokiczaną obejście się; a gdy królowa chciała wiedzieć, co mu być może powodem do tak wielkich dla cudzoziemki względów, król jej ukazał rozwodowe pismo, przysłane sobie od papieża Innocentego VI. i świadectwo ojca Jana, opata tynieckiego, który na mocy złożonego rozwodu, w obecności podpisanych świadków, w kościele tynieckim pobłogosławił związek jego z Rokiczaną. Wtenczas poznał strapiony Ludwik, że mimo zabiegów Adelaidy i zaręczeń biskupa Bodzanty, który zdał się być jedyną drogą stosunków Polski z apostołską stolicą, miał Kazimierz daleko czynniejszych w Awenionie przyjaciół, którzy to potrafiliby otrzymać, co on być rzeczą niepodobną rozumiał. Upokorzony zatem, stosując się do okoliczności w najczulszych wyrazach składał mu z matką życzenia.

Rad Kazimierz tym acz nienajszczęśliwym oznakom, dał się przebłagać i prowadził siostrę z jej synem do mieszkania swego, gdzie przedstawiając im ukochaną małżonkę, ponowione dla niej oświadczenia odbierał. Wrócona tedy Rokiczana do swych pokojów, i nową w nich otoczona świetnością, coraz się lepiej obeznawała z swym stanem królowej. Tak niespodziany wypadek był przyczyną odłożenia na czas późniejszy biesiady, a stając się powszechną dla stolicy zagadką, gromadził do nowej pani tych wszystkich, którzy obiecując sobie przez nią rozliczne łaski, ubiegali się z zaleceniem swej służby. Ale bezstronnie myśląc część narodu, a mianowicie biskup Bodzanta na czele duchowieństwa, zachowując milczącą gotowość złożenia jej hołdu, czekał, aż król w tak ważnem zdarzeniu zwoła radę państwa, i na



niej objawi rozwiązane przez papieża dawne swe śluby i nowo zawarte wedle praw kościoła. Tymczasem Rokiczana w domowym życiu używała wszelkich praw królowej; jednakże jej szczęście nie tchnęło tą swobodą i uradowaniem, jakieby towarzyszyć powinno doli tak świetnej! Wyższe są często w sercu stałem nad wszelkie dary fortuny, wrazenia pierwszej skłonności; a chociaż nieszczęśliwy Batory nie dręczył ją więcej swą smutną osobą, nie łatwo mogła go zatrzeć w czulej pamięci, i nieraz w cichości gorzko oplakiwała uczynioną mu niewiarę; gdy Kazimierz co dzień więcej do niej przywiązany, codziennie szczęśliwszy, zdał się wróżyć tę błogosławioną chwilę, która niszcząc ostatecznie prawa Węgry do tronu, miała naród ucieszyć nowo z nieba zesłanym Piastem.

Ale te miłe nadzieje, wkrótce smutne okoliczności w trwogę zmieniły. Pojmani w różnych miejscach szpiegowie wyznali, że Władysław Biały, ksiązę gniewkowski rozjątrzony szczęściem Kazimierza, pod różnemi postaciami, kupca, pielgrzyma, biczownika nawet, przebiegając Polskę, ducha w niej niechęci przeciw królowi zaszczenia; a co gorsza, ksiązę mazowiecki na czele Tatarów i Litwinów, na Rusi Czerwonej czyni zabory. W tak nagłej potrzebie Kazimierz wysławszy siostrzana z wojskiem węgierskiem przeciw najezdnikom, sam go wkrótce polskiem zastępy wesprzeć przyrzekał.

---

## ROZDZIAŁ XXI.

---

Żal przerwał czułą przysięgę,  
Głos dziewicy płacz tamuje;  
Zdjawszy z siebie białą wstęgę,  
Rycerza nią przepasuje:  
„Idź! powróć cośmy stracili!  
W ten znak miłości przybrany,  
Bodajbyś był w każdej chwili,  
Równie szczęśny jak kochany!”

*J. U. Niemcewicz.*

Za powtórnem rozesłaniem wici królewskich, wojska ruszając z ziem i powiatów, zbierały się w znacznie-

szych grodach na okazowanie, i tam sprawione przez wodzów, obracały różnemi trakty w strony zagrożone od nieprzyjaciela. Rotmistrze ich i porucznicy surowe odebrali rozkazy, obchodzenia się najlepiej z mieszkańcami Rusi Czerwonej, a mianowicie szanowania ich kapłanów i świątyń, ażeby przez to dali im poznać, że nie z nimi, lecz z ich najezdnikami przychodzą wojować. I Jan z Lelowa, zdawszy łaskę marszałkowską, na nadwornego marszałka, wyciągnął w pole z chorągwią. Chciał Kazimierz niezwłocznie stanąć na czele walecznych, lecz słabość królowej, jego małżonki, życzącej towarzyszyć mu w drodze, zatrzymała go dni kilka na miejscu.

Wśród tej zbrojnej postawy rycerstwa, pałającego żądzą chwały, sam tylko Bronisław, pomny jak go srogi wyrok obarcza, w stanie swym pokojowca, nie śmiał wnieść głosu za sobą! Postrzegł Kazimierz smutek młodzieńca, i pragnąc życzenie jego godziwem uczynić, przy rozdawaniu rynsztunków między tych, którzy na nie własnym kosztem zdobyć się nie mogli, kazał mu dać z swej zbrojowni miecz ostrza niezawodnego i srebrne ostrogi jako znak, iż go w liczbie swych koniuszych chce mieć umieszczonym, dając mu oraz do zrozumienia, że jak się dostanie na pole chwały, będzie mógł lepiej radzić o sobie! Właśnie szczęśliwa do użycia młodzieńca wydarzyła się sposobność: gdy bowiem Kazimierz, nie mogąc się doczekać wyzdrowienia żony, musiał spieszyć za wojskiem, Bronisław odebrał rozkaz jechania naprzód dla opatrzenia po drodze stacyj i noclegów dla króla.

Szczęśliwy wyborem, a przejęty zapalem usłużenia jak najlepiej dobremu panu, zaledwie upatrzył chwilę czasu na odebranie błogosławieństwa od ojca i pożegnanie dobroczyńcy swego w Naręczynie. Mały Bronisł postąpił mu za powód zbliżenia się do Hanny, która właśnie w tej chwili siedziała z nim na ławie przed swem mieszkaniem. Smutek okrywał twarz dziewczycy. Nie śmiał pełen uszanowania młodzieniec wspominać jej o swym odjeździe; lecz zręcznie obróciwszy mowę do chłopczyka, zegnał go tak gorzkim żalem przejęty i w tak czułych wyrazach, że z słów tych łatwo można było poznać, że nie dziecko, lecz opiekunka jego celem jest

tej boleści. Serce wdzięczne, cnotliwe, długo w sobie tłumiąc uczucia przyjazne, kiedy nareszcie kochany przedmiot zabierają dalekie strony, grożące mu niebezpieczeństwem, nie umie więcej ukrywać się! jeżeli milczą usta, oczy, zdradzając duszę, ukazują łzę, która staje się gwiazdą naszych przeznaczeń, osłoda wędrowni, i często przewodniczką do szczęścia!

— Cóż ty, Bronisiu, dasz twemu dobroczyńcy na pamiątkę? — pytała głosem stłumionym dziecięcia, zwracając ku niemu zroszone oczy. — Nic nie masz! poczekaj, ja cię wspomogę! — mówiła, zdejmując z szyi mały złoty krzyżyk. — Daj mu tę świętość, a dając, proś Boga, niech będzie stróżem dni jego, niech mu nas przypomni i zdrowego powróci!

Byłby się jej do nóg rzucił Bronisław, poprzysiągł jej wieczną miłość, gdyby skromna dziewczica nie schroniła się już była na wieżę. Nieprzytomny, smutny, ale szczęśliwy młodzieniec ujrzał ją raz jeszcze w oknie jej górnego mieszkania; przycisnął do ust drogi upominek, rzucił się na konia i zniknął. — Z jakimże żalem tracił z oczu widok wieży kochanej! zawsze mu ona była tak miłą, jak dla żeglarza gwiazda ojczyzny; lecz teraz zdało mu się, że w niej zostawił całą swą istotność! Ale te same tęskne uczucia za miejscem, w którym tak jawne odbierał wzajemnej chęci dowody, i ten drogi upominek dodawały mu sił do pełnienia jak najgorliwiej włożonych nań obowiązków.

Upoważniony na piśmie rozkazem królewskim, mając sobie podane stacye po wsiach i miasteczkach traktu lwowskiego, przy pomocy dwóch pocztowych, nie wiele znajdował trudności w obraniu dogodnego dla pana mieszkania. Część ta Rusi Czerwonej, położona między Węgrami a Polską, dla bliskiego z obu stron niebezpieczeństwa, prędko oswobodzona od nieprzyjaciela, wojskiem dowództwa marszałka wielkiego osadzoną została. Daleko więcej doznał kłopotu, minawszy Tarnów, skąd nieprzyjaciel uchodząc ku granicom Wołynia, mieczem i ogniem wszystko pustoszył, a idąc w pogoń hufce polskie i węgierskie resztę niszczyły. Lecz obywatele okoliczni uradowani z wydobycia się z jarzma Tatarów,



skoro dowiedzieli się o przejeździe króla, spiesząc na popasy i noclegi ze złożeniem mu uszanowania, przywozili z sobą dobrze opatrzone bryki w chleb, zwierzynę, trunki i wszystko, na czem zbywało wypróżnionym gospodom; a tak młody nasz urządziel podróży, małym kosztem miał sposobność zasłużenia się panu, i zobowiązania sobie tych wszystkich, którym przybycie jego zwiastował.

Jednakże nie wszędzie doznał tej dogodności w obraniu mieszkania, jakie miał sobie na rozpisie stacyj podane. Wjehawszy do Rzeszowa, gdzie naznaczony był nocleg, znalazł to miasto przez uchodzących Tatarów ogniem spustoszone; a co gorsza, dwór królewski, zwyczajne w czasie przejazdu Kazimierza mieszkanie, w popiół obrócony; tak zaś był wielki niedostatek domów, że wojsko polskie, stojące w Rzeszowie na błoniach, a zgromadzeni obywatele na zgorzeliskach, pod szatrami mieścić się musieli. W tak smutnem położeniu nie zostawał Bronisławowi inny wybór nad dom wielki murywany, który pokryty dachówką, sam jeden w rynku ocalał. Należał on do bogatego izraelity, Jonasza, zwanego opoczyńskim, stąd, że w Opoczynie miał także pewne posiadłości, sławnego z nauki i wziętości w swoim narodzie. Nie tracąc więc czasu, Bronisław zbliżył się do domu, a znalazłszy wrota zamknięte, zaczął całą siłą dobywać się, wołając o otwarcie; nikt jednak nie odpowiadał, choć niezmierna wrzawa dająca się wewnątrz słyszeć, zapewniała go, że nie jest próżny. Ponowił zatem usiłowania; i gdy tego z pocztowymi kamieniami dosadza:

— Co wy czynicie, dla Boga! — wysadziwszy na piętrze z okna rudą wychudłą głowę, zawołał żyd młody. — Ja pójdę do starszego na skargę! wy mi dom rozwalicie!

— Otwórz zaraz! — odpowiedział młodzieniec nie przestając szturmować.

— Co to otwórz? to nie karczma, to dom kupiecki, ja przecie mam znak od pana rotmistrza, jako ten dom od postoju jest wolny. Dajcie pokój, słyszycie, bo wam gorącej wody na głowę naleję!

— Czy ty gospodarz domu? — zapytał Bronisław.

— A cóżby z tego było, gdybym ja był gospodarz? — powolił żyd.

— Otwórz zaraz! król tu będzie nocował!

— Ktoby wam wierzył: kiedy wy do gospody chcecie, zawsze zapowiadacie wielkie państwo, królów, senatorów, byle was wpuścić! Znam ja was, idźcie sobie dalej! — I zamknął okno za sobą.

Ponowiono zatem szturmowanie, i gdy wrota z zawias ledwie nie wyskakują, żyd wysadziwszy głowę na nowo:

— Czekajcie, niech was licho weźmie! a jaki to król?

— Co to jaki król! — odparł obrażony Bronisław — król polski, pan twój, rozumiesz!

— Czemuż od razu tak nie mówicie? — odpowiedział żyd, i zbiegłszy spieszenie z góry, otwierał wrota, z lepszą chęcią witając młodzieńca. Bronisław czyniąc sobie rum, jak zwycięzca na zdobytym zamku, miarkował, gdzie i jak będzie mógł króla z dworem pomieścić. Dom mu nie zdawał się być ciasnym, lecz izba pierwsza napelniona była tłumem muzykantów, śpiewaków i innych żydów, którzy gwarząc lub przegrywając, tak wielką wrzawę czynili, i tak mało zważali na przełożenia młodzieńca, że ani podobna było spodziewać się aby dobrowolnie ustąpić chcieli; w przeciwnej zaś izbie krzątające się żydówki koło ognia i stołów przyrządzały sutą wieczerzę z ryb i drobiu. Słowem, w całym domu ruch niezmierny znać dawał, że się w nim na wielką ucztę zanosi.

— Widzisz pan co tu za rejwach — mówił żyd do młodzieńca — ja nie wiem, jakby tu mógł najjaśniejszy pan nocować.

— Cóż znaczy ta wrzawa? — zapytał Bronisław.

— Zwyczajnie, ja się żenię — odpowiedział żyd.

— Bardzo dobrze; dziś jednak będziesz musiał z domu ustąpić.

— To być nie może — rzekł żyd strapiony. — Prawda, dom ten nie do mnie należy, ale i sam Jonasz opoczyński na to pozwolić nie może.

— Czy on tu jest? — zapytał Bronisław.

— A jakże — odpowiedział żyd.

Kazał tedy młodzieniec prowadzić się do Jonasza. Na górze, z tyłu domu, w ciasnej izbie pod dachem, otoczony żydami, przy świetle nędznej świeczki, siedział na łożku stary izraelita obłożony mnóstwem ksiąg, w których szperał z uwagą, odzywając się niekiedy do stojących przed sobą towarzyszków. Błada twarz jego okryta siwym włosem po obu stronach, wzrok posępny i odzież w nieładzie, wystawiały w nim mędrca zatopionego w głębokościach nauki. Na opowieszenie żądań Bronisława, starzec przebudziwszy się jak ze snu:

— To prawda, u mnie dziś wesele, wydaję za mąż moją wnuczkę Esterkę — mówił, powstając skwapliwie — ale gdybym i sam się żenił, ustąpiłbym dla najjaśniejszego pana, bo on godzien wszelkiej uczciwości!

Nie poszła w smak panu młodemu tak ochocza gotowość starca, zaczął mu żywe czynić uwagi: inni też żydzi powstali, ale Jonasz przyjęciem tylko króla zajęty, kazał podać sobie płaszcz i długą swą trzcinę, a zszedłszy z Bronisławem między tłum godowy, wziął się do wypraszania go z domu. A gaj weg! König wird hier nächten! Precz za drzwi! król tu będzie nocował! wyganiając żydów, wołał gorliwy starzec. Muzykańci z cymbalami i grzechotkami, żydówki zabierając niecki z rybami i ciastem, bachory z betami, wszystko to, wynosząc się z domu, pozierało z niechęcią na Bronisława, i rozwlekając się po stronach zgorzelisk, szukało w budach i lochach schronienia.

Już wypróżniona pierwsza izba przeznaczona została na pokój jadalny; górne mieszkania mieścić miały dworzan i pokojowców: trzeba jeszcze było obmyślić pokój sypialny dla pana. Alkierz przyległy izbie, w której poprzednio żydówki przyprawiały ucztę, z położenia swego w ustroniu i chłodniejszej powierzchowności, najlepiej odpowiadał temu celowi. Wszedłszy do niego Bronisław z Jonaszem, zastał tam siedzącą na kuferku młodą zgrabną izraelitkę, twarzą obróconą do ściany, koło której krzątająca się stara żydówka dawała poznać, że ubiera pannę młodą do ślubu. Cichość tam panująca objawiać zdawała się, że im jeszcze nie są wiadome układy gospodarza względem wypróżnienia domu, a tem



samem odłożenia wesela. Warkocz Esterki, prześlicznej czarności, rozpuszczony, spadał ku ziemi na kształt długich gałęzi brzozy, ukazując między kosami kibić precudnej urody i szyję bielszą od śniegu. Właśnie gdy Jonasz uwiadamał starą niewiastę o potrzebie ustąpienia z alkierza, Esterka zwróciła wzrok ciekawy na Bronisława. Jakże wielkie było jego zdziwienie i ledwo nie przestrasz, gdy w niej poznał tę nieszczęśliwą piękność, której niedawno dał pomoc w drodze do Krakowa, przyjmując ją z dziecieniem na brykę, i która zostawiwszy mu je na noclegu, w nocy znikła z gospody. Wtenczas, chociaż ścigana i przelekła, zachowywała jeszcze w kwitnącej cerze ślady szczęścia lub nadziei; teraz twarz jej wybladła i obłąkanie malujące się w oczach, zdały się mówić, że niedola jej doszła do najwyższego stopnia! Wzruszony jej stanem młodzieniec, chciał się odezwać, i gdy stara żydówka umawiała się z Jonaszem, zbliżył się do niej w tym celu; lecz palec Esterki położony na ustach i wzrok przestrzegający, dały mu do zrozumienia, iż przyznaniem się do jej znajomości prędzej ją zgubić niż ratować może. Pozostał Bronisław na miejscu jak wryty, przestając na pilnej bacności, co się dalej z nią stanie, gdy stara żydówka po długich dąsach, przekonana o potrzebie ustąpienia, rzuciła na jej głowę zasłonę, i zlorzecząc przeciwnościom, spieszenie ją wyprowadzała za miasto ku staremu browarowi, który oszczędzony od pożaru, był jedynem schronieniem godowej rzeszy. Obrócił w ślad za nią Bronisław, lecz prędko w tłumie gromadzących się żydówek, straciwszy ją z oczu, był przymuszony wrócić na gospodę tem bardziej, że dalsze rozporządzenia wymagały obecności jego.

Tymczasem przygotowania na przyjęcie króla czyniły się z jak największem staraniem. Ludzie służebni, z kuchnią, kredensem i piwnicą, wjechawszy do domu, zajmowali się pilnie obowiązkami przeznaczenia swojego; a gdy na kuchni w licznych rondlach i stągwiach dostateczna dla pana i gości warzyła się wieczerza, w alkierzu wykadzonym i dywanami obitym miły go po drodze czekał spoczynek. Wkrótce też, gdy się zmierzchać zaczęło, stojący na znaku za miastem pocztowy,

pędem przybiegłszy, dał znać, że najjaśniejszy pan już się zbliża do bramy. Jonasz ubrany w świąteczne szaty, z chlebem i solą na srebrnej misie, stanął u wrót domu swego, żeby pana jako gospodarz przewitał. Z długą się on na przyjęcie jego gotował perorą; ale tłum ryccerstwa, obywateli i mieszczan przy wysiadaniu króla tak był wielki, iż biedny starzec, odepchnięty daleko na zgorzeliska, nietylko nie miał szczęścia go witać, ale ani ujrzał go nawet.

---

## ROZDZIAŁ XXII.

---

Bóg pomóż, królu jedyny  
Szerokiej polskiej krainy!

*J. Kochanowski.*

Nazajutrz, jak tylko na dzień się zebrało, Jonasz chcąc powetować wczorajsze odepchnięcie od oblicza pańskiego, stanął u wrót domu z chlebem i solą, i jak niegdyś milczący Mardocheusz u bramy pałacu króla Aswera, tak on u swego progu czekał cierpliwie na ukazanie się pana. Wiele on tam znieść musiał nieprzyjemnych razów od straż u wrót stojących i krzątającej się służby; niezrażony jednak, tak się mocno trzymał raz obranego stanowiska, iż nakoniec, gdy król ze wschodem słońca wychodził zażyć świeżego powietrza, a lud zgromadzony czynił mu miejsce, Jonasz stojąc jak przykuty u progu, znalazł się jednym z tych, którzy najbliższymi byli pańskiej osoby. Miał on za sobą liczny poczet żydowstwa, ciekawego widzieć przywitanie jego z najjaśniejszym panem. Król postrzegłszy zniżającego się do stóp swoich z chlebem i solą starca, pytał: kto jest i czego żąda?

— Jako się radowały mury Jerozolimy z przybycia Nehemiasza, jako się cieszył korab Noego z powrotu gołębiczy, tak się mój dom ubogi weseli, żeś wasza królewska mość, król królów, raczył do niego na nocleg zajechać — odpowiedział Jonasz.

— Dziękuję ci mój kochany, ale wyznaję, że bardzo łatwy był wybór, kiedy nie miałem gdzie więcej za-

jechać. Dobrześ jednak zrobił, żeś mi się dał poznać; wyborny miałem nocleg, i rad będę o tem pamiętać. Lecz powiedz mi, jak się to stało, że wśród powszechnej pożogi twój dom jeden ocalał?

— Ręka pańska była nad nim! — odpowiedział izraelita, wzrok wznosząc do góry — nie dlatego zapewne, że jest zmurowany, bo i mury pękały; nie dlatego, że do mnie należy, bom ja żyd nędzny jak drugi; ale dlatego, żebyś wasza królewska mość, najjaśniejszy panie, miał gdzie z podróży wypocząć.

— Powiedzcież mi, czy Tatarzy uchodząc i lud uprowadzili?

— Ay! wey mir! zabrali, złupili, a co zabrać nie mogli, spalili! — odezwały się tłumy żydowstwa.

— Siedmdziesiąt lat żyję na świecie, miłościwy panie — przerwał Jonasz — widziałem różne wojska i wojny, alem jeszcze takiej rzezi nie widział! Był tu strach tak wielki, jak niegdyś w Sodomie, i wszystko uciekło przed ostrzem miecza twojego!

— Niech mi spiszą tych, którzy ucierpieli najwięcej — rzekł król do otaczających. I obracając się do Jonasza: — Powiedzże mi mój Locie sprawiedliwy, czy ci dobrze zapłacono za nocleg?

— Chowaj Boże! nie mam krzywdy — rzekł żyd, kłaniając się — lecz mam prośbę do najjaśniejszego króla.

— Cóż takiego?

— Wydaję za mąż moją wnuczkę, biedną sierotę, dziś jej ślub wieczorem, gdybyś najjaśniejszy panie w swej łasce pozwolił jej zbliżyć się do stóp swoich, toby bardzo wielkie było szczęście dla naszej familji, a sława dla całego Rzeszowa.

— Bardzo dobrze — odpowiedział król — niech przyjdzie.

Ruszył z okrzykiem radości tłum żydów na wygon, kędy stary browar leżał; zbiegali się z różnych stron muzykanci, żeby uczcić poczet pogodowy. Król tymczasem kazawszy podać sobie konia, udał się z znakomitszymi panami na przegląd wojska, które uszykowane za miastem, czekało na jego przybycie. Dobra je ożywiała na-



dzieja; wzmocnione rotę czerwono-ruską młodzieżą, która z zapalem zaciągała się pod polskie chorągwie, wystawiały rycerstwo godne postawą i rynsztunkiem, walczyć pod znakami Kazimierza. Umiał je król pochlebną przemową utwierdzić w przychylniej chęci; kilkunastu młodzieńców ze znakomitszych domów wyłączył do swej służby pobocznej, i sprawiwszy zastęp, obrócił na zgorzeliiska dla udzielenia swych myśli budowniczym względem podniesienia miasta i wystawienia zamku na miejscu spalonego dworu. A gdy do gospody wracał, ujrzał pędem przez rynek lecący ku sobie tłum płaczliwy żydowstwa, na czele którego stary Jonasz, blady i zadyszały, padłszy przed koniem królewskim, szarpał na sobie odzież, wołając żałośnie:

— Biada mi, biada! żem doczekał dnia tego!

— Co to znaczy? — zapytał król zdziwiony.

— Ay! wey mir! wielkie nieszczęście! — wołał starzec, trzęsąc ręce do góry wzniesione.

— Czy nie Tatarzy wpadają — pytał jeden z dworzan.

— Go:zej! Esterka, Esterka uciekła! Ay! wey mir! — odezwały się płaczliwe tłumy.

— Stil doch! — zawołał Jonasz, podnosząc się z ziemi. — Ciszej! ja sam wszystko powiem. Kiedym znalazł łaskę przed obliczem twojem, najjaśniejszy panie, żeś na niegodne moje prośby pozwolił stawić przed sobą moją wnuczkę, ja zaraz z jej narzeczonym poszedłem na strych browaru, gdzie ją wczoraj na noc z starą Libą zamknął, i stanąwszy przed drzwiami, odmykałem kłódkę, mówiąc te słowa w radości serca:

— Ester moja, już słońce wysoko, obudź się i wdziej szaty weselne, bo twoja dola rośnie, będziesz widzieć w twarz najjaśniejszego pana, on na ciebie będzie patrzeć swemi królewskimi oczyma, i da ci może upominek na szczęście! Ale Ester nie odzywała się. Potem się bardzo załakłem, i wołałem na Libę, żeby odsunęła zaworę. I obudziła się Liba i odsunęła zaworę, szukaliśmy wszędzie Estery, ale Estery nie było na strychu!

— Ona uciekła! ona dachem spuściła się na chlewek, a z chleweka skoczyła na ziemię! — odezwał się

z tłumu żyd rudy. — Już ona mi to drugi raz taki wstyd czyni!

— A ty co za jeden! — zapytał król.

— Ja jestem pan młody, Jankiel, kupiec z Opoczna — odpowiedział żyd, kłaniając się — przyjechałem tu, żebym się żenił.

— Bardzo cię żałuję; ale to nie moja wina, żeś się tak mało umiał twej narzeczonej podobać — ponowił król.

— Co to podobać się! — odparł Jankiel — niech ją лихо weźmie! niech się po świecie tuła jak dym wiatrem pędzony! niech jej chleb będzie utrapienia! Ja nie jej żałuję, ale żałuję czasu, com dla niej zmarnował!

— Miłościwy panie! już ona nie dopiero kłopot wielki nam czyni — odezwał się Jonasz — to jest druga Dalila; dusza się jej zawsze miłowała w tem, co nie żydowskie było. Ojciec jej, mój synowiec, był sławnym lekarzem, lecz nic nie zostawił po sobie tylko puszek z proszkami, maście i olejki; jam ją przygarnął, bo się znała na ziołach leczących; ale cóż tego, kiedy ona, chodząc za ziołami po lasach i górach, zawsze przynosiła serce nieczyste, a umysł Molochowi oddany. Tej wiosny jeszcze chciałem ją wydać w Opocznie za tego poczciwego człowieka, myśląc, że się poprawi i do wiary przywiąże; uciekła bezwstydnica w nocy przed ślubem jak teraz, i jeszcze mi różne chrześcijańskie zastawy: chusty, suknie i perły zabrała, że aż chorowałem z wielkiego zmartwienia. Przecież ją na trakcie krakowskim poznali nasi, jak jechała z młodym żołnierzem, i na Kleparzu pojmawszy, przyprowadzili do mnie. Umiała się chytra moabka ułożyć, zdawało się, że żałuje swego bezwstydu, i chce się poprawić; wywozłem ją w te strony, owóz znowu uciekła, i teraz nie wiem jak będzie!

— I ja nie wiem — odpowiedział król — myślę jednak, że teraz lepiej będzie uchodzić.

— Ale, najjaśniejszy panie, ona cały posag zabrała, co był w kufierku na strychu złożony! — ponowił przestraszony Jonasz. — Gdybyś wasza królewska mość był

łaskaw posłać za nią ludzi na prędkich koniach, toby może ją jeszcze dognali; ona niedaleko być musi.

— Dajże mi pokój, mój miły; jeżeli ją narzeczony nie szuka, ja pewnie jej ucieczce przeszkadzać nie będę. A czemużście wczoraj nie odprawili wesela?

— A jak mogliśmy odprawiać, kiedy trzeba było ustąpić z domu dla najjaśniejszego pana? — odpowiedział Jankiel. — Zapewne, gdybyśmy zostawieni byli na miejscu, nie przyszłoby do tego nieszczęścia. Ja nie chcę pańskich ludzi posadzać, ale ten młody koniuszy, co tu wczoraj z pocztowymi naprzód przybiegł zapowiadać gospodę, zna się dobrze z Esterką. Nasi wczoraj wypatrzyli, że długo w noc chodził koło browaru; może to jego robota.

— Ja cię zaręczam, że to być nie może — odpowiedział król — gdyby się jednak okazało, że on choć cokolwiek do jej ucieczki należy, możesz być pewnym, że będzie surowo karany. Czy twoja narzeczona tak bardzo jest piękna?

— Co to piękna — odpowiedział Jankiel z wyrazem niedbałości — zwyczajnie jak żydówka.

— Ja na jej wesele — odezwał się Jonasz — wielkie, bardzo wielkie zrobiłem ekspensa: sprowadziłem rabina zdaleka, sprosiłem wiele gości, żywiłem ich dni kilka, zgodziłem muzykantów, kuglarzów, sztukmistrzów; ja wielką stratę poniosłem!

— Wieleż te wydatki mogą wynieść? — zapytał król zniecierpliwiony.

— Czas teraz ciężki, wszystko trzeba przeplacać; najmniej sto złotych wydałem, nie licząc tego co Esterka zabrała.

— Niech mu mój kasjer podróżny dwieście złotych wyliczy — rzekł król do służby — i niech więcej o tem nie słyszę!

— Błogosławieństwo niebios niech będzie nad koroną pańską! — zawołał Jonasz, wznosząc ręce do góry.

— Najjaśniejszy panie! jeszcze jedną stratę zapomniaлиśmy wyrachować — rzekł Jankiel, kłaniając się.

— Jaką stratę? — zapytał król.



— Stratę najdroższą, to jest, coby najjaśniejszy pan dał swoją ręką Esterce, gdyby głupia nie była uciekła. Toby się mnie należało odebrać.

— Pójdź precz! — rzekł król wzgardą przejęty, i obróciwszy się do swoich, kazał mieć gotowość do drogi. A że ranek był piękny i zgromadzeni panowie zabierali się do odprowadzenia go konno na popas, Kazimierz zawdzięczając ich grzeczność, postancwil także konno jechać, mając przytem miłą sposobność łatwiejszej w drodze rozmowy i poznania kraju.

Nie zapomniał jednak o oskarżeniu Bronisława; i lubo miał jak najlepsze rozumienie o jego moralności, nie przeniósł tego w milczeniu, a ujrzawszy go na popasie, starał się wybadać. Lecz młodzieniec, który opuścił Rzeszów zaraz z wieczora, dla poczynienia potrzebnych przygotowań w dalszej podróży, łatwo się usprawiedliwił, że nic o losie Esterki wiedzieć nie może. I jakkolwiek porozumienie to mocno go zasmuciło, znajdował atoli w niem tę pociechę, że o szczęśliwem ujściu biednej izraelitki odebrał wiadomość.

Przybywszy Kazimierz do Przemyśla, znalazł to miasto zajęte przez wojska tylnej straży Spytka, kasztelana krakowskiego, z którym nie chcąc się mierzyć starosta Daszko, uszedł dla złączenia się z Mazurami, gromadzącymi swe siły u Rudnika i Baranowa. Przedmieścia przez uchodzącego starostę były popalone, lecz miasto ocalone zostało. Kazimierz wjechawszy na zamek, witany był przez mieszkańców z oznakami najżywszej radości. Nazajutrz odebrał gońca z Krakowa, który mu doniósł o przyjeździe legata papieskiego, i że ten nie mogąc dla pilnych spraw czekać w stolicy na powrót króla, prosi o pozwolenie zjechać tam, gdzie się najjaśniejszy pan znajduje. Przykro było Kazimierzowi, że o tem, co go zajmowało najbardziej, o zdrowiu kochanej żony, żadnej nie miał wiadomości. Odpowiadając zatem na żądanie legata, iż rad go będzie widział w Przemyślu, i na ten koniec kosztem skarbu podróż jego podjąć zaleca, do królowej napisał: że gdy trakt czerwonoruski wolny już jest od wojsk i niebezpieczeństwa, jeżeli zdrowie jej dobre, jak się spodziewa, prosi aby niezwło-

cznie wybrała się w drogę, i że na nią, z utęsknieniem oczekuje w Przemyśle.

W tym właśnie czasie ukazała się tam pełna rozpacz i żalu Johanna ze Sławnego, szukająca króla; a gdy wychodził z zamku, padłszy przed nim na kolana, wzywała litości, błagając, żeby jej sprawiedliwość uczynił z żydów opoczyńskich, którzy, jak wzięta świadczy poszlaka, porwali jej dziecię, gdy wyjechawszy do Krakowa, zostawiła je była w domu. Oskarzenie tak wielkiej wagi, pochodzące od osoby ścisłą przyjaźnią złączonej z królową, zajęło Kazimierza tem bardziej, iż w tym wieku powszechnie obwiniano żydów o mordowanie dzieci chrześcijańskich najokrutniejszym sposobem. Król ciesząc strapioną matkę, starał się ją krzepić nadzieją, że droga jej strata wróconą będzie niechybnie, zapewniając oraz, że gdyby okoliczności dozwalały, samby pod swem okiem śledztwo kazał prowadzić. Lecz gdy to być nie może, a szwagier Johanny, Jan z Lelowa, któryby z obowiązku urzędu swego, a bardziej jeszcze powinowactwa najlepiej dopilnował sprawy, rzeczami wojennemi jest w tej porze zajęty, nie było innego sposobu, jak zdać śledzenie na sad nadworny. Kazał tedy król napisać do Zadzika, nadwornego marszałka, zalecając mu szukanie poszlakowanych i jak najściślejsze z nich śledztwa ciągnięcie; przykazał oraz zapieczetować bożnicę miasta Opoczna i wszystkie sklepy żydowskie; do rabinów zaś i starszych w całym królestwie posłać obwieszczenie: iż jeżeli żydom dowiedziona będzie ta zbrodnia, każe zabrać na skarb wszystkie ich majątki, i jako niewdzięczny i szkodliwy naród, wypędzi go z kraju na zawsze.

---

## ROZDZIAŁ XXIII.

---

Niejeden, gdy go lube omamienie ludzi,  
Nie wie, że może raz się ostatni przebudzi,  
Że może z pierwszą zorzą, z tą bitwą zaczęta  
Nić życia jego będzie na wieki przecięta.

*J. U. Niemcewicz.*

Nie odbierając Kazimierz wiadomości od żony, z każdym dniem był o nią niespokojniejszy. Wiedział on dobrze, że ojciec jej Rokiczan, któremu ją szczególnie polecił, nie dozwoli jej krzywdy uczynić; lecz odjechawszy niezupełnie zdrową, lękał się, aby wzmożona słabość nie była tego milczenia przyczyną. Wtem ukazał się w Przemyślu legat papieski. Znany królowi z odbytych kilkakrotnie poselstw w Polsce i Węgrzech, Piotr, biskup weletryjski, do wiadomości spraw kościoła polskiego, łączył zdawna życzliwe chęci dla Kazimierza, i był wzajemnie od niego kochany. Między wielu poleceniami, z którymi przybywał, miał on szczególnie poruczone sobie od Innocentego rozpoznanie niezgód króla z duchowieństwem, uchylającym się od ciężarów publicznych. Wprawdzie nadania dawnych królów i książąt przy zaprowadzeniu wiary świętej w Polsce, nie obowiązywały dóbr duchownych do powinności tego rodzaju, lecz słusność z pomnożonemi z czasem potrzebami kraju, zdała się je ogólnie do wszystkich posiadaczów gruntowych rozciągać, tem bardziej, że dobra duchownych zajmowały znaczną część ziemi. Bodzanta, biskup krakowski, a za nim wielu bogatych proboszczów i opa-



tów, coraz śmielej opierając się władzy krajowej, byli powodem, że rząd musiał nieraz użyć gwałtownych środków do zniewolenia ich włością, aby publicznej służbie zadość czynili. Stąd coraz jawniejsza między duchowieństwem a królem rosła nienawiść tak dalece, że skargi biskupów opierać się zaczęły o apostolską stolicę. Przejęty Kazimierz wdzięcznością dla ojca świętego za powolność w rozwiązaniu ślubów, wszelką z swej strony okazywał gotowość porozumienia się z duchowieństwem; lecz jak wielkie było jego zdziwienie, gdy legat nie tylko wzbraniał się przyjmować podziękowań za rozwód, lecz zapewniał, iż bardziej nad wszystko, ma poleczone sobie od papieża, zniewolić króla do wrócenia Adelaidy do praw małżeńskich, jeżeli nie życzy sobie uleż kłątwie kościoła. Oświadczenie tak śmiałe i niespodziane, nagłym gniewem przejęło Kazimierza.

— Jak to? — zawołał oburzony. — Poddając przychody państw moich, stosunki z monarchami, zwycięstwa nawet oręza, pod wyroki apostolskiej stolicy, i to jeszcze co za jej dozwoleńm czynię, co jest jedyną nagrodą prac moich a nadzieją ojczyzny, ma mi być później zaprzeczone tak nielitościwie! Dość tego! Rokiczana jest moją żoną i będzie nią do skończenia dni naszych.

— Miłościwy panie! uczucia waszej królewskiej mości trudno zapewne potępić — odpowiedział legat strwożony oburzeniem króla. — Widziałem Rokiczanę w przejeździe przez Kraków, i miałem szczęście z nią mówić; słyszałem powszechnie wielbione jej cnoty, dobroć, litość, pobożność, i wyznać winienem, że taka tylko niewiasta godną jest dzielić los króla polskiego, i z niej tylko naród mógłby sobie wróżyć przedłużenie zacnego Piasta plemienia. Ale miłościwy panie, prawą kościoła są niewzruszone! Raczże mi przynajmniej wasza królewska mość powiedzieć, jakim się to stało sposobem, żeś przed otrzymaniem rozwodu ślubował jej wiary małżeńską?

— Daję moje słowo, że nie wprzód pomyślił o związku, aż w ręku miałem przysłany mi rozwód. Cóż to? mości księżę biskupie, alboż jesteś w stanie

przypuścić, żebym użył podstępu? — zapytał król nowym zapalony gniewem.

— Uchowaj Boże! znam nadto sposób myślenia waszej królewskiej mości; lecz gubię się w daniu miejsca najniepodobniejszym wypadkom tem bardziej, że właśnie, kiedym miał z Awenionu wyjeżdżać, przybyły tam ojciec Adelaidy, nowe za córką zanosił prośby, i w ich to skutku odebrałem polecenie zniewolenia waszej królewskiej mości, żebyś się z nią nieodzownie pojednał. Czy mogę widzieć rozwodowe pismo?

— I owszem. Nie mam go z sobą, lecz za dni kilka okażę. Ale spodziewam się, żeś Rokiczanie nic nie mówił o tem zaprzeczeniu?

— Bynajmniej — odpowiedział legat — chciałem najprzód rozmówić się z waszą królewską mością.

Uspokoiła cokolwiek Kazimierza wiadomość, że droga jego małżonka nic nie wie o tych nowych zamachach. Niezwłocznie zatem kazał wyprawić gońca do Krakowa po pismo rozwodowe, złożone w składzie papierów koronnych, i razem dołączył wyraźny rozkaz do królowej żeby przyjeżdżała natychmiast; a chociaż był przekonany o prawności swojego związku, i bronić go z narażeniem się nawet apostolskiej stolicy był gotów, żałował, że oszczędzając daremnie spokojność Adelaidy, nie otoczył go tą wystawą wspaniałości, jaka zwykle towarzyszy ślubnym panujących obrzędom, boby wtenczas odgłosem postanowienia swego, przeciał wszelkie sposoby dążące do jego obalenia; albowiem mniemał, że to zaprzeczenie jest skutkiem nowych podstępów jego nieprzyjaciół, usiłujących w mniemaniu świata puścić to w niewiarę, co dopełnionem zostało wedle wszelkich przepisów kościoła. I w tym celu troskliwy o żonę, aby się na nią złość ludzka gorszej jeszcze nie dopuściła ostateczności, chciał ją mieć niezwłocznie pod okiem. Co zaś do legata, ten rzecz wcale inaczej uważał. Nie przeczył bynajmniej, że król ma w swych krewnych najzawziętszych postanowieniu temu wrogów, lecz był stale przekonany, że pismo rozwodowe nigdy z kancelarji papieskiej nie wyszło, i jeżeli istnieje, niechybnie zmyślonym.



Dnia piątego wrócił z rozwodem wysłany goniec i przywiózł najokropniejszą jaka tylko być mogła wiadomość. Hrabia Rokiczan na wieść jadącego do Przemysła legata z zaleceniem papieża, ażeby Kazimierz pod klątwą wrócił do Adelaidy, która najpierwsza ten pogłos puściła w Krakowie, nagle został paraliżem ruszony, i w ostatniej życia godzinie uczynił publiczne wyznanie: że pragnąc jak najprędzej widzieć córkę w koronie, a niemogąc się doczekać rozwodu, który mu ciągle przez przyjaciół w Aweniowie był obiecywany, kazał go w Pradze ułożyć, i przez przebranego Włocha za papieskiego posłańca, doręczył królowi, w tej jednak nadziei, że prawdziwy rozwód niezwłocznie będzie wydany. Właśnie w chwili odjazdu gońca z Krakowa nieszczęśliwy Rokiczan duszę wyzionął, a córka jego pełna rozpacz, nagle opuściła zamek, zostawiwszy w swym pokoju następujące pismo do Kazimierza:

„Co Bóg nie potwierdza, próżno ludzkie starania usiłują otrzymać! Daremnie mnie wzywasz, Kazimierzu! Nie jestem twą żoną — nigdy nią nie byłam! więc mnie już nie ujrzysz, ani sobie tego życzyć powinieneś. Lecz jeśli chcesz zmniejszyć gorycz mojego losu, jeżeli życzysz, aby Bóg duszy ojca przebaczył winy córki, wróć do Adelaidy i żyj odtąd dla niej!

Rokiczana.“

Jakkolwiek te wyrazy powinny były przekonać Kazimierza o stałym przedsięwzięciu Rokiczany nie tylko niewracania do związków nieprawnych, lecz unikania jak najdalej miejsc i osób przypominających jej haniebną pomyłkę; nieszczęśliwy małżonek strata jej tylko zajęty, opuszczając zwycięstwa, chwałę i wszystko, co go zatrzymywać mogło, dopadł konia i puścił się pędem do Krakowa, przysięgając, że choćby ją pod ziemię zawiść ludzka ukryła, znajdzie i do praw należnych wróci. Kilku śmielszych dworzan widząc gwałtowny stan pana, udalo się za nim, ażeby w przypadku nieść mu pomoc potrzebną; ale niebo inne w tej chwili przeznaczając drogi Rokiczanie, prędko przeszkodne Kazimierzowi w jego zapędzie postawiło tamy. Ledwie bowiem kilka mil ujechał, pogłos nagły o zjawionych na przodzie od



Tarnowa i Jasła Mazurach dał mu poznać, że przebiegły Ziemowit wzięwszy od Karpat tył Polakom, związki ich z Krakowem przeciąć usiłuje, a co gorsza, że sam zastępem dowodzi. Nie ustraszyłyby pewnie te wieści, mającego jedynie na celu los ukochanej małżonki; lecz dworzanie towarzyszący mu w drodze, zaklinając żeby nie narażał drogich dni swoich na niebezpieczeństwo tak jawne, a tem samem nie poświęcał sprawy narodu osobistym widokom, skłonili go do zatrzymania się chwilę na miejscu. Zaszło to przełożenie na błoniach leżajskich, gdzie spotkane przednie straże wojska polskiego, potwierdzając tę prawdę, dostateczniejszą dały sprawę o obrotach nieprzyjaciela, jako ten ogromną siłą wychodząc z wąwozów karpackich, stara się nagle najkorzystniejsze opanować miejsca, i że już droga na powrót do Przemyśla jest osadzona przez jego jazdę.

Mimo tak oczywiste niebezpieczeństwo, jeszcze Kazimierz trwał w chęci jechania naprzód, i byłby pewnie drogo swą śmiałość opłacił, gdyby garstka męźnych, otoczywszy go kołem, nie sprzeciwiła się otwarciu dalszej podróży, zaklinając: aby się raczej pozwolił zaprowadzić do stojącego o ćwierć mili wojska polskiego nad Sanem, i jego orężowi powierzył drogą swoją osobę, niżli ją na szwank nieużytecznie wystawiał. Wzruszony Kazimierz dał się ubłagać, i zjechawszy, nie bez żalu, z gościńca, obrócił w stronę przez swe wojsko zajętą. Był to pieszy oddział dowództwa Galki Prandoty, z trzechset męźów złożony, który sto jazdy, kirysnikami zwanej wspierało; — mała zaiste obrona w porównaniu mnogich sił nieprzyjacielskich!

Słońce już zachodziło, gdy przednie straże Mazurów z różnych stron dały się widzieć. Król stanąwszy na czele garstki, w stanie swym rozpaczy, postanowił bronić się do ostatka; żołnierz przyrzekał dzielnie go wspierać, lecz położenie miejsca płaskie i zewsząd otwarte nie czyniło nadziei, aby się mógł długo opierać. Korzystając jednak z czasu, cofnął się na wzgórze nad Sanem, któremu przyległy las bukowy jakiegokolwiek udzielał zasłony; i tam stanąwszy w szyku ścieśnionym, czekał spokojnie, co los zdarzy niepewny.

Jak tylko przednie straże nieprzyjaciela postrzegły czerwieniejącą się barwę polskich rycerzy, zbiegłszy się w hufiec, uderzyły na nich z zwykłą natarczywością. Odparł dobrze Kazimierz ten napad; kilkunastu ległych od razu w naczelnym szeregu ostrożniejszymi uczyniło Mazurów, a cienia nocne, coraz bardziej powiększające się, dozwoliły obu stronom pożądanego wytchnienia. Wiedział dobrze Kazimierz, że rozdrażniony nieprzyjaciel daleko większą siłą z porankiem zajrzy mu w oczy; a gdy odwód był niepodobny, postanowił, korzystając z nocy, ile być może, warownem uczynić swe stanowisko. Szczęśliwy przypadek zdarzył, że na Sanie z tej strony znalazło się drzewo w tratwy wiązane pod dozorem kilkunastu flisów; natychmiast użyte na zakład wału, zaczęto podnosić opas obronny. Rzucił się lud rycerski do sypania okopu, używając tej samej zbroi i tarczy, co piersi jego zasłaniała, do brania ziemi na wzniesienia szańcu. Grunt do koła piaszczysty łatwemi czynił usiłowania, a przykład króla wodza, pracującego bez wytchnienia nad ocaleniem ludu, dodawał mężnym ochoty. Tymczasem na wieść rozniesioną przez flisów, że król, ojciec kmieci, jest w niebezpieczeństwie, wysypały się z pobliskich wiosek z łopatami i siekierami tłumy wieśniactwa, niosąc panu obronę. Przybycie rąk tyłu, i z każdą chwilą przybywanie ich coraz znaczniejsze, nagle posunęło robotę. Każdy w cichości podwajał siły, i prędko wzniósł się czteroboczny, w pół człeka, wał, zamykający walecznych.

Już świtanie przemagać zaczęło nocną pomrokę — i czaty polskie znać dały o ruszającym się za lasem nieprzyjacielu. Kazimierz nie tracąc chwil drogich, jeszcze własnym przykładem zachęcał do kończenia dzieła.

— Królu! — rzekł do niego ciągle pracujący w poście czoła kirysnik ze spuszczoną na twarz przyłbicą — zaniechaj pracy, już wał przy boskiej pomocy i naszych piersiach jest dostateczny, abyś był zachowanym!

— Moje dziecię — odpowiedział król — dzień się bieli, nieprzyjaciel trzyma miecz wzniesiony; niech żadnej chwili nie będzie, któregośbym stracenia mógł poża-



łować! Ale ty w twojem żelazie musisz być okropnie zmęczony. Pójdź, legnij u konia.

— Niech mój koń za mnie spoczywa; przyjdzie kolej na niego, wtenczas się porachujemy — odparł kirysnik. — Lecz ty, panie, dobrzebyś zrobił, gdybyś twoje szkarłaty okrył burką wieśniaczą.

— Bierz, panie, moję! Weź moję! — odezwały się z cicha głosy snujących się kmieciów z ziemią.

— Dzięki wam, moje dziatki! — odpowiedział król — kogo boska nie zasłania ręka, darmo ten szuka pod cudzą odzieżą ochrony!

— Ale czegoż ten człowiek tak się tu pcha, i zamiast pomocy, wał tylko osuwa? — odezwał się kirysnik do jednego z wieśniaków, który okryty siermięgą, z rydlem, ciągle koło króla grzebał, jak gdyby mu chciał niedołączną swą pracę zalecić. — Pójdź bracie lepiej zewnątrz ziemię podawać, bo nam tylko przeszkadzasz.

— Daj mu pokój — rzekł król — nie wiemy czyja garstka ziemi komu życie ocali!

Wieśniak skłonił głowę do stóp króla, i ciągle między nim a kirysnikiem pracując, nie odpowiadał na dalsze przymówki. Dzień już był tak wielki, iż najodleglejsze przedmioty można było rozpoznać, gdy dźwięk kilku trąbek na czatach dał znak ostrożności. Natychmiast ujrzano brzegiem lasu w porządnym szyku zmierzający prosto na okop potężny zastęp pieszy, a za nim w pewnej odległości, posiłkową jazdę. Chorągiew dawała poznać, że ma Ziemowita na czele. Rzucił się każdy do bronii, stojąc na swoim miejscu; a gdy nieprzyjaciel na wał naciera, wieśniak w siermiedze błysnął sztyletem zadając raz królowi w ramię; lecz tej samej chwili, jak gromem, cięty w rękę przez kirysnika, stropił się nagle, upuszczając żelazo. Ledwie król raniony obejrzał się na zabójcę, już on przyparty przez kirysnika do wału, gdy mu się wydrzeć widział rzeczą niepodobną, zaczął wołać głosem silnego młodzieńca: „Tu, tu! za mną! tu król się znajduje! tu strona najsłabsza!“ Na ten głos, cały nawał nieprzyjaciela obrócił ku niemu, usiłując gęsto wypuszczonym grotem dosięgnąć króla, który coraz słabszym się czując, musiał się na środek



okopu oddalić. Tymczasem gdy jedni z nateżeniem odpierają nieprzyjaciela, drudzy opatrują ranę pana — zabójca jego pod straż ścisłą jest wzięty. Już wielu walecznych chwalebny zgonem opłaciło obronę wału, przekop do koła zarzucony był poległymi stron obu, dzielny kirysnik jeszcze z towarzyszami bronił przystępu, tysiąc strzał zgruchotanych odpadało od jego hartownej stali; lecz wezwana w pomoc przez Ziemowita jazda zaczęła obleżonych przemagać, i już się zdawało, że zbliża się stanowcza chwila, w której okop miał być zdobyty, gdy nagle usłyszany wrzask kilkunastu tręb od Sanu przeraził trwogą nieprzyjaciela. Była to reszta chorągwi kirysników pod sprawą Galki Prandoty, który uwiadomiony przez chłopstwo o niebezpieczeństwie króla spiesznym pochodem z okolic Łańcuta przybywał na odsiecz i uderzwszy nagle na oblegających, zmusił ich do odstąpienia. Wtenczas oddział zawarty w okopie czyniąc śmiałą wycieczkę przez zřeczne z swym dowódcą, złączenie się, przyłożył się do odniesienia zupełnego zwycięstwa.

Chociaż król mocno był ranny, krew wcześniej zatamowana, zachowała mu sił tyle, że po chwili spoczynienia mógł się przechadzać. Jak tylko niebezpieczeństwo minęło, udał się na miejsce, gdzie był zabójca strzeżony. Leżał on związany u wału, kryjąc twarz w zafarbowanym własną posoką piasku, i nic nie odpowiadając na pytanie rycerstwa, kto jest i co mu było powodem do podniesienia ręki na pana, ciche miotał przekleństwa na zawodne swe ramię, gdy król zbliżywszy się, kazał go podnieść. Jakże bolesnym widokiem został przerażony, gdy pod uczernionym włosem i twarzą zabójcy, poznał własnego synowca, księcia gniewkowskiego.

— Władysławie! — rzekł do niego gorzkim przejęty żalem — teraz rana, którąś mi zadał, zaczyna mię najsrożej dolegać! I cóż cię mogło do tej niegodziwości ośmielić? Słuzysz sprawie mych wrogów, potwarzasz mię wszędzie, i jeszcze chciałeś życie mi wydrzeć.

— Tak jest! — wściekłym zapalony gniewem odpowiedział młodzieniec, uderzając zbuczona ręką o nagie swe piersi; — póki to serce bije, nigdy najśłodszem jego

uczuciem nie przestanie być pragnienie twojej zagłady, bo chytrność twoja wszystkie w niem inne wytępiła żądze.

— Co za niesprawiedliwość! — ponowił król, patrząc z goryczą na zranioną jego rękę. — I czemuż tak mało pomnisz, że ta krew jest nam wspólna?

— Nie bluźń! — odparł zapamiętalec — nigdy w mych żyłach nie płynęła krew rozbójnicza!

— Dopókiż ten nędznik będzie ci, panie, urągał! — porywając się do miecza odezwał się jeden z rycerzy — dozwól go skarać!

— Przebij mię, przebij! — odpowiedział z szyderczem spojrzeniem nieustraszony Władysław — bądź jednak pewien, że jeżeli między umarłymi jest co podobnego do życia, ja go tam znajdę!

— Nieszczęśliwy! obelgi twoje niewczesnej tylko zapamiętałości dowodzą — zawołał król z żalem. — Byłeś moźnym po ojcu i bracie księciem, jam cię jeszcze jako synowca Innowrocławiem darował, — więc pomnożenia, nie ujmy chciałem twych majątków; tyś jednak wszędzie i zawsze szukał mej zguby, i nic u ciebie świętego nie było! Zabilesz mi urzędnika, co swą powinność czynił w pilnowaniu granic dóbr narodowych; i chcąc się okazać prześladowanym, zrzekłeś się dobrowolnie Bydgoszczy; nieuważny! kto urzędownie czyni zrzeczenie, utracą prawo, a ja tego już wrócić nie mogę, co się staje własnością narodu. Złorzeczysz mi, żem cię upośledził w następstwie do tronu; — czyliżbym ja chciał Piasta, synowca, wyłączać, gdybyś miał cnoty potrzebne i miłość w narodzie? Wreszcie, nie moja jest wina, że ci żona umarła, mogłeś ją żałować, bo dobra była niewiasta, ale nie należało z rozpaczny puszczać się na bezprawia.

— Więc pošlej mię czem prędzej, gdzie jej duch uleciał; pošlej, zaklinam cię, jeżeli chcesz uchodzić za sprawiedliwego!

— Nie, ja twej zguby nie pragnę, ja chcę twojej poprawy. Jesteś młody, jeszcze możesz pokochać to życie, którem tak nieuważnie pogardzasz. Dla mnie dość będzie, kiedy się odtąd bezpieczniejszym uczynię twej nienawiści — odpowiedział król; i kazawszy opatrzeć mu



rękę, zalecił mieć dla niego względy, jakie się należą więźniom wyższego stanu, a nadewszystko niczem nie drażnić jego czułości.

---

## ROZDZIAŁ XXIV.

---

Długo wędrowna zwiadała narody.  
Odjętej wszędzie szukając swobody;  
Lecz skoro promień pokoju jał świtać,  
Jeszcze nad Sanem raczyła zawitać.

*Trembecki.*

Szlachetne serce Kazimierza i uczucia krewieństwa, a nadewszystko obłąkany niejako stan duszy Władysława utratą żony, utratą, którą Kazimierz własnem doświadczeniem najlepiej dziś umiał cenić, — pomimo pierwszego zapędu gniewu i niebezpieczeństwa nawet odebranej rany, potrafiły wzbudzić litość dla winowajcy. Nie zapomniał król także o kirysniku, i jak tylko Władysław odprowadzony został w bezpieczne miejsce, kazał pierwszego stawić przed sobą, ale ten z chorągwią swoją udawszy się w pogoń za nieprzyjacielem, nikomu nieznanym, nie przybył.

Gdy pogromiony Zimowit wolniejszy przystęp do okopu otworzył, — na wieść rannego pana, ściągać się na nowo zaczęło wieśniactwo, dopytując się troskliwie o stan jego zdrowia; a gdy jedni niosąc pomoc rannym, zabierali ich z sobą na wioski, drudzy grzebali poległych, — niewiasty z ziołami precisnąwszy się w środek okopu, gdzie król spoczywał, zalecały mu przychylnie swe leki, czyniąc co im chęć dobra radziła. Czuł Kazimierz z pomnażającym się osłabieniem, że nietylko domierzyć przedsięwziętej drogi, lecz nawet do Przemyśla wrócić nie będzie w stanie; dworzanie też i starsi wojskowi, choćby był zdrowym, nie dozwoliliby mu puścić się w drogę niebezpieczną jeszcze od nieprzyjaciela. Ulegając zatem potrzebie, kazał upatrzeć dla siebie w najbliższej wiosce mieszkanie.



Pół mili od okopu, w stronie lasami zaległej, wśród kilku chatek wieśniaczych, dom wójta przeznaczony został na przyjęcie króla, gdzie w nocy zaniesiony na poręczach, znalazł pożądane schronienie, i wczesnem opatrzeniem rany ulgę w cierpieniu

Tymczasem rzeczy wojenne szły dość pomyślnym obrotem. Jeżeli bowiem dowódcy wojsk mazowieckich odnosili niejakię korzyści nad orężem marszałka wielkiego, broniącego granic krakowskiego województwa; inni polscy wodzowie, a mianowicie Spytek, kasztelan krakowski, i Galka Prandota, dowódzca kirysników, przy pomocy wojsk węgierskich dzielnie na przodzie gromiąc Tatarów i Litwinów, pędzili ich ku granicom litewskim. Odpierał silnie od Wołynia ksiązę Ostrogski zapędy polskie, i często na czele Litwinów kilka mil pola przybrawszy, wstępny bojem działać zaczynał. Lecz ogólny los wojny ciągle sprzyjając polskiemu orężowi, rychłą zdał się wróżyć chwilę zupełnego oswobodzenia Rusi, tembardziej, że ustalone związki Lwowa i Halicza z Przemysłem coraz jawniej dawały poznać chęć obywatelów wrócenia pod panowanie Kaźmierza. Wprawdzie w duchowieństwie greckiego obrządku tlała jeszcze niejaka nieufność, a raczej bojaźń zasłużonej za burzliwe odezwy kaźni; lecz i ta niechęć na wieść poległego pod Włodzimierzem Daszka, starosty przemyskiego, naczelnika powstańców, rychło się zmieniła w życzliwe uczucia.

Słodziły te wieści Kazimierzowi boleść straty małżonki, dotkliwszą zapewne nad cierpienia rany. Skromna jego chatka codzien się liczniejszym napełniała dworem i ryćerstwem, które na pogłos pańskiej przygody, zewsząd się ściągało, ubiegając się z niesieniem mu ulgi, — jużto odwodząc umysł jego od straty, która i z praw kościoła i z woli Rokiczany, zdała się być niepowetowana, — już przykładając wszelkich starań do wrócenia mu zdrowia. Lekarz królewski z kilku innymi przybywszy z Przemyśla, po opatrzeniu rany, nie znalazł ją wcale niebezpieczną; cięty w rękę, zabójca nie miał dość czasu, aby raz swój śmiertelnym uczynić; lecz czyli dla niedostatku należytego jej z razu opatrzenia, czyli z powodu niedoskonałości sztuki lekarskiej w tej porze,

leczenie nie szło tak szczęśliwie, jak sobie król życzył. Ile tylko bowiem razy chory czując się zdrowszym, najmniejszego użył ruchu, rana się otwierała, i trzeba było leczenie zaczynać na nowo. Przykrym był królowi ten stan niemocy, który zdrowego czynił go niewolnikiem, osobliwie w tak ważnych chwilach. Zupełna niewiedomość o losie żony, która podług biegających wieści, miała staraniem biskupa Bodzanty, być odesłaną do ciotki w Budzynie, powiększała jego niecierpliwość. Zdało mu się, że wracający rozesłani za nią gońce, zdradzili jego ufność, i że sam tylko mógłby ją wynaleść. Nade wszystko zaś, lękając się, czyli żelazo, którem został ugodzony, nie było zatrute, gniewną często z nieuleczenia swego lekarzom okazywał niechęć; ci zaś, uskarżając się jedynie na brak cierpliwości króla, rychłem go uzdrowieniem cieszyli, — chociaż chory powolniejszy odtąd, niemniej do zdrowia nie wracał.

— Miłościwy panie, niechaj mi moja śmiałość będzie darowaną — odezwał się stary wójt, wszedłszy do izby, w której król samotny spoczywał — ale pożałuj Boże! źle koło zdrowia waszego chodzą lekarze. Ludzie, co odebrali u okopu rany daleko cięższe, już chwala Bogu, zdrowi, na nowo biją Mazurów, a wy się panie nie możecie obaczyć. Gdybyście chcieli mojej rady posłuchać, za trzy dni najdalej bylibyście zdrowi jak ryba.

— Jakaż twoja jest rada, dobry człowiecze? — zapytał król.

— Odpędźcie od siebie te cyruliki, a kaźcie zawołać Jaruty. Niech tylko Jaruta ranę waszą opatrzy i pomówi nad nią, zaraz złe pójdzie z lichem.

— Któż jest ta Jaruta?

— To nic o Jarucie nie wiecie, miłościwy panie! o Tatarce Jarucie, która tu od swoich została i żyje z leczenia? Jużci, prawda, Bóg ją tam wie, z jakimi duchami ma do czynienia, ale dobra z niej lekarka; nie jedną już rękę i nogę uratowała, co cyruliki chcieli urzynać.

— Dobrze, mój kochany, poradzić się nie zawadzi, kaź jej więc stanąć przedemną.



— Ona przyjdzie z ochotą, bo już mi sama o tem nadmieniała, ale lekarze co na to powiedzą?

— Będą jej wdzięczni, jeśli wróci mi zdrowie.

— Oj nie! — powiedział poważnie stary gospodarz — lekarze radziby zawsze wielkich panów leczyli; dlatego uchowaj Boże, żeby się dowiedzieli, iż Jaruta w rzeczy się ich wdaje, przepędziliby ją daleko od nas, aniby ją więcej oko nasze ujrzało.

Rozśmiał się Kazimierz na to proste zdanie. Uradzono zatem, że jutro jak najraniej, dla nieobrażenia lekarzów, Jaruta odwiedzi chorego.

Jeszcze wschodzące dopiero słońce sług i dworzan w przyległych chatach trzymało w uspieniu, — nikt prócz wieśniactwa i straży, nie czuwał koło pańskiego mieszkania, — gdy wójt wprowadzał lekarzkę do izby. Kazimierz był pewien, że znajdzie w niej jaką starą, wychudłą, z ostrem spojrzeniem, wróżkę, jak zwykle bywają tego rodzaju niewiasty; niezmiernie się zatem zdziwił, gdy ujrzał małą, żywą osóbkę, do której szcuplej urody cudnie przystawał lekki płaszczyk tatarski, a choć jej twarzy nie widział, miała bowiem spuszczoną z zawoju ciemną zasłoną, nie wątpił, że tak ślicznej postaci młodość i wdzięki towarzyszyć muszą. Lekarka tymczasem zbliżywszy się do króla, z zręcznością najwprawniejszego chirurga odwijiała ramię, i ciągle mając twarz zaslonioną, przykładła maść mocnej, lecz przyjemnej woni. Jednakże, chociaż to opatrywanie okazywało wprawę i znajomość wielką, ręce jej drżały, a tłumiony pod zasłoną oddech objawiał mocne duszy wzruszenie. Odzywał się do niej kilkakrotnie Kazimierz, pytając, jak się ma w czasie tych leków zachować; lecz ona ciągle milcząca, odpowiadała tylko na migi, dając znać, że najstaranniejsza spokojność powinna im towarzyszyć. Skoro zaś obwinęła ramię, skłoniła głowę i wyszła z izby.

Mocno zajęła chorego niepojęta skrytość Jaruty. Myślał, że wiele jej na tem zależy, aby przez lekarzów nie była poznana; ale znowu nie widział żadnej potrzeby ukrywania się przed tym, który się jej z ufnością powierza, tem bardziej, gdy nim jest król, jak nie wątpił,



że o tem uwiadomioną być musi. Nie przeciwiąc się jednak w niczem jej przepisom, nie dał do siebie przystępu lekarzom, i przez cały dzień jak największą spokojność zachował. Nazajutrz o tej samej porze stawiała się Jaruta, i z podobną wczorajszej skrytości, zajmowała się opatrzeniem ramienia. Rana była w jak najlepszym stanie, ruszenie ręki nie sprawiało bolu; a gdy król nie mogąc przenieść na sobie, żeby nie poznał tej, której tyle już był winien, odważył się z jej twarzy podnieść załone.

— Cóżes panie uczynił! — zawołała przestraszona Jaruta, kryjąc w małych swych rączkach twarz najpiękniejszą — zgubiłeś mię, zgubiłeś, panie!

— Czy to być może! — przerwał zdziwiony Kazimierz, poznając dobrze sobie znaną dziewicę, której na łowach w sulejowskich lasach przed spłoszonym żubrem ratował życie — ciebieto ja znowu spotykam, zawsze niedościgniona i zawsze na mojej znajdująca się drodze? powiedz, co tu porabiasz?... Biedna! jakże ją słońce spaliło! — mówił, odgarniając przychylnie z rumianej jej twarzy włos czarny, wypływający z pod złotego zawoju.

— Dozwól, panie, nieszczęśliwej za twem żniwem zbierać kłos uroniony! — odpowiedziała żywym zapłonioną rumieńcem dziewica — tyś mi życie zachował, i zniżając się do równości ze mną, dopuściłeś być ci wdzięczną sercem oddanem tobie jedynie; a czemuż mię pytasz, dlaczego się zawsze na twej drodze znajduję? Ach, powiedz mi raczej, czemu nieszczęsna, króla w tobie poznaję!

— Pocziwa dziewczyno, tyś mi dała pierwszy raz poznać, jak dobrze przestać czasem być królem! Wiesz już, kto jestem, lecz kiedyż ja się dowiem, do jakiego stanu i ludu należy to miłe stworzenie. Wszystko w tobie objawia szlachetność duszy, czułość i moc umysłu. Powiedz mi nareszcie, kto jesteś?

— Ja sama już nie wiem, do jakiego ludu i świata należę! — odpowiedziała smutno dziewica — nikt mię znać nie chce, a kto się do mnie przyznaje, czuję! że jest tylko stworzony na moje udręczenie! Niech ci, panie, dość będzie na tem, gdy powiem, że zaledwie pod tą

obcą mi odzieżą znaleźć mogłam przed prześladowcami mymi zasłonę i jakikolwiek sposób do życia.

— Czemżeś więc była tak niedobłą i nie zgłosiła się do Krakowa, do Kochana, jakim cię, odjeżdżając, upraszał?

— Szukałam cię, panie, wszędzie, choć stronić ciębie byłam powinna; dlatego też los mię nawet od twego progumiał zwrócić na drogę cierpień i prześladowania.

— Teraz, spodziewam się, będzie musiał być ci posłusznym. Lecz powiedz mi, prędkoż będę ci winien moje uzdrowienie?

— Uzdrowienie? ramię rychło się zgoi, wszystko czynić będę, żebym ani jednej nie straciła chwili w powrocie tak drogiego zdrowia — mówiła — ale tam wewnątrz jest podobno inne zranienie, na które biedna służebnica twoja nigdy może nie znajdzie lekarstwa, — ach, i nie chce go szukać! Rychło ramię się zgoi i wzniesie miecz mściwy na tych, co szczęście pańskie zniszczyć poważyli się, odzyskane zdrowie powiedzie go w stronę, kędy się przed sercem jego niewdzięczna piękność ukrywa! znajdziesz ją, panie, i zmusisz świat do uznania z nią twego związku; wszystko swe prawa odzyska, i mnie może śmierć dobra zabierze!

— Nie — rzekł król wzruszony, ściskając jej rękę — ty żyć będziesz, bo do zupełności szczęścia mego musisz należeć!

Pocieszona lekarka zalecała królowi spokojność, i skończywszy opatrzenie, oddaliła się, przyrzekając, że jutro powróci. Odtąd z każdym rankiem odwiedzała chorego, a ramię coraz w lepszym okazywało się stanie. Prędko dostrzegli lekarze przyczynę swego oddalenia; widząc tak dobre skutki leków Jaruty, nietylko nie śmieli na nią powstawać, ale i owszem prosili króla, aby ciągle szedł za jej radą. W tem też chętnie powodował się im Kazimierz.

## ROZDZIAŁ XXV.

---

Ach, czemuż nie karani przestępcy wyraźni!  
Niewinni plagę znosim winowajców kaźni.

*Trembecki.*

Pomnożone starania lekarki w przeciągu dni kilkunastu, zupełne królowi powróciły zdrowie tak dalece, że nietylko ręki używać, lecz nawet podróż przedsiębrać był w stanie. Poświęcił pobożny pan najpierwsze chwile uzdrowienia swego złożeniu w kościołach jarosławskich dziek winnych opatrności za ocalenie swoje; a gdy ta część kraju oczyszczoną została z nieprzyjaciela, udał się do Przemyśla, ażeby zaprowadził rząd nowy na całą ziemię, stanowiąc na miejscu poległego Daszki, lepszej wiary starostę. Legat papieski dla wszczętych do koła wojennych rozruchów, przymuszony nie bez trwogi zostawać w tem mieście, gdy spokojniejsza nadeszła pora, chciał przyspieszyć swój powrót do Francyi; lecz go zatrzymała zostawiona bez załatwienia sprawa nieporozumień króla z duchowieństwem. Jak tylko Kazimierz ukazał się w Przemyślu, zaniósł prośby o ostateczną odpowiedź; lecz król przyjąwszy zimno legata, kazał mu przez kanclerza powiedzieć, że nietylko nie czuje się skłonny do ustąpienia duchowieństwu z praw i należytości, do jakich są obowiązani posiadacze ziemscy, którzy prócz tego służą zbrojnie ojczyźnie, lecz że odtąd z powodu zniszczonego kraju głodem i wojną, podatku z królestwa znanego pod nazwiskiem świętopietrza, do skarbu apostolskiej stolicy wnosić nie będzie. Poznał legat przyczynę tej niechęci w odmówionym nieszczęsnym rozwodzie, widział głęboko obrażony umysł króla, du-



mnego świeżem odzyskaniem bogatej krainy, i stracony z niej, równie jak z całego królestwa obfity grosz hołdu; ale gdy złe nie było już do naprawienia, nieczekając gorszych skutków gniewu, opuścił Przemyśl, spiesząc do Awenionu.

Król poczyniwszy rozporządzenia w Przemyśle, obrócił do Lwowa, stolicy kraju, gdzie pamiętni słodkiego jego rządu mieszkańcy, a świeżem zniszczeniem miasta przez uchodzących Tatarów przywiedzeni do nędzy, witali go sercem pełnem uradowania, otwierając na przybycie jego zachowane w zamku przed najezdniczem bogate w złocie i srebrze ozdoby koronne i kościelne świętości. Tak życzliwe przyjęcie zwycięzcy było mu powodem do łaskawego obejścia się z niektórymi obywatelami, co uwiedzeni przez Daszkę, miasto Tatarom wydali. A gdy działania wojenne z Czerwonej Rusi posunęły się ku brzegom Bugu, król chcąc być bliższym wypadków, z początkiem jesieni, przeniósł mieszkanie do Kazimierza. Miasto to niedarmo szczyli się jego nazwiskiem. — Wzniesione nad brzegiem Wisły, służyło na skład płodów krajowych, gdzie zamorski kupiec w zamian dzieł sztuki i kunsztu, brał zboże, drzewo, sól i wszystko, w co Polska obfitowała. Stąd chociaż w początkach założenia swego niebardzo obszerne, już się zalecało bogactwem mieszkańców i piękną domów budową, czego dziś jeszcze ślady w płaskorzeźbach, gzymsach i śmiałych sklepieniach kilku pozostałych gmachów dają się spostrzegać. Ale najpiękniejszą Kazimierza ozdobą był potężny zamek kamienny, wznoszący się na pochyłości gór nad miastem, skąd daleki widok unosił oko na zawiślańskie krainy. Król, wybierając się do Kazimierza, niepewny, czyli czterdziestomilowa droga nie będzie miała złego na jego zdrowie wpływu, dał zalecenie, towarzyszenia sobie Jarucie.

Elżbieta, królowa węgierska, mając przy boku brata wiernych spraw jego donosicieli, nie tylko wiedziała o szczęśliwym króla przez piękną Tatarkę uleczeniu, lecz miała jak najdokładniejszą wiadomość jej tkliwych dla chorego uczuć i jego dla niej czulej wdzięczności. Ostrzeżona wcześniej o wybieraniu się króla do Kazimie-

rza, upредиła jego tam przybycie, czekając na zamku z licznym poczem panów lubelskich na przyjazd jego. Wątpić nie można, że radość siostry z ujrzenia brata po odniesionym szwanku w dobrym stanie zdrowia, i z powodu szczęśliwych wojennych okoliczności, musiała być wielką i szczerą tem bardziej, że już jej przytomność Rokiczany nie truła; — równała się jej zapewne wdzięczność dla pięknej lekarki, w której przewidując nowy cel zajęcia brata, tak dobrze odpowiadający raz ułożonym zamiarom, najżyczliwszą dla niej zdała się tchnąć chęcią. Ale Kazimierz nie stracił jeszcze był pamiętki Rokiczany; cnoty jej wszędzie wielbione, gdy obraz wdzięków znikał z przed oczu, albo raczej ustępował nieznacznie szczęśliwшему przedmiotowi, przypominały mu ją nieraz boleśnie! Ale gdy się dowiedział, że w swem nieszczęściu, gardząc pomocą jego przyjaciół, oddała się opiece biskupa Bodzanty, i w jego pojeździe ujechała do Węgier; a nadewszystko, gdy pochlebni układom królowej, dworacy zaczęli ją obwiniać o pewien rodzaj obojętności, z jaką na zerwany swój związek patrzyła, — zaniechał Kazimierz dalszego trudnienia się jej losem, i oddając zapomnieniu tak niegodną małżonkę, coraz jawniej brał w udział uczucia pięknej swojej lekarki.

Atoli nic tak trudnem nie było, jak obmyślenie dla niej pewnego stopnia znaczenia, na którymby nieuderzając niskością swego stanu, społeczności zamkowej przyzwoite z nią mogła zachować stosunki. Wprawdzie w wieku Kazimierza nie była na dworach tak pilnie strzeżoną ta granica, co godność ich w dzisiejszym tak znacznie od pospolitego oddziela gminu; znakomici rodem i bogactwem panowie, nietyle odsunieni od ludu przez lepsze wykształcenie, więcej się do niego przez ludzkość i prostotę zbliżali; jednakże nie można było bez obrażenia przystojności, cudzoziemkę, a co gorsza, poganek, mieścić w zgromadzeniu najpierwszem w królestwie, jakkolwiek ją droga zalecała przysługa. Czuła tę niedogodność królowa, lecz przekonana że świat wszystko za dobre przyjmuje, co z góry pochodzi, zaczęła się nią zaraz troskliwie zajmować, torując jej drogę na wszyst-



kich ucztach i zgromadzeniach, któremi mieszkańce tej ziemi pana czcić chcieli. Ale dobra Jaruta znając sama siebie najlepiej, unikała świata; najmilszem jej zatrudnieniem było, zbieranie między górami ziół lekarskich, których nadwiślańskie brzegi nowe jej i nieprzebrane ukazały skarby. W tym celu obrała mieszkanie ćwierć mili za zamkiem, w starym opuszczonym kastelu, który wzniesiony na jednej z gór odosobnionych, przed założeniem Kazimierza musiał być twierdzą strażnika tej ziemi. Dokoła las starych jodeł posępną czynił tę ustron, lecz ją ożywiało kilka chat wieśniaczych, rozrzuconych na dolinie pod górą, strumień przezroczysty, i dalekie za Wisłą widoki. Tam zamieszkawszy Jaruta ciche, nieznanne, oprócz dobroczyńcy swojemu i tym, którzy z jej ręki uzdrowienia szukali, prowadziła życie.

Król już od dwóch miesięcy znajdował się w Kazimierzu, gdy ukazała się w nim na nowo nieszczęśliwa matka szukająca dziecięcia. Przywoziła ona z sobą zebrane przez świadków dowody, jako istotnie jej synek znikł w domu żydowskim z rąk niańki; lecz gdy dla wojennych rozruchów niepodobna było wziąć śledztwa pewnego, — żydzi bowiem, jedni strwożeni surowością przedsięwziętych środków, rozpierzchli się w strony, inni osadzeni w więzieniu same tylko przed sądem sprzeczności gadali, — co większa, gdy wywód sprawy do tak dziwnych i niespodzianych dawał powód wniosków, iż sama tylko mądrość króla mogła rozwinąć ten węzeł, — strapiona matka bojąc się uchybień, względów lub niedostateczności jekich, prosiła, żeby dalszy ciąg śledztwa był prowadzony pod okiem królewskim.

W rzeczy samej wina tak wielkiej wagi, zarzut czyniony ludowi izraelskiemu o mordowanie niemowląt chrześcijańskich w czasie świąt pejsachu, i nigdy mu dostatecznie niedowiedziany, gdyby nawet nie obchodził tak znakomitej osoby, jak Johanna ze Sławnego, godzien był zastanowić uwagę monarchy tem bardziej, że właśnie zniknięcie dziecięcia przypadło podczas świąt rzeźzonych. Król też z najżywszą gorliwością zajął się rozpoznaniem sprawy; lecz zaraz na początku wyszłych rozkazów przeniesienia sądu opoczyńskiego do Kazimierza



z wszelkiemi należytościami, otoczyła ją niedościągła skrytość dobrze poniekąd za żydami mówiąca. Kiedy bowiem podejrzani nie byli jeszcze naocznie badani, a żydzi bogatsi strwożeni surowością wyroku, że na przypadek dowiedzionej zbrodni, stracą majątki i z kraju wypędzeni zostaną, zaczęli używać wdania się królowej węgierskiej i innych znakomitych osób do umorzenia sprawy, co większa, że prócz niańki, z której rąk dziecko w ciemności zniknęło, i domu, w którym rzecz zaszła, nie było innej pewnej poszlaki, — stawił się przed sądem dobrowolnie żyd młody, bogaty kupiec z Opoczna, oskarżając się śmiało, iż jest tym, który uniósł dziecko, i że wszystko wyzna rzetelnie, byle niewinnych król kazał uwolnić. Na tak niespodziane oświadczenie, — blada, strwożona Johanna przypadłszy do niego, błagała, aby powiedział, co z dziećciem uczynił, lecz żyd zapewniwszy, iż nie miał wcale jego zguby w zamiarze, gdy mu w nocy odebrane zostało, oświadczył, że nie wie, jaki los je spotkał.

Nazajutrz, gdy się sąd zebrał na zamku pod naczelnictwem króla, złożony z nadwornego marszałka, dwóch sędziów i osób należących do sprawy, stawiono przed nim najznacniejszych winowajców, to jest, izraelitę, który sam się oskarżył, i niańkę, młodą wieśniaczkę, z której rąk dziecko zginęło. Król spojrzawszy na żyda, przypomniał sobie, iż rudy włos jego i twarz wyhudła nie są mu obce; pytał zatem, jak się nazywa, i czy nie miał kiedy sprawy u dworu?

— Najmiłościwszy panie! — odpowiedział żyd — nazywam się Jankiel, kupiec z Opoczna, syn Samsona i Sary z Zatora, i jestem ten sam, który na wiosnę w przejeździe waszej królewskiej mości przez Rzeszów miał szczęście być mu stawionym.

— Przypominam sobie — rzekł król — tyś się miał zenić podobno, ale zaszła jakaś przeszkoda.

— Wasza królewska mość ma pamięć bardzo dobrą. Prawda, miałem się zenić, i śmiem twierdzić, że niegodna moja narzeczona, która mi przed ślubem w nocy uciekła, jak wiadomo najjaśniejszemu panu, jest straty dziecicią przyczyną.

— A najprzód — zabrał głos marszałek nadworny — kiedy już nie zaprzeczasz, żeś dziecię porwał z rąk niańki, masz odpowiedzieć, w jakim to uczyniłeś zamiarze?

— Przepraszam, jam tego nie powiedział, żeś je porwał z rąk niańki, jam tylko powiedział, że w mych rękach było — rzekł Jankiel.

— Cóżeś chciał z niem uczynić? — zapytał król.

— Co ja miałem z niem czynić? — gdybym chciał jego zguby, zapewne bym sam do rąk sądu nie przyszedł; przecie mam majątek i życie mi miłe, a gdybyśmy potrzebowali krwi chrześcijańskiej, nacoby nam pańskich dzieci szukać, kiedybyśmy łatwo bez hałasu dostać mogli jaką biedną chłopską sierotę; — wszak i to krew chrześcijańska. W czasie głodu, na przednowku, jak się to stało, nie jednąbym znalazł matkę, co za bochenek chleba chętnieby dziecko oddała. Ja wiem że mi wiara daną nie będzie, jakom chciał to dziecię ratować, bom żyd, bo to się stało pod nasze święta wielkanocne; przecież tak jest, żeś je wziął do rąk moich na to, żebym od nieszczęścia zachował.

— Jakież mu nieszczęście groziło? — zapytał sędzia?

— Niańka była tak pijaną, że nie wiedziała czy żyje; dziecię szturchane na jej kolanach plakało, że aż żal było patrzeć. Ja widząc, że to pańskie dziecię z Sławnego, na prośbę mojej narzeczonej wziąłem je do komory i położyłem w łóżku, tak myśląc: jutro rano odwiezę dziecię do dworu i podziękowanie odbiorę.

— Jako żywo! nie byłam pijaną — przerwała obrażona niańka; — prawda, że spotkawszy się ze znajomym na rynku, wypiliśmy z nim kufel miodu, ale dlatego nie mogłam zapomnieć, że mam dziecko pańskie na ręku, gdy te mi, sama nie wiem jak, pod wieczór w tłumie porwane zostało.

— Widzisz, sama nie wiesz, jak ci dziecko porwano, a jakże nie byłaś pijaną? — ponowił żyd. — Przecież już z twoim znajomym drugi dopijałaś garniec. Powiedz chyba, że on był trzeźwy, to prawda; ale ty to już nie wiedziałaś o świecie.

— Któż był ten znajomy, z którym miód piłaś? — zapytał marszałek.

— Jużem pani mojej powiedziała, że to był komorny jej szwagra, pana marszałka wielkiego, człowiek uczciwy, którego cały nasz dwór zna dobrze.

Tu Johanna uczyniła wniesienie, prosząc, żeby sąd raczył jak najpilniejszą zwrócić uwagę na znajdowanie się w tej porze w Opocznie komornego jej szwagra, i traktowanie przez niego niańki aż do upojenia.

— W czymże domu zaszedł ten przypadek? — zapytał król.

— W domu Jonasza z Opoczna — odpowiedział Jankiel — żyda bardzo poczciwego. Stało to się w izbie szynkowej, pod wieczór, w czasie wielkiego jarmarku w poniedziałek po przewodniej niedzieli.

— Cóż możesz rozumieć, gdzie się to dziecię z komory podziało? — zapytał żyda marszałek.

— Ja nie wiem. Dom był pełen ludu. Nie zastawszy po północy dziecięcia w łóżku, myślałem, że niańka wytrzeźwiona zabrała je z sobą do dworu.

— Ale przypomnij sobie, coś niedawno namienił — odezwał się jeden z sędziów — że masz w porozumieniu twoją narzeczoną, jakoby ona straty dziecięcia była przyczyną.

— Ja tego z pewnością nie twierdzę — odpowiedział żyd — ja tylko tak mówię, że ponieważ Ester, moja narzeczona, tej nocy uszła z Opoczna, co i dziecię zniknęło, być może, że je z sobą zabrała.

— Czyś o to ją pytał, kiedy pojmana na Kleparzu i przyprowadzona do domu, miała ci być powtórnie przeznaczona za żonę? — zapytał król.

— Na co ja miałem o to ją pytać, kiedy ja myślałem, że dziecko niańka zabrała. Nikt się ze dworu nie zgłaszał; ja miałem co inszego z Esterką gadać: ona uciekając, zabrała chrześcijańskie zastawy, za które ja ręczyłem.

— Więc zawsze jesteś najwinniejszym, ponieważ w twych ręku dziecko zginęło — rzekł marszałek.

— Jakże rozumiesz, gdzieby się można o Esterce dowiedzieć? — zapytał jeden z sędziów.



— Ja nie wiem i nie chcę już o niej nigdy wiedzieć — odpowiedział Jankiel.

— Tem gorzej dla ciebie — odezwał się drugi sędzia. — Czy nic więcej nie masz dodać do twego zeznania?

— Mam o tyle tylko prosić, żeby szukano komornego, co pił z niańką. On może najlepiej sprawę objaśni.

Stała mocno przy tem oświadczeniu Jahanna, prosząc króla usilnie, żeby, odłożywszy na stronę wszelkie względy przyjaźni i skolegacenia, łączące ją z Janem z Lelowa, nakazał niezwłocznie stawić sługę jego do naocznego z niańką i żydem zarzutów sprawdzenia. Jednakże śmiała a dość pozorne tłumaczenie się Jankla zaczęło na stronę jego dobrze uprzedzać króla. Lecz marszałek uczynił uwagę; że gdy śledztwo do tego doszło już stopnia, że żyd stratę dziecięcia naznacza między Esterką a komornym, których właśnie stawienie było niepodobnem, a przynajmniej wątpliwem, nie należy go wolno puszczać. Łzy nieszczęśliwej matki poparły to zdanie. Kazano zatem obwinionego zaprowadzić do więzienia, a posłano do Lelowa po komornego, oraz po żyda Jonasza, w którego domu zdarzył się ten przypadek.

---

## ROZDZIAŁ XXVI.

---

Był plac za miastem, naprzeciw kościoła,  
Żelazną kratą ogrodzon do koła,  
Plac pełen zgrozy, gdzie przestępne głowy  
Sprawiedliwości karał miecz surowy.

*Odyniec.*

Wysłany z pachółkami woźny do Lelowa dla stawienia przed sąd obwinionego sługi marszałka wielkiego, nietylko go tam, lecz ani w Krakawie, zwyczajnem pana mieszkaniu, nie znalazł; Jan bowiem z Lelowa, wybierając się na wojenną wyprawę, zabrał go z sobą z wielu innymi domownikami, jak to był zwyczaj w tym czasie, sadzać na koń każdego ze zdatnych do oręża. Zostawało

więc tylko stawienie przed sąd gospodarza, w którego domu zaszedł przypadek. Nie trzeba zapewne uwiadomić czytelnika, że nim był ten sam stary izraelita, który w Rzeszowie witał króla z chlebem i solą. Inny teraz wcale był stan jego myśli i chęci! Zasmucony głęboko zapowiedzianym wyrokiem, a co gorsza, że przypadek, który gniew pański obudził, stał się w jego domu i wielu już nieszczęśliwymi uczynił, — dręczony tak srogą pewnością, unikając podejrzeń, nie wracał więcej do nieszczęsnego miasta, lecz ciągle mieszkając w Rzeszowie, pościł i modlił się z rodziną na odwrócenie klęski, która jak niegdyś okropnie purym, wydane z dworu perskiego na zagładę Izraela, groziła mu podobnym w Polsce nieszczęściem, — gdy z swej górnej komórki nagle pochwycony przez sług rządowych, do Kazimierza był wieszony. Jak wielki go strach na ten gwałt ogarnął, łatwo sobie wystawić! czas dopiero okaże, czyli zasługiwał na podobne obejście się; tymczasem z położenia swego nieodzownie być musiał stawiony, jako gospodarz domu poszlakowanego, a nadewszystko jako uczony żyd, biegły w prawie pisanem talmudzista, na którego, jeżeli to prawda, że izraelici używają krwi chrześcijańskiej do wielkanocnych swych chlebów, najbliższe padało porozumienie, że był mordercą dziecięcia.

Ale stawiony przed sądem starzec do naocznego z Janklem sprawdzenia, tak był zalekniony, iż na czynione sobie zarzuty żadnych odpowiedzi nie dawał, lub przymuszony, dawał niestosowne, dzikie i niezrozumiałe, tak dalece, iż nieprzytomnem swem tłumaczeniem się często obrotnego Jankla, który chciał go ochronić, w nowy kłopot wprowadził. Rozkaz sędziów mówienia tylko polskim językiem do towarzysza, i każde słowo żydowskie uważane za dowód winy, jeszcze go bardziej osłupiałym czyniły. Atoli, jakkolwiek niewyraźne były jego odpowiedzi, łatwo z nich król poznawał, że w czasie zaszłej straty dziecięcia, nieszczęśliwy starzec zajęty gdzieś na osobności czytaniem ksiąg świętych, nic nie wiedział, co się w jego domu działo, był pewnie niewinnym, ale surowi w uważaniu rzeczy sędzowie, biorąc zaleknienie żyda za zwyczajny wybieg zbrodniarzów,

byli tego zdania, aby go zmusić postrachem do wyznania prawdy. Kiedy więc po wznowionych badaniach, drogą łagodności czynionych nic nie można było otrzymać, postanowiono przystąpić do ostrzejszych środków. Wyznaczono obwinionym czas pewny do namysłu, po którego wyjściu, jeźliby w ciągłym zaprzeczaniu trwali, mają być wzięci na tortury, — zwyczajne niestety w wieku ciemnoty, sposoby dochodzenia prawdy, które często nieszczęśliwych zmuszając do przyjęcia win, których nigdy nie znali, bardziej jeszcze utrudzały drogę sprawiedliwości.

Czas atoli wyznaczony upłynął, nieprzynosząc najmniejszego objaśnienia w sprawie. Wyprowadzono zatem obwinionych z więzienia na plac ich badań okrutnych. Miejsce do tego obrane było za miastem, nad Wisłą, naprzeciw wieży, w której byli więzieni. Otaczały je tłumy ludu, ciekawe ostatecznych zeznań; żaden się tam jednak żyd nie znajdował. Blady i zdrętwiały starzec zbliżając się na plac męczarni, jeszcze słabym głosem zaklinał towarzysza losu, żeby wyznaniem prawdy, jeśli jest winnym, oszczędził mu niezasłużonej katowni; ale Jankiel mało już przytomny, nie był w stanie go cieszyć.

— Niech więc Bóg Izaaka nas wspiera, i jeśli być może, miecz ofiary zatrzyma! — mówił w ufnej pokorze — nie żałuję życia, bo mi się już z niego niewiele należy; ale czemuż śmierć moja ma być tak srogą i długą!

Kiedy więc widok okropnych narzędzi nie zdołał wydobyć z obwinionych pożądanego zeznania, kazano wykonawcy wyroków wziąć najprzód Jankla pod doświadczenie rozpalonego żelaza. Już nieszczęśliwy miał uleźć najsroźszej męczarni, a z jego milczeniem ostatnia matki znikła nadzieja, — gdy głos zbiegającej pędem z gór przyległych niewiasty, wołającej: — Stójcie, stójcie! zatrzymajcie się! jam dziecię uniosła! — był sędziom powodem do zawieszenia badań.

Przybywającą niewiastą była Jaruta, która, jak się wyżej rzekło, mieszkając w górach za zamkiem, w obranym starym kastelu, skoro dowiedziała się o nieszczęściu Jonasza, pospieszyła go ratować natychmiast. Prześtrach i zmordowanie tak ją osłabiły, iż zdawało się,



że ledwie miała dość siły, aby dobiec na miejsce, gdzie stanawszy padła bez zmysłów.

— To ona! to jest Esterka, co dziecię porwała! — wykrzyknął Jankiel, poznawszy w omdlałej dziewczycy dawną swą narzeczoną; i cucąc ją niezgrabnie: — No obudź się i mów jak było, niech nam dadzą pokój!

— Boże Abrahamów! chwała twojej potędze! — padając na twarz, zawołał ożywiony Jonasz.

Tymczasem lud zamkowy zdziwiony objawieniem się dziewczycy, odpychając Jankla, wziął się do jej ratowania. Żydzi na tak pożądaną zmianę, zbiegać się ze wsząd zaczęli, klaszcząc w dłonie z radości. Rychło zimną orzeźwioną wodą, powstając za pomocą dworzan, rzuciła się do podniesienia z ziemi Jonasza, i rosząc łzami żalu drżące jego ręce:

— O! mój ojczy, daruj mi twoje cierpienia! — wołała z boleścią. A obracając się do sędziów: — Tak jest, jam dziecię uniosła, oni są niewinni, a uniosłam dlatego, że ty je zachowałaś od zguby niechybnej! Lecz nie sądzicie, aby mu ręce synów Izraela groziły! Nie, nigdy, to nam dowiedzione nie będzie, żebyśmy nastawali na życie dobroczyńców naszych! Waszeto własne dumy i zazdrości podejścia, gubiąc niemowlęta, rzuconą na nas potwarzą, zbrodnie swoje usiłują pokrywać. Ale Bóg Abrahamów zawsze jest Bogiem naszym! oto i niniejszy przypadek jest tego dowodem.

Mała, piękna, śmiała, a dziwnym ożywiona ogniem wymowy, Esterka tak nagle zajęła sędziów, iż długo nieodzywając się, patrzali na nią nieporuszeni. Dopiero Johanna przypadłszy do niej:

— Lecz mów, zlituj się! — zawołała niepewna — jestemże jeszcze matką?

— Jesteś nią, pani! Dowiesz się o wszystkim, dozwól mi tylko niewinnych ratować.

— Jakież to jest przypadek, co groził zagubą dziecieniu? — zabrał głos marszałek nadworny.

— Nadzwyczajny — odpowiedziała dziewczica. — Kiedy jeszcze mieszkała w Opocznie, w domu dziada mojego, tego szanownego starca — mówiła, całując z czułością

rękę Jonasza — wracając raz wieczorem od przyjaciółki, usłyszałam za parkanem domu naszego te słowa okropne zcicha lecz wyraźnie rzucone: „Nie trucizną, lecz nożem! potem wrzucisz w ten loch, dla zwalenia śmierci dziecka na żydów.“ — Zajrzałam przez szczeplinę; dający nóż, był Truksa, — odbierający, komorny marszałka wielkiego; oba dobrze mi znani.

— Otóż jest! — zawołała przerażona matka, załamując ręce — czego nigdy, nigdy do serca dopuścić nie mogłam!

— Mościa pani! — odezwał się jeden z sędziów do Esterki, — racz zważać co mówisz? dojmujesz winą główną osoby znakomitej rodem i urzędem, osoby, która dla nieobecności odpowiadać nie może; będziesz że wstanie jej dowieść?

— Nie marszałka wielkiego, lecz sługę jego obwiniam — odpowiedziała dziewczica.

— Czyś pani, usłyszawszy tę mowę, uczyniła jej na ratuszu zeznanie? — zapytał drugi sędzia — to był krok najpierwszy.

— Nie, bliskie niebezpieczeństwo dziecięcia nie tę mi drogę radziło. Bzadko na ratuszu słowa żyda znajdują wiarę, kiedy jest przymuszony chrześcianina obwiniać, cóż dopiero pierwszego sługę marszałka wielkiego! Wpadłam więc do domu jak obłąkana, a com najpierwszego ujrzała w szynkowni, była to niańka z dziećciem, siedząca za stołem. „Otóż jest ta nieszczęśliwa ofiara, co ma swój i nasz dom okryć żałobą!“ pomyślałam w zasmuconej mej duszy, i dziękowałam Bogu, zem ją znalazła. Wkrótce nadszedł zbrodniarz i potwierdził moje mniemanie. Śmierć była w jego spojrzeniu. Siadł za stół, kazał dać garniec miodu i starał się niańkę zapać. Drzałam ze strachu, patrząc na ubywanie jej przytomności i na bacznego o siebie mordercę. Szczęściem, wywołany przez kogoś, oddalił się za drzwi; wtenczas w ciemności porwawszy dzieć z rąk usypiającej niańki, wpadłam z niem do komory, zaklinając Jankła, żeby je skrył gdziekolwiek. Izba była pełna ludu, który ciągle przybywał lub wychodził; niańka przebudziwszy się, pytała o dzieć; nikt jej odpowiedzieć

nie umiał; sądząc zatem, że je zabrał komorny, wyszła za drzwi, komorny nawzajem wróciwszy po chwili, szukał niańki, a niemogąc o niej wziąć sprawy, poszedł zapewne pytać o nią na szyki. A gdy pod północ wszystko ucichło, porwałam dziecię, i uszedłszy z niem w lasy, gdym dnia trzeciego postrzegła pogoń za sobą, oddałam się w ręce najpierwшему z podróżnych, który tak był uczciwy, że mnie z dziecięciem zawiózł na Kleparz; lecz stamtąd zagnalona w nocy wracać do Opczna, musiałam jego opiece dziecię zostawić.

— Któż był ten dobroczynny podróżny? — zapytała Johanna.

— Jakiś młodzieniec z ojcem do Krakowa jadący, niezmiernie szlachetny i dobry; jego szczerą dla dziecięcia czułość zaręcza mi, że ma o niem jak najlepsze staranie. Widziałam go potem w Rzeszowie pod przejazd króla; ale głowa moja wtenczas tak była skłopotana, iż nie mogłam znaleźć sposobności zapytania go o dziecię; mam przecież nadzieję, że w dobrym jest stanie.

— O! niech ci będą dzięki, dobra dziewico za twe starania! całe moje życie będę ci wdzięczna! — mówiła uradowana matka, ściskając Esterkę. I wnet opuściwszy Kazimierz, udała się pod Kraków na Kleparz, dla wzięcia o dziecięciu sprawy.

Tak szczerem i śmiałem wyznaniem, winą z żydów przeniesioną został na głowę Truksy, a raczej na jego pana, marszałka wielkiego, który będąc najbliższym po swym małoletnim synowcu dziedzicem fortuny braterskiej, tudzież o utrzymanie jej pod swą opieką spór oddawna z Johanną wiodący, łatwo dawał miejsce podejrzeniu, że zgubę dziecięcia przedsięwziął, i wykonanie jej Truksie powierzył. Zwrócono tedy przeciw niemu sprawę, ale właśnie w tym czasie nadeszła smutna wieść śmierci Jana z Lelowa, który dobywając od Tatarów Włodzimierza, poległ zgonem walecznych, i nie mógł na uczyniony sobie odpowiedzieć zarzut. Truksa zaś przewidując, jaka kolej czeka go w kraju, ile że dziecię widział w ręku młodego Nałęczą, trzymał się granic jego z daleka. Ale dobroczynna opatrzność nie chciała zostawić nawet cienia winy tych, którzy niesłusznie byli



porozumieni; wkrótce bowiem chciwy Truksa spadku po poległym panu, przybywszy skrycie do Lelowa dla zabrania kosztowniejszych rzeczy, został schwyty i stawiony przed sądem, przyznał się dobrowolnie do zbrodni, jako się jej z własnego dopuścił natchnienia, żeby zapewnić panu dziedzictwo fortuny braterskiej, i że marszałek wielki o niczem nie wiedział. Skazany zatem wyrokiem sądu na śmierć, odniósł niezwłocznie zasłużoną karę.

---

## ROZDZIAŁ XXVII.

---

A już więc syn książęcy upadł na kolana  
I wyznał swe poddaństwo i zwierzchnego pana.

*J. Kochanowski.*

Jeżeli dzielność polskiego oręża i przyjazne chęci mieszkańców tak szczęśliwie zbliżać zdawały się koniec wyprawy, — przyspieszyło go najprzeważniej odstąpienie Litwinów od sprawy Ziemowita; dowiedziawszy się bowiem o wpadnięciu w swe kraje Krzyżaków i ich srogich zaborach, nagle opuścili chorągwie księcia Ostrogskiego, spiesząc własnym braciom na pomoc. Zostali mu wierni tylko Tatarzy, lecz i ci ciągle zawodzeni w nadziei łupów, sprzykrzywszy sobie bój niepożyteczny, a odstąpieniem Litwinów mniej w zwycięztwie pewny, z początkiem jesieni zaczęli myśleć o odwrocie w swe kraje. Musiał tedy książę Ostrogski, gorszą uprzedzając następność, zdać się na łaskę zwycięzcy, i złożwszy oręż, czekał w Łucku wyroku swego. Nie wzmiankują dzieje, jak się z nim król obszedł; lecz to pewna, że ostatecznym skutkiem tej wyprawy było: prócz Rusi Czerwonej, przyłączenie do Polski Wołynia. Zdradzony Ziemowit przez sprzymierzeńców, uchodząc z resztą niedobitków do swych krajów dziedzicznych, ciągle był nękany przez wojska Nawoja, następcy w wojennych działaniach marszałka wielkiego; lecz skoro się dostał za Wisłę między obronne swe zamki, wspomógł os-

dami Gostynina, Czerska, Sochaczewa i innych, oraz tłumem mazowieckiej czerni, tak dzielnie stawiał Nawojowi czoło, iż wstępnym bojem zaczął na nowo działać.

Doszło o tem wieści do króla, zmartwiły go tem bardziej, że Ludwik, król węgierski, zajmujący swem wojskiem brzeg Wisły czerwonoruski, zamiast spieszenia Polakom na pomoc, jak tylko ujrzał swe granice bezpieczne od nieprzyjaciela, na zimę do Węgier obrócił. Nadaremnie rozgniewany Kazimierz upominał go o zawód i do powetowania jego zachęcał; nic go nie mogło nakłonić do wyciągnięcia w pole pod zimę. Do tak smutnych wypadków przybyła jeszcze niemiła wiadomość ujścia z więzienia Władysława Białego, który na rozkaz królewski będąc mniej ściśle strzeżony, w przeprowadzeniu z Przemyśla do Krakowa odebrałszy na noclegu pomoc od swych towarzyszków biczowników, straż pomordował i uszedł z nimi w Mazowsze. Ale ta okoliczność, jakkolwiek nieprzyjemna, mniej daleko króla obesła, jak zmiana pomyślności jego oręża i niewdzięczna obojętność Ludwika; kazał tedy mniej już potrzebne wojsko przeciw Tatarom, pod sprawą Spytka i Gałki Prandoty zostające na granicach Wołynia, przez Podlasie, obrócić w pomoc Nawoja, czekając, co mu następnie doradzi czynić los wojny.

Tymczasem Esterka za zachowanie dziecięcia i danym krewnym ratunek, codziennie większymi okrywana pochwałą, codziennie miłszą stawała się królowi. Dziwić się nie trzeba, że Kazimierz tak mocno przywiązał się do niej; ona mu bowiem pierwsza po tylu nieszczęśliwych związkach dała poznać ten urok czystej i bezinteresownej miłości, która ani zrażając się koroną, ani pozwalając jej nadziei dzielenia losu ukochanej osoby, przestawała jedynie na szczęściu cichej wzajemności. Umiał Kazimierz oceniać tak wielkie poświęcenie się. Obsypana jego łaskami, panująca nad sercem, używała tych darów jedynie na wspomnienie nieszczęśliwych, a góra, na której mieszkała, ciągle okrażona była gromadami biednych chrześcian i żydów, których z równą życzliwością wspierała. Miło jest możnym przez ukochaną rękę widzieć przechodzące swe dary na uszczęśliwie-

nie ludzkości; mnożą się one w niej cudownym sposobem i to jest może, co jedynie ich słabość wymawia i jakąkolwiek zdrożności daje osłonę. Kazimierz dobroczynny z przyrodzenia, najśłodszych wtenczas pociech używał, kiedy mógł świadczyć za wdaniem się pięknej swojej lekarki. Niepoślednim celem byli jej łask stary Jonasz i nieszczęśliwy jej narzeczony, Jankiel; umieli oni dobrze nagrodzić sobie wszystkie cierpienia i straty, na które z przeszłych stosunków swoich z Esterką narażeni byli.

Kazimierz czcząc wdzięki i cnoty pięknej izraelitki, zapragnął ją widzieć mieszczącą się w gronie zgromadzeń zamkowych. Musiała nieśmiała dziewczica zastosować się do woli dobroczyńcy swego, i biorąc na siebie strój pań, używany w tej porze, gasiła najpiękniejsze cudnemi wdziękami swemi. Królowa węgierska, chociaż nie było ofiary, którejby nie uczyniła dla zapewnienia synowi panowania w Polsce, niełatwo zniosła społeczność jednej żydówki w obliczu świata. Nadaremnie dworacy ród Esterki wywodząc od królów judzkich, starali się dowieść, że godną jest zajmować miejsce obok panujących, — daremnie odkrywali w niej zalety najdoskonalszej księżniczki; królowa umiała ją zawsze poniżyć; ale im więcej ją prześladowała, tem się nią czulej Kazimierz zajmował. Jakiegokolwiek powody skłonić go mogły do podobania w niej sobie, czyli chciał tak dziwnym wyborem karać opór apostolskiej stolicy, dając poznać światu, że może się obejść bez rozvodu, czyli pragnął niewdzięczną Rokiczanę w jej ukryciu udręczyć, lub też istotnie zniewolony cnotą i wdziękami izraelitki, nie mógł się oprzeć czulej dla niej skłonności; to pewna, iż nie czyniąc sobie przymusu, dał się poznać światu jej zawołanym kochankiem. Umiała prędko dowcipna dziewczica na tym powodzenia stopniu stosowną okryć się godnością; znalazła się powaga, śmiałość, rozum, grzeczność, słowem wszystkie przymioty znakomitej osoby; a świat dworski winne składając lej hołdy, miłość dla niej króla nieinaczej jak cnotą wdzięczności nazywał. Lecz stan duchowny, a mianowicie na czele biskup Bodzanta, nie tylko pochlebczem pobożaniem nie potwierdzał tak spro-



śnych uczuć, ale stroniąc wszelkich związków z dworem, groźnie powstawał na zły przykład pana. Stąd wynikały coraz jawniejsze między królem a stanem duchownym niechęci. Urzędnicy skarbowi niefolgując dobrom duchownym, z pomocą władzy rządowej, brali z nich winne od ziemian należitości, i często przyciężeniem dobrze umieli dokuczyć; duchowni powstawali na złe życie króla, równając go z najnierzędniejszymi starego zakonu panami, i grożąc mu podobną ich kaźnią. — Wreszcie wojna ta przyszła do tego stopnia zgorszenia, że gdy po kłątwie na króla przez Bodzantę rzuconej, jeden z mniej uważnych kapłanów ośmielił się zbliżyć do pana z tem smutnem doniesieniem, i w nieumiarkowanych wyrazach jeszcze go chciał napominać, postraszony przez króla, występłą skwapliwością sług jego, w głębiach Wisły znalazł niewczesnej gorliwości zapłatę.

Nadeszły też z początkiem wiosny pomyślniejsze wieści rzeczy wojennych w Mazowszu. Wojska polskie wspomóżone nowemi posiłki, przy dostępniejszem po zamarzłych bagnach i rzekach polu pod zamki nieprzyjacielskie, z korzyścią nad nim działać zaczęły. Ale i tu jak na Rusi Czerwonej więcej dokazały sława i imię Kazimierza, słodycz jego rządu i wolność prawem ubezpieczona, niż oręż zwyciężką podniesiony ręką. Przykrem już niedopiero być zaczęło Mazurom dwuwieczne prawie panowanie nad nimi udzielnych książąt, którzy zuchwali, niespokojni, a niedość mocni, żeby się dzielnie oparli ciągłym najazdom Krzyżaków, Litwinów i Prusów, w ustawnem a niepożytecznem musieli się przeciw nim ze szkodą rolnictwa i handlu trzymać uzbrojeniu. Pamiętali dobrze mazowieccy panowie, że ziemie ich niegdyś składały jedno ciało polskiego królestwa, i tylko przez spadkowe odłączone podziały, stawszy się obcem mu księstwem, zamiast jedności sprawy, wojenne od niego znosić musiały przykrości; wiedzieli nadto, że Kazimierz ojcowskiem sercem ciągle tchnie dla nich, że pragnie odzyskać utracone prawo, i o to z Ziemowitem spór wiedzie; — okazując zatem coraz jawniej wstręt dalszej wojny, zaczęli głośno oświadczać chęć powrotu do prawego dziedzica. Umieli wodzowie polscy korzystać z tak

pożądanych objawień, i starając się wrazić w umysły mieszkańców, że nie z nimi, lecz o ich dobro, z Ziemowitem spór wiodą, przez braterskie obejście się coraz większe nad nieprzyjacielem odnosili korzyści.

Przykrą i niepożyteczną jest wojna broniącemu praw swoich panu, kiedy poddany jego sprzyja sprawie nieprzyjacielskiej. Ziemowit nie chciał poznać ducha narodu; owszem karząc surowo najmniejszą jego objawę, tem samem przyspieszał swą zgubę. Pokładał on wielką jeszcze nadzieję w pomocy cesarza Karola, i czyniąc mu najkorzystniejsze obietnice, ciągle dopraszał się zbrojnych posiłków, a przynajmniej wstawienia się do zwycięzcy, żeby zaniechawszy dalszej wojny, poprzestał na wynagrodzeniu pieniężnem jej kosztów, a księstwo mu jego w spokojnem dzierzeniu zostawił. W innym czasie możeby cesarz nie odmówił żądanej pomocy, lecz w tej porze znajdując się sam w potrzebie oszczędzania łask króla, nie czuł się skłonny do zadośćuczynienia prośbie księcia; straciwszy bowiem przed rokiem małżonkę, zwrócił oczy na wnuczkę Kazimierza, księżniczkę pomorską, i pragnąc jej rękę osiągnąć, nie mógł nic czynić takiego, coby nań cień nieżyczliwości dla króla rzucało. Musiał tedy przywiedziony do ostateczności Ziemowit prosić o zawieszenie broni na czas półroczny, i w wspaniałomyślności zwycięzcy lepszą niżeli w cesarzu znalazł gotowość.

Kazimierz z powodu tak szczęśliwych wypadków mniej potrzebnem znajdując dłuższe w bliskości rzeczy wojennych mieszkanie, zapragnął wrócić do Krakowa, i w roku następnym z początkiem lata wyciągnął tam z dworem. Czekwały go w stolicy godne pomnożonej jego potęgi obchody, na których wyprawę zagraniczni książęta, równie jak krajowi panowie przesadzali się z przepychem. Wiek tchnący obyczajami rycerstwa zgromadził tam roje młodzieży, pragnącej w świetnych turniejach i śmiałych gonitwach zalecić swą dzielność potężnemu dwóch narodów zwycięzcy, — gdy pod te uroczyste zabawy dał się widzieć na zamku Mroczek, znakomity pan mazowiecki, przybywający z obozu Ziemowita z listem do króla, w którym oświadczał księżę, jako prze-



konawszy się o życzeniach narodu przejścia pod panowanie Kazimierza, a nadewszystko pomny na krwi związku łączące go z królem, gotów jest, pod warunkiem zatrzymania zwierzchnictwa nad Mazowszem, z tytułem lennego Polsce księcia, hołd mu winny złożyć, i że go chętnie w czasie i miejscu oznaczonem dopełni, byleby z wyjściem zawieszenia broni kroki nieprzyjacielskie między dwoma narodami ustały, — tudzież, żeby skutkiem przyjętej z obopólnie niepamięci uraz, Władysław, księżę gniewkowski, żałujący swej winy, w celu otrzymania przebaczenia, mógł się bezpiecznie stawić przed królem.

Przyjemną była ta odezwa Kazimierzowi; nie tylko chętnie podane warunki przyjmował, zostawując Ziemiowitowi naczelne nad Mazowszem zwierzchnictwo; nie tylko zapewnił, że z radością ujrzy synowca w swym domu, i wszystko mu chętnie przebaczy; lecz dla dania rękojmi dobrej swej wiary, dozwalał mu zatrzymać w obozie trzech najznakomitszych jeńców polskich do powrotu Władysława. W skutku więc tych układów, posłał niezwłocznie rozkaz do wodzów, zalecając im zaprzestanie kroków nieprzyjacielskich, oraz odwrót do kraju, po osadzeniu wszakże zamków polską załogą, aż do dopełnienia winnego hołdu.

Pod te czasy wielkości i sławy Kazimierza, Esterka używała szczęścia, jakiego tylko dostarczyć może pięknej i czulej niewieście panowanie nad sercem mocarza, poświęcającego jej podobaniu się wszystko. W kilka miesięcy stanął dla niej, w rozkosznym za miastem ustroniem, pyszny pałac, zamożny w kanały, łaźnie, ogrody, zioła, zwierzęta, słowem w to wszystko, co tylko może pochlebiać najwyszukańszej zmyślności, i tam zamieszkała, wolną odtąd była zawiści i prześladowania, pędząc życie pełne swobody. Gruzy Łobzowa dziś jeszcze świadczą, czem był ten nowy Eden za czasów swej pani. Królowa węgierska oburzona na tyle hołdów i szczęścia jednej izraelitki, niemogąc jej więcej w udzielnym dworze osiągnąć, postanowiła samą uniżonością dręczyć jej wyniosłość; ile tylko razy Esterka strojem polskim w bogate szaty ubrana, ukazała się w pokojach zamkowych,



królowa z najznakomitszemi paniami, w skromnej występując czamarce, zdała się szydzić z piór jej pożyczanych. Postrzegła prędko baczna dziewica grot wymierzony na siebie, i chcąc dać poznać, że się może obejść bez obcych ozdób, nagle opuściła kołpak i żupanik polski, a wzięła na siebie strój dawnych izraelitek. Jakże się srodze zemścić umiała! Tunika lekka śnieżnego kaszemiru złotem przetykana i krótsza od niej, po kolana, karmazynowa osłona pod gorsem na kosztownym kamieniu spięta rogami, ślicznie obejmowała kształtną jej postać, zostawując ramiona hyacentalowemu okryciu, które w wdzięcznym nieładzie ku ziemi spływało. Głowa gładko w perłowym sznurków przeplocie, gazowym w tył powiewająca welonem, ręce odkryte do łokcia, pełne drogich maneli, — a stopa umiejętnie sznurowana, — zdały się w niej przedstawiać jaśniejącą wdziękami na dworze Dawida hożą Abigail. Strój ten zaraz mimo zabiegów królowej, był naśladowany; ale tylko Esterka mogła go korzystnie używać.

W pośród opływu tych bogactw i obfitości, nie zapomniała dobra izraelitka o swym narodzie, a lubo żadnemu z żydów nie wolno było wstąpić w bramy Łobzowa, znajdowała jednak tysiączne sposoby otrzymania łask króla dla tych, którym pamięci swej dowód dać chciała. I wiele rodzin żydowskich za jej przyczyną do wielkich przyszło majątków. Stąd przez uczonych izraelitów czczona wierszem i prozą, nazywana córką Salfadową, mądrą Deborah, Hadassą, matką Izraela, pod niebiosą była sławioną.

Doszła prędko wieść powodzeń Esterki do nieszczęśliwej Adelaidy w Żarnowcu, i nową goryczą napełniała jej duszę. Zgorszona niewiernością małżonka, opuszczona od cesarza i Ziemowita, niemogąc znieść dłużej mieszkania w kraju, w którym wszystko głosiło hołdy takiej rywalki, opuściła bez przeszkody Żarnowiec, i niosąc zboliałe serce na rodzinną ziemię, w łonie ojca szukała pociechy.

## ROZDZIAŁ XXVIII.

Tam gościnni gospodarze,  
Szczerze uśmiechając twarze,  
Przybyciem mojem weseli,  
Otwartem sercem przyjęli  
Przychodnia w mieszkanie ciepłe,  
Chcąc rozgrzać me dłonie skrzepłe.

*K. Tymowski.*

W kilka miesięcy po danej Ziemowitowi odpowiedzi, książę ten korzystając z odwiedzin króla do krajów wielkopolskich, pospieszył do Kalisza, i tam mu uroczysty hołd złożył, poddając swe księstwo na wieczne czasy polskiej koronie, i obowiązując się przysięgą, z następcami swymi być jej zawsze podległym lennikiem. W skutku tego zrzeczenia się, wracać zaczęła do kraju około Bożego Narodzenia reszta polskich rycerzy. I nasz Bronisław na swoim wiernym koniu zmierzał do Krakowa, słodką myślą zajęty uściskania kochanego ojca i ujrzenia droższej mu nad wszystko Hanny. Nie wiedział on wcale, jak szczęśliwej losu odmianie uległa piękna izraelitka, której przed dwoma laty dał pomoc, równie jak się nie domyślał, ile jego powrót do kraju pożądanym jest strapionej matce, której dziecię ratował. Jechał wolnym krokiem, niemogąc zdążyć za swą chorągwią, bo rany jego niedobrze jeszcze zgojone, i droga kopna wielkością śniegów, nie dozwalały mu użyć tego pospiechu, z jakim dusza jego stęskniona za miłym Naręczynem domierzyć kresu pragnęła. Przykre mu ciągle dokuczało zimno. Miał wprawdzie dobrą odzież na sobie, lecz żelazna zbroja, którą był okryty, źle ją ogrzewała. Codzień

większa się odzywała potrzeba wytchnienia; nie zatrzymywał się jednak dłużej nad czas potrzebny dla popasów, bo będąc o kilkanaście mil tylko od stolicy, nie życzył sobie gdzieindziej jak na łonie przyjaciół wypocząć.

Przedzierając się raz pod wieczór przez najeżone skałami okolice Krzeszowic, tak się nagle osłabionym uczuł, iż zaledwie mógł się utrzymać na koniu. — „Święta boża rodzicielko! niechaj mię nie opuszcza twoja opieka!“ — rzekł z pobożnem westchnieniem, i krzepiąc się na siłach, starał się ile być może, trzymać gościńca. Ale noc wcześniejsza między górami, i trakt mało uczęszczany, niełatwem czyniły jego usiłowanie. Skały okryte śniegiem, ginęły w obłokach, przykre wąwozy, zdradliwe zamiecią przepaści, które za dnia ledwie z wielką ostrożnością można ominąć, groziły mu co chwila niechybną zagubą; a nadewszystko mróz srogi, ściskający członki, tchnień ostatnich zdał się dobywać. Żaden ślad mieszkania, najmniejszy znak światła nie pocieszał go znikąd! Już myślał, że lada chwila marnie zginąć mu przyjdzie, gdy ciągnąc bez nadziei i celu, usłyszał nagle dźwięk dzwonka, wieczorną głoszący modlitwę. Dźwięk ten obijając się o przyległe skały, nie zdał się być dalekim. Za powtórnem uderzeniem, obudzony ze snu śmiertelnego młodzieniec, zwrócił konia w stronę, z której głos przychodził, i między gęstwiną przysnieżonych jodeł postrzegł na górze małe światelko błyszczące w oknie niskiego mieszkania. Było niewielki drewniany kościółek z przyległym do koła zabudowaniem. Ostatek dnia na górze dość go jeszcze wyraźnie odcieniał wśród śnieżnych rozłogów. Nie bez trudu zmartwiały młodzieniec dostał się na górę, i zsiadłszy z konia u furtki, zaczął kołatać, ile tylko miał siły.

Wkrótce diad kościelny otworzył drzwi, a widząc młodzieńca zdrętviałego od zimna, wziął go za rękę i wewnątrz mieszkania wprowadził, gdzie w sieniach za pociągnięciem krzyża zawieszzonego u sznura, gdy na głos dzwonka ukazała się we drzwiach korytarza stara zakonnica, oddał jej młodzieńca, mówiąc: iż gdyby jeszcze chwilę pozostał na mrozie, jużby po nim było.



Wnet się niezwyčajny rozruch zrobił w klasztorze. Na wieść ochronionego od zmarznięcia człowieka, kilka się zbiegło zakonnic, i każda troskliwie się nim zajmując, z pobożnem uradowaniem dziękowała Bogu, że go raczył od nagłej śmierci zachować.

— Jak mu twarz zsiniała! Święty Wawrzyńcze on już mówić nie może, — odezwała się jedna — trzeba go najprzód do refektarza wprowadzić.

— Trzeba go w ciepłą pościel położyć. Wielki Boże, jeszcze takiego mrozu nie było! Zaprowadźmy go do celi księdza kapelana, tam ciepło; — ponowiła druga.

— Ale po co do księdza kapelana? — przerwała stara przełożona; — trzeba go najprzód z tego żelaznego habitu uwolnić.

— Dobrze panie! — odezwał się młodzieniec — gdybym mógł co zażyć ciepłego.

— Zaraz, zaraz, będzie winna polewka — ponowiła przełożona. — Ty siostró idź, zawiń się koło kuchni; ty utłucz cynamonu z gałką, oto masz klucze; a ty przyrządź łóżko w izdebce koło pokutnicy.

— Koło pokutnicy? — zapytała zdziwiona mniszka — może wygodniej byłoby w izbie wizytatorskiej.

— Koło pokutnicy powiadam — ponowiła starsza — tam mu będzie najlepiej, tylko nie marudź; a ty, ojczu — mówiła do dziada — przynieś tu śniegu, bo najprzód trzeba zimno z członków wydobyć.

Wprowadzony niezwłocznie Bronisław do izby niewielkiej, dobrze ogrzanej, znalazł już łóżko gotowe, i byłby się w niem układał natychmiast; lecz trzeba było najprzód pozbyć się zbroi, a ręce jego zdrętwiałe dać jej rady nie mogły. Rzuciły mu się w pomoc zakonnice, i pracując niezręcznie koło spięcia blachownic, jak kiedy kto chce obcym kluczem zamek otworzyć, długo bezsilnego na różne obracały strony; wreszcie bardziej przypadkiem jak umiejętnością, uwolniony z niej szczęśliwie, natarty śniegiem i posilony polewką, pożądanym snem spoczął. Ale nazajutrz obudził się tak słaby, że ani mógł pomyśleć o prędkim opuszczeniu łóżka. Ból głowy niezmierny i mocne pragnienie zapowiadały w nim znaki niebezpiecznej choroby, która nad wieczorem obja-

wiła się tak wielkiem z sił opadnięciem, iż przez cały dzień następny pozbawiony przytomności, bliższy był śmierci jak życia. Ale starania dobrych zakonnic nie zostawiły go bez należytej pomocy, a krew wcześniej puszczona, dała miejsce nadziei, że uratowanym być może. W rzeczy samej, czyli to był skutek mocnej chorego natury, czyli wcześniej użytych środków, — po trzech tygodniach ciężkiej słabości, Bronisław zaczął do sił powracać tyle przynajmniej, że się mógł po swej izdebce przechodzić. Jak tylko się uczuł cokolwiek zdrowszym, niecierpliwym stawienia się u swej chorągwi, równie jak ujrzenia najprędzej ukochanych osób, chciał zaraz puścić się w drogę; ale przełożona wiadoma dobrze, jak łatwo choroba przy niebacznem sił wątłych użyciu odnawia się, i jak jej powrót w skutkach jest straszliwy, żadnym sposobem na jego odjazd zezwolić nie chciała. Pozbawiony Bronisław konia, o którym dobre miano staranie, musiał być lekarce posłusznym, tem bardziej, że będąc jej winnym życie, nie chciał nic takiego czynić, co by go mogło o niewdzięczność obwiniać. Opłacał on drogo ten przymus, nudząc się w swej samotności niezmiernie; od-tąd bowiem jak zaczął być zdrowszym, nie odbierał więcej odwiedzin zakonnic; czasem tylko zajrzał do niego stary ich kapelan, ale ten zakonnik w ograniczonym swem życiu, nie mu nie mógł udzielić z rzeczy publicznych, których wiadomość osobliwie w tej porze szczęścia i świetności Polski, obchodziła go najbardziej.

Szczupła jego izdebka przedzielona drewnianem przepierzeniem od innych mieszkań daleko obszerniejszych, już nie dopiero dawała mu poznać, że ma w nich sąsiadkę, której sposób życia coraz go bardziej zajmował. Nigdy prawie nie słyszał, żeby kto ją odwiedzał; zdawało się, że jej cela drzwi nie ma, cichość w niej przez cały dzień panowała głęboka; — dopiero wieczorem, kiedy nocne zapadły cienie, i rano o świcie, gdy na pacierz dzwoniło, szmer się w niej jakiś robił; słychać było chodzenie, dalej tłumione łkania, ciche lecz gorące modlitwy, a czasem ciosy surowej pokuty. Żadna jednak skarga nie wydawała cierpienia. Poczem wszy-

stko ucichało i znówu jak wprzódę głęboka następowała spokojność.

Ciekawość zapewne jest naganna i rzadko inną nad późny żal korzyść odnosi; lecz kiedy jej przedmiot sam się znudzonemu umysłowi nastęcza, kiedy się do niego łączy tkliwość duszy biorąca w podział ludzkie cierpienie, a w sercu bijącym wznieca gotowość pomocy, — taka ciekawość nie może być występna. Temi pobudkami wzruszony Bronisław, raz wieczorem ośmielił się zajrzeć w szczelinę, przez którą promień światła z izby sąsiedzkiej przenikał do jego ciemnej komórki, i ujrzał młodą, piękną lecz niezmiernie wyniszczoną zakonnice, która klęcząc przy błedem świetle lampy przed krucyfiksem, rzewne u nóg Zbawiciela modły składała. Łoże twarde, włosienica, dyscyplina i inne pokuty narzędzia, znajdujące się w izbie, dawały poznać, jak ostry żywot prowadzi! odwrócił się z cichem westchnieniem młodzieńiec od tak szanownego widoku, i czcig winną przejęty starał się odtąd jak najciszej w swem mieszkaniu sprawować.

W kilka dni przed wieczorem, — byłoto właśnie w dzień Oczyszczenia matki Boskiej, — niezwyčajny szmer dał się słyszeć w mieszkaniu pokutnicy. Otwierane często drzwi w drugim jej pokoju, głosy kilku osób z cicha rozmawiających, coś podobnego do uprzątania, a nadewszystko jaśniejszy niż zwykle promień w szczelinie, nowej ciekawości stały się powodem. Już niedopiero Bronisław dla swej nieszczęśliwej sąsiadki miał serce życzliwie uprzedzone, lękając się zatem, czyli w zdrowiu jej nie zaszła jaka straszna odmiana, ośmielił się zajrzeć, i cale niespodzianym został uderzony widokiem. Izba jej była rześisto oświecona. Zuikły narzędzia cierpienia, a miejsce ich zabrały wygodnej komnaty ozdoby. Piękna pokutnica odziana szatą prześlicznej białości, siedziała spokojnie u okna, a oblicze jej wypogodzone tchnąć zdało się nadzieją szczęścia i pokoju. Wkrótce ukazał się wchodzący z głębi mieszkania młody, udatnej postaci pielgrzym. Włos ciemny, długi, wdzięcznie się wijący po stronach pięknej głowy, okrywał do ramion białą jego szyję; krok miał szlache-



tny, wyraz twarzy tkliwy: zdawało się, że wszystkich sił dobywał, aby swe powściągnął wzruszenia, i nagle rzucając się do nóg białej niewiasty

— Aniele czystości! — zawołał głosem rozrzewnienia — jestemże tak szczęśliwy, że ciebie znowu oglądam? O dniu radości! I mogęż się spodziewać, że wszystkie twoje cierpienia będą mi przejrane? powiedz, ożyw mię dawnym uśmiechem!

— Drogi przyjacielu! — odpowiedziała najśłodszy glosem niewiasta, podnosząc go z czułością, — ty także w szacie pokuty? Ach ty na nią nie zasłużyłeś!

— Czyż mógłbym strojno się nosić, kiedy ty cierpisz niewinnie! Od ciebie zależy, abym wdział suknię wesela, lub w tej odzieży, odłączającej mię od świata, pozostał do śmierci!

— Ty wiesz — ponowiła z czułością niewiasta — czas mojej pokuty z wieczorem dzisiejszym upłynął, jestem znowu pod twojem rozporządzeniem; lecz jeśli to być może, ty wróc do świata, uszczęśliwiał godniejszą, mnie zostaw na mojej drodze łez i umartwienia!

— Co słyszę? — przerwał głosem zatrwożenia pielgrzym. — I dopókiżto będziesz, stworzona dla szczęścia cierpieniem się dręczyć?

— Jużem przywykła do mojego stanu! Habit zakonny lepiej mi przystoi, niż szata światowa! Idzie tylko o to, ażebyś ty pozwolił.

— Ach! ja zaraz powiedziałem, że ten klasztor mi ciebie zabierze! Takażto ma być moich nadziei i cierpień nagroda? Dwa lata blisko ciągłych łez twoich i utrapień nie są jeszcze w stanie uleczyć cię z twego uprzedzenia? — wołał pełen rozpacz. — Więc mara przeszłości nie przestała cię jeszcze prześladować?

— Nie — odpowiedziała z pokorą niewiasta — ale się lękam, czylim niemało jeszcze cierpiała za to, żem w nią uwierzyła.

— Możeszże tak sądzić o dobroci bóstwa tego, w którego obliczu zawsze byłaś niewinną?

— Bóg przebaczył, ale ludzie!

— Co ludzie? — przerwał pielgrzym. — W mojem i całego świata przekonaniu nigdy winną nie byłaś; a

jeżeli jest kto tak nikczemny, coby inaczej powiedział, niech życie swoje przeciw mojemu nadstawi!

— Nie mów tego — rzekła z przestrachem niewiasta — nie ma życia równie twojemu drogiego, jam to poznała najlepiej! Ach! ty jesteś tak dobry, wspaniały, że mi chcesz wszystko darować! dobrze, lecz cóż się stanie z uczuciem twej szlachetności? nie odezwiesz się kiedy ona w twym sercu przeciw mojej niesławie?

— Moja szlachetność od twojej ręki nowego tylko blasku nabierze, a mój szacunek dla ciebie wyższym nawet będzie nad miłość!

— Lecz potem, kiedy darujesz, kiedy się nowem życiem odrodzę i żyć już będę dla ciebie, ty z mojej przeszłości... o sroga myśli! jeźlibyś chciał co pamiętać... — mówiła, skłaniając usta do ręki pielgrzyma.

— Nigdy! ty płaczesz? okrutna! Jedno westchnienie już dawno wszystko opłaciło!... a ty tyle łez na tę rękę wylewasz!

— Chciałabym je u nóg twych ronić! O! jak wszystko, co świat ceni najwyżej, co jest chwałą, koroną, bogactwem, jakże to wszystko jest drobnem i znikomem w porównaniu szczęścia, kiedy ty mi przebaczasz! — powtarzała pełna żalu niewiasta.

— Dosyć, rzekł stanowczym głosem wchodzący śmiało, miernej postaci, w długiej ciemnej szacie, młody duchowny; i wydzierając z rąk niewiasty dłoń pielgrzyma: — Czas pokuty upłynął, Bóg odebrał co się należało Bogu; dzień następny powinien się zacząć powrotem do radości i szczęścia, którycheście tak godni.

— Drogi przyjacielu, dopomóż mym prośbom! — odezwał się pielgrzym.

— Mój dobroczyńco! — ponowiła niewiasta — tylko jeszcze chwilę!

— Bynajmniej, chodźcie za mną niezwłocznie, — odpowiedział z nastawieniem duchowny.

Chciała jeszcze coś mówić niewiasta, lecz duchowny wyprowadził ich z izby. Po chwili wbiegła do Bronisława przełożona, prosząc, aby raczył zejść do kościoła na świadka ślubnego obrzędu pewnej znakomitej pary. Posłuszny młodzieniec udał się na miejsce wezwania,

i zastał przed rześisto oświeconym ołtarzem, obok przebranego w bogaty strój węgierski pielgrzyma, czekającą spełnienia losu swego, w różowej szubie, białą niewiastę. Duchowny, który ich przyprowadził, kazał przytomnemu kapelanowi podać sobie szaty kapłańskie, infułę i pastorał, — było bowiem zdawna im przyjazny biskup Bodzanta, — i przy odgłosie godowego hymnu na chórze, błogosławił ich związek.

Domyśla się zapewne czytelnik, że ślubująca para był nie kto inny, jak Rokiczana i jej wierny Batory. Bronisław, który nie znał ich dobrze, a dwuletniem prawie cierpieniem znacznie zmienionych niełatwo przypominał, dopiero się o ich nazwiskach dowiedział, gdy do podpisania się za świadka został wezwany. Po skończonym obrzędzie pan młody czule Bronisława uściskał, dziękując mu za użyzione świadectwo, — klasztor hojnie opatrzył, i wzięwszy swą drogą małżonkę w przygotowany piękny pojazd, obrócił za biskupem do bliskich dóbr jego, na obchód czekającej go tam godowej uroczystości. W kilka dni potem, Bronisław czując się zupełnie już zdrowym, pożegnał dobre zakonnice, i przy pięknym dniu zimowym do Krakowa wyjechał.

---

## ROZDZIAŁ XXIX.

---

Ludność, która się żadnym nie przegradza krajem,  
Zbliżyła oddalonych mową i zwyczajem;  
Oto mi dzień nad wszystkie uroczystszy świątki,  
Nam i potomkom sławny z tak zacnej pamiątki!

*Molski.*

Przybywał tam właśnie w tę porę, kiedy na dworze znakomitych bardzo oczekiwano gości. Już niedopiero na wschodzie szerząca się Turków potęga podawała myśl niektórym panom chrześcijańskim obwołania przeciw nim krucyaty. Piotr, król cypryjski, młody, pobożny, duchem rycerstwa zagrzany, odniosłszy przy pomocy kawalerów rodyjskich, później maltańskimi zwanych, nie-



jakie w Azji mniejszej nad niewiernymi korzyści, chciał podnieść powszechną w Europie wojny świętej chorągiew, — i w tym celu wybrał się do Awenionu dla uproszenia potrzebnej do tego papieża pomocy; a że morzem Czarnem przybywszy, przez Wołoszczyznę ku granicom Francji zmierzał, droga mu przypadająca przez Polskę, podała miłą sposobność złożenia uszanowania królowi, którego sława niedopiero znaną mu już była. W tym samym czasie Waldemar, król duński, obruszywszy na siebie nadmorskie miasta w Niemczech, handlowym połączone związkim, w których liczbie mieścił się Kraków, szukając także za pośrednictwem Kazimierza, ojca świętego powagi, przez Pomorze szczyecińskie wybrał się do Awenionu, a najprzód chciał dom króla odwiedzić.

Wiedział dobrze Kazimierz o zbliżających się do granic jego królach i o ich żądaniach; uprzedzając zatem sercem życzliwem ich chęci, wysłał naprzeciw nim znakomitych dworu swojego panów z oświadczeniem gotowości na ich przyjęcie, i z prośbą, żeby domu jego omijać nie raczyli. Wesele cesarza Karola z Elżbietą, księżniczką pomorską, odbyć się właśnie mające w nadchodzące zapusty w Krakowie, dało powód zaproszonym królom, żeby przybycie swoje zastosowali do tej świetnej uroczystości, na którą wiele książąt udzielnych i panów duchownego i rycerskiego stanu zjechać się miało. Król pragnąc z godną sobie okazałością uczcić swych gości, kazał czynić jak najwspanialsze przygotowania na ich przyjęcie. A że pałac łobzowski był potrzebny na ich pomieszczenie, a nade wszystko, że przystojność domu radziła usunąć wszelką obcą tak zacnego zbioru społeczność, odebrała przełożenie Esterka, opuszczenia na czas Krakowa. Nie sprzeciwiała się bynajmniej tej potrzebie dobra izraelitka, owszem znajdując ją słuszną, a swoim zamiarom dogodną, postanowiła użyć tego czasu na odwiedzenie krewnych w Opocznie, i tam się niezwłocznie wybrała.

Już się znajdowali w Krakowie: Ludwik, król węgierski, — Piotr, król cypryjski, — Otton, książę bawarski, — Bolesław, świdnicki, — Ziemowit, mazowiecki, — Władysław, opolski, — z świetnemi pocztami rycerstwa, — oraz wielu książąt mniejszych, biskupów,

hrabiów i baronów z licznym dworów orszakiem. Nadszedł też Bogusław, pomorski książę na Szczecinie, w towarzystwie króla duńskiego, przywożąc ze sobą wnuczkę Kazimierza, narzeczoną cesarza małżonkę. Jak tylko wieść przyszła, że cesarz wyjechałszy z Pragi, zbliżał się do Polski, wysłał Kazimierz liczny poczet panów koronnych, którzy go przyjąwszy na granicy królestwa w Bytomiu, prowadzili przez Będzyn i Olkusz, opatrując hojnie wszystkie potrzeby podróży. O milę od Krakowa, wśród pięknej dnia mroźnego pogody, wyjechali konno na przyjęcie cesarza, w szkarłatnych szubach czterech królowie: Kazimierz, polski, — Ludwik, węgierski, — Waldemar, duński, — i Piotr, cypryjski, — otoczeni licznym orszakiem książąt, hrabiów, biskupów, i wśród mnóstwa ludu czekali na zbliżenie się cesarza, który tocząc na dzielnym rumaku, w purpurze z gronostajami, pośród prowadzących go panów koronnych, jak tylko postrzegł jadących przeciw sobie królów, zsiadłszy z konia, szedł ku nim pieszo, co też uczynili królowie; a spotkawszy się wzajem, przy odgłosie trąb, kotłów i rozlegających się okrzyków radości niezliczonego ludu, witali się szczerem oświadczeniem przyjaźni, a wsiadłszy na koń, jechali razem ku miastu.

Czekał ich tam u bramy Bogusław z mnogim zbiorem panów pomorskich, a gdy zbliżył się cesarz, uchyliwszy czapki, z konia mu zalecał siedzącą na złocistych saniach córkę, otoczoną licznem strojnych pań gronem, której gęsto na bogatym kołpaku i futrze sadzone diamenty, ćmić zdawały się odbite od śniegu słońca promienie. Podniósłszy się na saniach piękna księżniczka, czekała na zbliżenie się swego przyszłego, który prędko oddawszy konia koniuszemu, poskoczył do sań, składając jej hołd uszanowania, i dopełniwszy tej powinności, gdy księżniczka wracała na zamek, konno jej towarzyszył przy saniach. Pomnażał świetność tego spotkania liczny zbiór pań polskich, otaczających królową węgierską i fraucymery ich, odznaczające się równie rzadką urodą i strojem, jak pysznym sań i zaprzęgów dobozem.

Nie było ciasnem choć tak mnogiemu gościowi rozległe miasto Kraków. Zamożne w dostatki, a wczesnem



staraniem pod zarządem Wierzyńka, w wszelkie optarzone potrzeby, wygodnego każdemu dostarczyło mieszkania. Ale Kazimierz do wygody przepych chciał łączyć, złoto więc, srebro, jedwabie, aksamity i wszystko, czem tylko Wenecja i Genua z wschodnich krajów Europę darzyła, hojnie było na przyjęcie gości użytem. A gdy królowie i książęta w przybytkach zamkowych przyjemnych używali wczasów, lub niemogąc dla przykrej pory wyprawiać turniejów, polowaniem się bawili, — dobroć królewska pragnąc, żeby i chłopiek dzielił szczęście pańskie, codzien w rynku miasta i znaczniejszych ulicach, kazała wystawiać pospólstwu stoły obfite w mięsiwa i chleby, beczki z trunkami, oraz bez miary rozdawać obrok dla koni.

W tym odmęcie gwaru i zatrudnień tak mnogich, wśród natłoku ludów tak licznych, przybywszy do Krakowa Bronisław, zaledwie mógł uwierzyć, że to miasto jest tem samem, które przed półtora rokiem opuścił; ale dusza jego stęskniona, mało biorąc w udział te huczne okazałości wystawy, w ustronie miłego Naręczyna dostać się jak najprędzej pragnęła. Po stawieniu się zatem poprzędniem u swej chorągwi, tam niezwłocznie obrócił. Ale nadzieje jego nie zaraz spełnione zostały; ucałował nogi ojca i szczęśliwy dobrem jego zdrowiem, starość rodzicielską ożywił; dobroczyńcy jednak swego i jego pięknej wychowanki, nie mógł dnia tego powitać. Wierzynek bowiem, mając zdany na siebie rząd domu pańskiego, ciągle zatrudniony na zamku, już od tygodnia do Naręczyna nie zajrzał, — Hanna zaś dawnym zwyczajem, w nieprzytomności jego nie opuszczała swej wieży. Przecież na wieść powrotu Bronisława, znalazła widzenia się z nim sposobność. Ten sam krzyżyk złoty, dany w upominku, co przy rozstaniu się był tkliwych powierzeń zakładem, ośmielił ich nanowo, i był świadkiem daleko słodszych zapewnień. Z jakąż radością dowiedział się Bronisław, że ani chwilę nie był zapomniany, że modły i życzenia w ślad wszędzie szły za nim, że rany jego i niebezpieczeństwa, lzy smutku, — dzielność i pochwały, wyciskały jej lzy radości! Z jak pomnożonem szczęściem u nóg jej składał dzięki za pa-



mieć, przysięgi wierności, i jak był wdzięcznie teraz słuchany! Tu nakoniec tę niespodzianą odebrał wiadomość, że mały chłopczyk po długich śledztwach, znaleziony przez matkę, zwrócony jej został.

Tymczasem zbliżał się dzień naznaczony na wesele cesarza. Jarosław, arcybiskup gnieźnieński, prymas królestwa, dawał ślub w kościele katedralnym w obec papieskiego legata, Piotra, biskupa weletryjskiego, który od nowego papieża, Urbana V. na ten obrzęd zesłany stosowną przemową błogosławieństwo i życzenia państwu młodemu w imieniu ojca świętego udzielał. Zbiór przytomnych gości tak był liczny, iż niemogąc się wszyscy w kościele pomieścić, za murami jego przez czas obrzędu na rozpostartych kobiercach pozostać musieli. Dni dwadzieścia trwały na zamku i w mieście ciągle biesiady, uczty, igrzyska, w których Elżbieta, królowa węgierska, siostra i matka dwóch królów, udział znakomity miała. Państwo młodzi zajmowali pałac łobzowski. Esterka tymczasem zapomniana, wielką przez niobecność swoją ponosiła szkodę! W tak licznym bowiem zbiorze piękności, kilka się znajdowało księżniczek, których cudna uroda przechodziła to wszystko, co kiedykolwiek mogło zająć serce Kazimierza; a czule dla niektórych starania zdały się zapowiadać, że już jest między nimi ta, co zgubę izraelitki przyspieszy.

Dziwić się trzeba, że posag wyznaczony przez króla polskiego dla panny młodej, ślubującej pierwszemu monarsze w Europie, nie przenosił stu tysięcy złotych dzisiejszego szacunku. Nie można mniemać, aby król bogaty i szczodry skąpił wnuczce wiana; koszta niezmierne godowe przeciwnie każą rozumieć; jestto raczej dowodem, że w wieku Kazimierza więcej przywiązano wagi do znakomitości rodu, wdzięków i przymiotów ślubującej panny, jak do jej posagu.

Są śludzy wielkich panów, ludzie dorobkowi, dostatni w majątek, których dobre mienie dosięgłszy najwyższego stopnia bogactwa, nie zostawia im innej do zaspokojenia żądy, prócz własnej miłości. Widzimy liczne tego przykłady w kupnych tytułach, w wyniesionych na dostojność hrabiów i baronów, bankierach,

kupcach i rękodzielnikach. Z liczby tych był Wierzynek, zawiadowca skarbów królewskich, a godowej uroczystości pierwszy urzędnik. Umiał on jednak ustrzedz się życzenia, któreby go tylko śmiesznym uczyniło, lecz z zazdrością patrząc na ucztę pańską i wdzięczne na niej królów i książąt oklaski, zapragnął także w swym domu poczet godowy częstować, i o to zaniósł prośbę do Kazimierza. „Jestem, mówił z pokorą, tylko polskim szlachcicem i to nowej daty, a mieszczaninem Krakowa; jeżeli jednak dobroć twoja, miłościwy panie, do mojej niegodnej prośby przychylić się raczy, starać się będę jak należy, odpowiedzieć tak wielkiemu zaszczytowi, to tylko wymawiając sobie, żebym jako gospodarz a twój stolnik, panie, podług własnej woli urządził siadanie państwa do stołu.“ Przyjął król łaskawie zaprosiny sługi, i wiedząc dobrze, że mu wstydu nie zrobi, na dzień naznaczony zapowiedział gościom objad u niego. Znany już jest czytelnikowi dom Wierzyńka w rynku; w nim on postanowił sproszone państwo przyjmować. Nie potrzebował zamożny mieszczanin pożyczaną go przystrajając okrasą; jeżeli bowiem pokoje jego nie wyrównywały obszernością salom zamkowym, pewnie je przechodziły ozdobą marmurów, krzysztalów, posągów, obicia i tem wszystkim, na co się tylko przepych wieku mógł zdobyć.

Kiedy więc pod wieczór tysiące kolorowych latarni, pochodni i kagańców dzienną przedłużając jasność, nagle oświeciły drogi zamku i pałaców, zajętych przez gości, dla wygodnego ich do domu uczy przybycia, — zaczęli się zjeżdżać z licznymi orszaki królowie, książęta, biskupi i rycerze; matki z wystrojonemi córami, król polski z siostrą, a wreszcie przybył i cesarz z małżonką. Stoły pokryte kosztownemi obrusami, uginały się pod srebrnem naczyniem; lecz stół przeznaczony dla monarchów i udzielnych książąt, jaśniejąc złotem i purpurą, przewyższał to wszystko, co tylko najokazalsza wspaniałość wymyślić jest w stanie. Okrężał go rząd krzeseł niebieską lamą okrytych, mając na pierwszym miejscu wzniesione na stopniach bogatsze nad inne siedzenie. Gdy goście ruszyli do zabrania krzeseł, cesarz sądząc słusznie, że grzeczność gospodarza dla niego

zgotowała to pierwsze siedzenie, zabierał się do zajęcia jego, — lecz Wierzynek zatrzymując go z ukłonem uszanowania :

— Miłościwy cesarzu! zaprawdę, wiele cię szacuję — rzekł śmiało — lecz daruj, że u mnie mój pan, z którego łaski mam ten chleba kawałek, jest pierwszym nad wszystkie cesarze i króle, i dla niego to miejsce jest zgotowane. Racz mu tedy ustąpić i usiądź po prawicy jego.

Podobała się Karolowi szczerłość gospodarza; chętnie krzesła ustąpił, lecz Kazimierz nie zaraz przystał na zajęcie jego, i po długich sporach grzeczności, gdy cesarz już siedział, zaledwie się skłonił do jego zajęcia. Wreszcie w żart rzecz obracając, odezwał się Karol:

— Bracie Kazimierzu! inni z tobą walczą o narody i ziemię, a jabym ci wojnę rad wydał o tak dołrego sługę, gdybym nie był twej wnuczki mężem.

Tymczasem Wierzynek urządzał dalsze zajmowanie krzesel. Za cesarzem siadł król węgierski, z drugiej strony cesarzowa, za nią królowa węgierska, dalej król duński, cypryjski, a za nimi liczne grono książąt udzielnych i pań znakomitszych. Inne stoły równie podług starszeństwa były obsadzone. Obiad wyborny, zagranicznymi przyprawami, obfitością win korzennych, wycisków owocowych, cukrów, marcepanów i innemi osobliwościami zalecał się; usługa szła z dziwną zręcznością, a po skończonej uczcie wesola biesiada długo w noc przeciągnęła zabawy. Ale nie na tem przestała gościnność gospodarza; chciał wyniosły Niemiec nietylko ubliżenie stopniowi cesarza znamieniem nadgrodzić, lecz nadto zapragnął sławnym daleko uczynić zaszczyt częstowania monarchów w swym domu. Przy rozjeździe więc gości z porankiem, udarował każdego podług stanu kosztownymi, w klejnotach, orężach, futrach, koniach i szatach upominkami. Dziejopisowie dawni, kreśląc uroczystość tej uczty, podają: że Wierzynek w samych darach rozdał gościom więcej stu tysięcy czerwonych złotych wartości.

---



## ROZDZIAŁ XXX.

---

Już więc na drogę tylu powinności  
Wzywa cię twojej godziny wybicie!  
I z tak pięknego snu twojej młodości  
W rzeczywiste woła życie!

*F. Morawski.*

Przy końcu tych uroczystości dał się widzieć w Krakowie szukający przebaczenia Kazimierza, synowiec jego Władysław, książę gniewkowski. Nie było już dumny praw tronu zazdrośnik, mściwy na życie stryjowskie następcą; był to załem przejęty młodzieniec, wyrzekający się świata, a drogą pokuty, pragnący na resztę dni znaleźć uspokojenie w zakonnem zaciszu. Miał on odwiedzić najprzód grób Pański, i utwierdzony przez stryja w tak chwalebnej chęci, przedawszy mu za tysiąc czerwonych złotych dziedziczne swe księstwo gniewkowskie, puścił się niezwłocznie na świętą pielgrzymkę.

Po rozjechaniu się gości, gdy rzeczy do dawnego wracać zaczęły porządku, król pomny waleczności chorągwi kiryśników, chcąc jej dać dowód swego zadowolenia, kazał obwieścić jej naczelnika Gałkę Prandotę: iż pragnie uczynić przegląd rycerzy jego dowództwa, i na ten koniec zaleca mu stawić się z nimi dnia następnego rano na dziedzińcu zamkowym. Chorągiew ta niegdyś czterotysięczna, ciągłym bojem na przodzie, do trzeciej części zmniejszona, tak nędzną miała barwę i konie, iż prócz żelaznego swego okrycia, rzadko który rycerz czuł na sobie inne odzienie, a i te jeszcze odebranymi ciosami znacznie uszkodzone było; lecz kiedy w szyku na dziedzińcu zamkowym stanęła, a dowódzca jej, dzielny Gałka, potężnym głosem ją sprawił, tak zu-

chwalej nabyła postawy, iż się zdawało, że mury zamkowe przelamać jest w stanie. Król w szubie szkarłatnej, na dzielnym koniu wyjechał w obec rycerstwa i dworu naprzeciw walecznym, — i oświadczając im zadowolenie zalecił dowódcy, ażeby zacząwszy od siebie, każdemu z rycerzów żołd trzyletni wypłacił; a widząc, że chorągiew tak była zużyta, iż zaledwie ślad jej na drzewcu pozostał, przyrzekł ją z należytym obrzędem odnowić, dając za godło napis: eligerów, to jest, wybrańców rycerstwa. Poczem obracając się do Gałki:

— Któryto jest z walecznych, co mię w okopie przed zdradzieckim ciosem zasłonił? Jego uzbrojenie było kirys i szyszak.

— Jestto zuchwalec, który w kilku sprawach dał dowód ślepej odwagi — odpowiedział dowódzca — lecz nigdy nie chciał nazwiska swego objawić, przestając na imieniu Piorunka, które mu towarzystwo przez popułałość nadało, i wprawdzie nie jednemu spadł na kark piorunem.

— Chcę go poznać; niech mi się stawi — ponowił król.

I wyciągnął z szyku na chudym lecz zwrotnym koniu, kształtnej postaci młodzieniec, żelazem od stóp do głowy okryty, a stanąwszy kilka kroków przed królem, czekał na jego rozkazy.

— Jak się nazywasz? — zapytał Kazimierz.

— Piorunek — odpowiedział młodzieniec.

— Już wiem; lecz nim się na burzę zabrało, jakieś nosił nazwisko?

— Bronisław, jeden z koniuszych waszej królewskiej mości.

— Zaprawdę, jesteś szczerym Bronisławem imienia twych przodków — zawołał król z uczuciem, poznawszy młodzieńca. — Pięknie umiałeś odkupić straconą ich sławę! — I podając mu dłoń: — Ta ręka gromiła nieprzyjaciół ojczyzny, ona odwróciła raz wymierzony na króla, i kryjąc swą cnotę, nie szukała nagrody ni chluby! Rycerze! Polacy! — zawołał, miecz podnosząc do góry: — Nałęczowie znowu są Nałęczami! niechaj ich sława będzie bez winy i skazy jak była przed wieki! imiona i ziemie, które stracili, niechaj im będą wrócone! a kto się tej

naszej woli ośmieli przeciwzić, niech będzie miany za mego i Polski nieprzyjaciela!

— Stań się wola pańska! Niech żyje Kazimierz!  
— rozlegały się głosy pośród rycerstwa i ludu.

Kazał król zatem zdjęć z siebie szubę, i okrywając nią ramiona młodzieńca:

— Bronisławie Nałęczu! — zawołał donośnie — noś tę szatę jako znak powrotu twego do barwy, której niedostatek krwiąś własną zastąpił. Nadto mianuję ojca twojego marszałkiem wielkim, na miejscu poległego w potrzebie ojczyzny Jana Grzymałczyka.

— Wielbić cię panie i żyć dla ciebie, będzie zawsze najmilszym pragnieniem Nałęczów — odpowiedział młodzieniec. — Ale kiedy dobroć twoja tak jest wielką, iż przewyższa to wszystko, na co miłość najgorętsza dla ciebie zasłużyć jest w stanie, nie będzież mi wolno wznieść głosu za nieszczęsnym rodem, który jak mój przed chwilą, pod wyrokiem wywołania zostaje! Równe były nam winy, nie dojdzież go ten sam promień twej łaski, co mię ożywił?

— Chcesz mówić o Zarebach? — zapytał król. — Cóż cię może ich niedola obchodzić? Oni jeszcze nie mieli sposobności, królowi swemu życia zachować, a przywiązani do książąt brandeburskich, mniej może dbają o wyrok swój w Polsce.

— Oczy ich i serca zawsze są zwrócone ku krajom, które mądrość twoja, panie, szczęśliwymi czyni. Gdyby mieli podobne mojemu u tronu twojego wsparcie, lub przynajmniej wolność zbliżenia się do ciebie, zapewne nie omieszkaliby do stóp się twych rzucić!

— Przyczynne twoje wstawienie się, młodzieńcze, czyni ci zaszczyt — odpowiedział król — dziś trudno ci czego odmówić; lecz ponieważ między twoją zasługą a życzeniem Zarebów zachodzi pewna i bardzo znaczna różnica, — niesłusznością byłoby, żebym ich zaraz do imion straconych, jak ciebie, przywracał; dość będzie, gdy wyrok z nich niesławy zdejmując, na ten raz do praw szlachectwa powołam. — Niech więc i Zarebowie, waleczni w przodkach, z dniem dzisiejszym odzyskają dawną swą sławę, a mając wolność powrócenia do kraju



niech odtąd równych stanu rycerskiego praw używają! — zawołał, miecz podnosząc do góry. A okrzyki radości i błogosławieństwa długo powtarzane, zakończyły tę tkliwą szczęścia ludu uroczystość.

\* \* \*

Cnotliwy Kazimierz z każdym czynem, z każdą swą myślą łączący szczęście narodu, sam jak zwykle dobrych ludzi bywał udziałem, nie był szczęśliwym! Patrzył on z boleścią na schodzące swe lata bez tej pociechy, która w miłych działkach zapowiadając odrodzenie się rodzi-  
ców, i po śmierci zdaje się ich jeszcze łączyć ze światem. Rzucił on wzrok tkliwy na Jadwigę, księżniczkę głogowską, córkę Henryka, księcia na Żeganie, zwanego Żelaznym, której uroda i cnotliwa skromność pięknie jaśniały w zgromadzeniu księżniczek podczas godów cesarza; ale rozwód nieszczęsny, ciągle odmawiany, nie dopuszczał nadziei związku. Przecież litościwa opatrność nad ludzkie prawa, kończąc śmiercią Adelaidy jej długie cierpienia, dozwoliły Kazimierzowi pomyśleć o nowem postanowieniu. Jak tylko więc odebrał urzędowe zejścia jej doniesienie, wysłał do Głogowa poselstwo, prosząc o rękę księżniczki; a gdy przychylną otrzymał odpowiedź, pospieszył, najszczęśliwszy, odprawić wesele. Czując zaś, że do zupełności szczęścia człowieka należy zachowanie pokoju z tymi, których święty prawodawca wiary nazaczył stróżami swego zakonu, jako dobry chrześcianin, ukorzył się przed apostolską stolicą, i pierwszy za pośrednictwem legata, podając rękę zgody biskupowi krakowskiemu, poczynił znaczne zwolnienia w powinnościach z dóbr duchownych, nadgrodził szkody — a prosząc o rozgrzeszenie ojca świętego, postąpił pewne pokutne ofiary, i opłacanie grosza świętego Piotra z wszystkich krajów polskich przywrócił jego stolicy.

\* \* \*

Już król wróciwszy z Głogowa z małżonką, znajdował się w Krakowie, gdy Wierzynek, dawnym zwyczajem odwiedzając go z rana, prosił aby raczył obecnością swoją zaszczyścić ślubny obrządek wychowawcy jego, którą za młodego Nałęczą wydaje.

— Jakiej wychowanicy? — zapytał król zdziwiony. — Alboż ty masz jaką wychowanicę?

— Mam ją od lat ośmnastu wychodowawszy z dziecięcia.

— I czemuż ja jej nie znam?

— Bo taka była wola jej matki, żeby nie wprzód świat ją poznał, aż za mąż wydaną zostanie. I gdyby nie ten wysmukły kiryśnik, coś wasza królewska mość okrył swą szubą, i dotądby prócz mnie i ochmistrzyni nikt jej więcej nie widział.

— To mi się nie podoba; ja miałem inne względem Nałęczu widoki.

— Te są już próżne, miłościwy panie. Zapowiedź drugą już ksiądz ogłosił.

— Ale zważ tylko co czynisz? Nałęcz jest teraz znacznych majątków dziedzicem; rozległe imiona Lelowa i inne do niego należą. Miłość w pierze uboga, skrzydłom orła nie zrówna.

— I moja Hanna nie nagą rękę ślubować mu będzie. Nie mam dzieci ni krewnych, na ochędóstwo dam ile trzeba, a potem resztę i sami zabiorą.

— Bardzo dobrze, wiem żeś nieubogi, ale są rzeczy, których dać nie mogą żadne bogactwa.

— Miłościwy panie! moja wychowanica jest tak dobrą szlachcianką jak Nałęcz.

— Któż tedy ona?

— Hanna Zarębianka.

— Otóż dlaczego Bronisław tak się gorliwie za Zarębami wstawiał! Co za podstęp! Jakim się ona sposobem w twym domu znajduje?

— Sposobem bardzo prostym. Rodzice jej czas niejaki ukrywali się u mnie w Naręczynie, a gdy ojciec wysledzony musiał do Brandenburgii uchodzić, żona jego właśnie w tym czasie zległa córkę, i umierając w połogu, postanowiła mię opiekunem dziecięcia.

— Ty nie długo wszystkich świata wygnańców w dom twój zgromadzisz! — rzekł król z żartobliwym gniewem, — ale to co inszego. A ponieważż tak dobrze odpowiedział obowiązkowi opiekuna, potwierdzam.

związek, i rad będę poznać tę biedną sierotę, co ma po tobie dziedziczyć.

\* \* \*

Kiedy tak szczęśliwe kojarzyły się związki, Esterka opuszczona, w zapomnieniu dni smutne pędziła. A jako rzadko się zdarza, żeby życie zdrożne nie odniosło kary, a przynajmniej goryczą dni ostatnich zaprawione nie było, — tak i biedna Esterka uległa wkrótce temu przeznaczeniu; zdaje się nawet, iż sama sobie naznaczyła karę; albowiem lubo jej Kazimierz wydzielił przyzwoity fundusz utrzymania się, nie chciała go przyjąć, jak gdyby przez to starała się dać mu do zrozumienia, że nie dary jego, lecz serce posiadać pragnęła, — owszem odtąd, jak Kazimierz innej wiareę poślubił, unikając wszelkich z nim związków, u krewnych w Opocznie lub Kazimierzku osłody szukała. Ale krótko trwała była jej pociecha! Wielbiciele niedawno jej przeznaczenia, co pod niebiosą ją wynosząc, wszystkie w niej cnoty odkrywali, co jej opieką do wielkich majątków i znaczenia przyszli, — skoro przestała im być użyteczną, mniej o nią dbali. Jak tylko zaś doszła ich wiadomość, że się król ożenił, gardząc nią i pośmiewając, nietylko do jej pokrewieństwa, lecz nawet do znajomości przyznawać się nie chcieli. Wreszcie, gdy z domu do domu odsyłana, nienawistną być im zaczęła, — znaleziono ją raz w Kazimierzku z rana, w dzień mroźny, umarłą pode dzwiami jednego z bogatych jej krewnych; a wieść dotąd tam utrzymująca się podaje, że z piętra w nocy zepchniętą została.

KONIEC.









36. —

58989/24461



Biblioteka UJK Kielce

**UJK**



0472771